SIERPIEŃ — WRZESIEŃ 1936

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA
POLSKIEJ
MYŚLI
PAŃSTWOWEJ

Nr. XLIX

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

S P Ó Ł K A   A K C Y J N A
ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH
„DRUKARNIA POLSKA"
WARSZAWA, SZPITALNA 12,
TEL. 272-06, 587-98, 643-33.
W DZIERŻAWIE SPÓŁKI
WYDAWNICZEJ CZASOPISM
:: .: :: SP. Z O. O. .:: :: .:

TREŚĆ

WOLNOŚĆ CZY ANARCHJA DRUKOWANEGO SŁOWA?

NARESZCIE!!!

Premjer, gen. Sławoj=Składkowski, wystosował w sierpniu r. b. następujący apel do prasy codzien=nej, który powtarzamy za „Gazetą Polską“ z 18=go sierpnia:

NADUŻYCIE SŁOWA DRUKOWANEGO.

W mojej dziewiczej mowie sejmowej nowe=go premiera otworzyłem ramiona do prasy.

Liczyłem na obopólną dobrą wolę, liczyłem na krytykę pociągnięć Rządu, która pomoże znaleźć wyjście z szeregu ciężkich sytuacji.

Pierwszy miesiąc było dobrze, wiadomo, miesiąc miodowy. Prasa, naogół bez różnicy za=barwienia politycznego, krytykowała poczyna=nia Rządu w sposób dosyć objektywny.

Już jednak w połowie miesiąca czerwca za=częły ukazywać się kłamstwa i oszczerstwa, mające na celu zohydzenie Rządu i jego pracy oraz zanieczyszczanie atmosfery politycznej w Polsce. Łatwowierność pewnych części społe=czeństwa okazała się nie o wiele mniejsza od cynizmu kłusowników słowa drukowanego. Uczciwa prasa, bez różnicy przekonań politycz=nych, nie chcąc i nie mogąc wytrzymać konku=rencji oszczerców, wykorzystujących po swoje=mu „wolność słowa“, straciła na swej aktualno=

ści w oczach szeregu bezkrytycznych czytelników.

Przyznaję, że konieczność wymyślania kłamstw jest pokrzepiającym dowodem, że rzeczywistość prac Rządu nie jest znów tak zła.

Klasycznym przykładem usiłowań zakłamania rzeczywistości jest stosunek pewnych odłamów prasy do odważnego tępienia nadużyć przez Rząd.

Błoto, które zdziera Rząd z pojedyńczych wykrytych nadużyć, usiłują niektórzy dziennikarze rozmazać na całe życie Polski, wołając: „Oto, w jakiej atmosferze żyjemy!“

Wara od takiego stawiania kwestji.

Gdyby cała atmosfera naszego życia była zatruta, nikt nie gorszyłby się istnieniem nadużyć.

Rząd, który miałby nadużycia na swem sumieniu, nie ośmieliłby się tępić ich w społeczeństwie.

Rząd odważnie, otwarcie wobec całej opinji i bezwzględnie czystemi rękami wykorzenia nadużycia, by uzdrowić atmosferę życia Polski.

Tępiąc niemiłosiernie wszelkie nadużycia, bez względu na ich pochodzenie i na osoby, które ośmielą się je popełniać, nie mogę pobłażać nieuczciwości słowa drukowanego.

Pozostawiając w dalszym ciągu całkowitą swobodę krytyki Rządu i życia politycznego, przystępuję do niszczenia kłamstwa, obmowy i oszczerstwa jako broni w życiu politycznem.

Będziemy mieli taki poziom moralności publicznej i politycznej, jaki sami stworzyć zdołamy.

Wzywam do pomocy całą uczciwą prasę bez różnicy obozów politycznych oraz opinię społeczną.

Będę walczył o dobre imię życia publicznego w Polsce i czystość atmosfery uczciwej prasy Rządu.

Nie poprzestanę na konfiskatach.

Ostrzegam, że gdy nie pomogą inne środki, będę winnych oszczerczych artykułów i notatek wysyłał do Berezy.

(—) Sławoj-Składkowski
Prazes Rady Ministrów i Minister Spraw Wewnętrznych.

W bardzo oględnej, poważnej, ale i stanowczej formie wyraził tu Szef Rządu to, czego piekąca potrzeba od dawna odczuwać się dawała, a co poruszyła Nasza Przyszłość jeszcze w zeszłorocznym, grudniowym tomie — mianowicie w obszernym artykule p. t. „Upadek siódmej potęgi" (t. j. prasy). Wysunęliśmy tam dobrze umotywowany, zdecydowany postulat obrony czci ludzkiej, szkalowanej niestety nazbyt często przez prasę — i to wcale nie tylko rewolwerową — na podstawie z powietrza wziętych lub conajmniej sensacyjnie wyolbrzymionych pretekstów, osłoniętych nadużyciem zasady wolności drukowanego słowa.

Zkonkretyzowaliśmy wówczas smutną tezę, że wskutek właśnie nadużycia tej zasady, prawdziwy autorytet prasy — który wcale nie jest równoznaczny z poczytnością — upadł tak nisko w czasach powojennych, iż porządny człowiek wcale już nie szanuje gazety, lecz tylko boi się jej, aby go ona nie napadła i czci jego nie poszargała bez najmniejszego powodu lub pod jakimś błahym, niesłychanie naciągniętym pozorem.

I dlatego oświadczenie p. Premiera witamy z uczuciem głębokiego zadowolenia i pragniemy jeszcze tylko, aby ostrzeżenie, wyrażone przez p. Premiera przy końcu pod adresem tych, którzy oszczercze plotki o zamiarach Rządu publikują, było stosowane z wzmocnioną surowością prawa i w jakimś przyśpieszonym trybie także do tych, którzy targają się bezczelnie na cześć bliźniego bez podania należycie umotywowanych powodów. Ci oczywiście winni iść nie do Berezy Kartuskiej, ale po prostu do kryminału i to bez zawieszenia kary.

Zbyt słabo bowiem chroni ustawodawstwo nasze obywatela przed oszczerstwem, tysiąckroć nieraz dotkliwszem, niż strata wskutek kradzieży, za którą biedak jakiś dostaje parę lat kryminału. A tymczasem pierwszy lepszy publicysta, gnany czy to nienawiścią partyjną, czy zazdrością publicystyczną, czy chęcią dokuczenia bliźniemu i wzbudzenia jego kosztem sensacji, kradnie cześć ludzką, jak bandyta, najczęściej bezkarnie, i jeżeli zrobi to sprytnie, to jeszcze jedzie w górę w bezkrytycznej opinii mas jako rzekomy bohater i zawodowy, patentowany tępiciel nieprawości.

Wystąpienie p. Premiera Sławoj-Składkowskiego, charakteryzujące jego prostolinijną uczciwość żołnierską, zdaje się zapowiadać nowy, szczęśliwy zwrot w traktowaniu tych spraw, mianowicie śmiałe rozbicie nietykalnego dotąd bałwana bezbrzeżnej wolności, a więc anarchii drukowanego słowa. I dlatego witamy powyższe oficjalne oświadczenie ze szczerą radością.

Istotnie bowiem zasada „wolności drukowanego słowa" uważaną była dotąd bezkrytycznie za jedną z największych zdobyczy nowoczesnej cywilizacji i demokracji. W zakostniałym już dzisiaj systemie różnych tych, nieraz bardzo już skarykaturowanych

pojęć „zdobyczowych“, demagogiczna formułka o „wolności prasy“ uważaną była za jedną z największych, czczoną i bronioną też jak prawdziwe tabu, którego nikomu, nawet w słusznej sprawie, nie wolno było naruszyć.

W razie najmniejszego, choćby tylko platonicznego targnięcia się na tego uświęconego fetysza bezgranicznej swobody dziennikarskiej, wrzask piekielny podnosił się z łamów wszystkich gazet, bez różnicy ich poziomu i kierunku.

Natomiast uważali prasowcy za swe suwerenne prawo puszczanie z pod pióra na papier, co im się żywnie podobało, nawet puszczanie w kurs najbardziej oszczerczych plotek i oskarżeń li tylko dla powiększania nakładu wydawnictwa i stawania wobec oszołomionych prenumeratorów w bohaterskiej aureoli.

Rzecz prosta — musiało dojść do tego. Wszelka bezgraniczna swoboda, zwłaszcza podniesiona na piedestał zdobyczy cywilizacji i uprawnień konstytucyjnych, musi rychło w ułomnych rękach ludzkich wybujać w nadużycie. To darmo, człowiek jest człowiekiem i musi czuć nad sobą bat w jakiejkolwiek formie, choćby w formie mocnej, krytycznej opinji publicznej. A gdzie brak tego bata, gdzie bezgraniczna swoboda, właściwie niczem skutecznie nie normowana, wywyższana zostaje na ołtarze „zdobyczy, cywilizacji“, ze szczególną zazdrością strzeżona przez zaciętych jej kapłanów, tam oczywiście musi przejść w anarchję.

To też w dzisiejszych czasach obywatel, pracujący uczciwie, jak umie i jak jest przekonany, na niwie publicznej, poświęcający dla dobra ogólnego swoje osobiste interesy, nerwy i zdrowie, nie potrzebuje obawiać się niczego, nawet poborców podatkowych — jeżeli niewielkie ma dochody i majątek —

ale musi niestety obawiać się tych, których nieraz
nazywaliśmy „gladiatorami pióra“.

Tkwi w tem niesłychana, głęboka niesprawiedli⸗
wość społeczna, nie mówiąc już o bezprawiu w pra⸗
wniczo⸗kryminalnem tego słowa pojęciu. Bo jak się
to dzieje, na jakiej zasadzie etycznej, żeby pierwszy
lepszy pisarz, nieraz o dość nieciekawej przeszłości
i konduicie, przez sam fakt uzyskania posady w ga⸗
zecie lub jakiegokolwiek wpływu na jej redakcję,
otrzymywał niejako sankcję i inwestyturę trzyma⸗
nia losów czci ludzkiej w swojem nieraz, brudnem
i ordynarnem ręku? Jakiem prawem taki człowiek,
o bardzo przeciętnem nieraz piórze, może każdej
chwili pozwolić sobie na szerzenie oszczerstw o lu⸗
dziach, nieskończenie więcej od niego wartych, w
kilkunastu, kilkudziesięciu lub stu tysiącach egzem⸗
plarzy gazety, w którą wierzą ślepo bezkrytyczne
masy, nawet inteligenckie, rozumujące z gołębią
prostotą, że gdy coś takiego stoi w gazecie, to prze⸗
cież musi być prawda, przynajmniej w znacznej
części?!

Postępująca organizacja nowoczesnych państw
i społeczeństw przyniosła ze sobą, nawet w pań⸗
stwach liberalistycznych, bardzo znaczne ogranicze⸗
nia swobody jednostki na rzecz ogółu. Walczyć na⸗
leży, zdaniem naszem, aby te ograniczenia nie po⸗
szły zbyt daleko, nie spotęgowały się w system to⸗
talnego państwa i wszechstronnego społecznego
przymusu. Ale zrozumiałem jest i nieuniknionem,
że wobec silnego wzrostu ludności, cywilizacyjnego
poziomu i komplikacji warunków życia państwowe⸗
go, społecznego i gospodarczego, wielka dawniej
swoboda jednostki musi ograniczać się w odpowied⸗
nim stopniu na rzecz drugich. Nie może dziś już nikt
bezgranicznie się rozpierać, a jeżeli wyjątki to je⸗
szcze czynią, to są to wypadki nadużycia.

Jedna tylko wolność drukowanego słowa nie podlegała dotąd w państwach konstytucyjnych właściwie żadnemu ograniczeniu, za wyjątkiem doraźnych wypadków, gdzie władze konfiskowały jakiś artykuł, nie będący na rękę polityce oficjalnej. Ale poza tem smarować było wolno każdemu na każdego wszystko, co mu tylko z pióra kapnęło na papier. A ponieważ nadto szkalowani i zohydzani w ten sposób przez złośliwych lub lekkomyślnych publicystów ludzie reprezentują nieraz pewne działy i dążenia użytecznej pracy publiczej i patrjotycznej, więc nie tylko oni osobiście, ale i dana sprawa i kraj cały ponosiły najwidoczniejszą szkodę przez anarchję pióra, aż tak dalece tolerowaną i niejako uświęconą. Wstrząsający miałem niedawno przykład tej prawdziwej dyktatury gladiatorów pióra, pozbawionych wszelkiej etyki i sumienia.

Spotykam się z jakimś poczciwcem prowincjonalnym, mającym nawet dość ładne stanowisko i stosunkowo dość wysoki stopień wykształcenia, który z oburzeniem opowiada mi o pewnym, znajomym mi dobrze działaczu z Warszawy, że to zdrajca kraju, sprzedawczyk i t. p. Słucham ze zdumieniem, bo wiem na pewno, że jest wprost przeciwnie i pytam, skąd ta wiadomość? A no, stało przecież w gazecie i to nie w byle jakiej, ale w jednej z wielkich gazet warszawskich, którą poczciwiec abonuje i wierzy w nią, jak w Mahometa.

Czy wobec takich faktów można się dziwić, że przemknie człowiekowi mimowoli bolszewickie życzenie przez głowę: Dałoj gramotnyje!

Tak, w interesie rzetelnej Naprawy Rzeczypospolitej, o której tyle mówi się od przeszło dziesięciu lat, w interesie rzetelnej poprawy stosunków powojennych, na które narzeka się powszechnie od

lat osiemnastu, w interesie walki z chamstwem, tak niesłychanie rozpanoszonem, w interesie etyki, kultury, skutecznej zapory dla różnych doktryn wywrotowych—które nieraz bardzo sprytnie wybierają sobie pewne, bezwiednie, ale niemniej szkodliwie działające narzędzia — w interesie wreszcie podniesienia poziomu i uszlachetnienia roli prasy polskiej należy stanowczo obalić śmiałą rękę nietykalnego dotychczas bałwana absolutnej wolności i anarchii drukowanego słowa, a to najlepiej za pomocą następujących, bardzo prostych środków:

1) znaczne zaostrzenie i przyśpieszenie wymiaru sprawiedliwości za zniesławianie drukiem osób i instytucji,

2) zastosowanie nadto w wyrokach prasowych bardzo wysokiej grzywny na rzecz poszkodowanego, zniesławionego drukiem złośliwie lub bez podania należytego uzasadnienia,

3) odpowiedzialnym redaktorem pisma, bezwzględnie współodpowiedzialnym nawet za cudzy artykuł, podpisany pełnem nazwiskiem autora, ma być redaktor naczelny, a nie jakiś podrzędny funkcjonarjusz redakcyjny, który w istocie żadnego nie ma wpływu na treść wydawnictwa, a tylko płatny jest za ewentualne „siedzenie w kozie". Odpowiadać bowiem winien ten, kto ma w piśmie władzę. Stąd uważamy rolę „redaktorów odpowiedzialnych", podwładnych nietykalnemu redaktorowi naczelnemu, jako upokarzającą zarówno dla dziennikarza, jak dla człowieka wogóle. Wynająć się dla gazety po to, żeby cierpieć oficjalnie za cudze winy i siedzieć za nie ewentualnie nawet w areszcie — to przecież wstyd dla kulturalnego człowieka!

4) O ile artykuł lub notatka w gazecie nie są podpisane pełnem imieniem i nazwiskiem przez ich au-

torów, to traktowane być mają jako pochodzące od redaktora naczelnego.

5) Wydawnictwo periodyczne, które częściej targa się bez należytego uzasadnienia na cześć ludzką, albo przyczynia się wyraźnie do obniżenia etyki w społeczeństwie w jakikolwiek sposób, winno być zamknięte, ale tak, żeby nie mogło powstać zaraz pod inną firmą.

Jest jeszcze jeden punkt, najważniejszy ze wszystkich: bojkot złego pisma przez opinię publiczną i prenumeratorów. Ale to już daleko trudniejsze zadanie, wymagające odpowiedniego wychowania obywatelskiego, które z dnia na dzień przeprowadzić się nie da, ale stopniowo może się tylko dokonać.

I tu pierwszorzędna rola przypada syndykatom i wogóle zrzeszeniom dziennikarskim oraz tym organom prasowym, które uważają się na serio za porządne i poważne. Nechże fałszywie rozumiany solidaryzm zawodowy, albo pokrewieństwo przekonań polityczno-społecznych nie powstrzymują wydawców i redaktorów pism poważnych od należytego napiętnowania i ewentualnego wykluczenia czarnej owcy ze swego grona. W przeciwnym bowiem razie niesława spada na całą prasę polską za tolerowanie w swym zawodzie niskiej etyki i niskich systemów publicystyki. A spada niewątpliwie niesłusznie, ale niewątpliwą też winą jest tołstojowska zasada niesprzeciwiania się złu.

I właśnie poważne wydawnictwa, w głębiej i szlachetnie pojętym interesie swego zawodu i swej roli w państwie, winny pierwsze przeciwstawić się bezgranicznej wolności drukowanego słowa i nie uważać tego za jakąś przeszkodę w pełnieniu swego, tak zawsze szumnie podnoszonego „publicystycznego obowiązku“. Bo czyż przyzwoity i kulturalny czło-

wiek ma całkowitą swobodę słowa i czynu? Oczywiście, że nie, bo. wyższy poziom kulturalny nakłada na człowieka odpowiednie więzy nawet w najgorętszej z kimś polemice. Ale więzy te są naturalne i prawdziwie kulturalny człowiek wcale ich nie czuje. Tylko pospolity cham nie krępuje się żadnemi więzami.

Jeżeli nie wypada prawić oszczerstw w lepszem towarzystwie bez narażenia się na pojedynek, jeżeli nie wypada pluć na dywan w salonie i karczemnych używać tam wyrazów, bo tem właśnie różni się salon od karczmy, to zdaje nam się, że nie wypada także robić śmietnika moralnego z redakcji poważnego pisma, ale trzeba i tu nałożyć sobie samemu więzy przyzwoitości.

Nie przeszkodzi to z pewnością prawdziwej, poważnie pojętej wolności drukowanego słowa. Wprost przeciwnie — wyrobi mu tylko większy autorytet. Nie przeszkodzi w niczem nawet gorącej polemice, rzeczowej, poważnej krytyce postępowania władz, wykazywaniu i piętnowaniu niedomagań i błędów w społeczeństwie. Nie przeszkodzi nawet zdecydowanemu zaatakowaniu pewnych osób, o ile atak taki będzie jakimś rzeczowym, poważnym argumentem poparty, albo kulturalnie wyrażoną różnicą przekonań uzasadniony.

Ale kres trzeba położyć anarchii drukowanego słowa i bezgranicznej dyktaturze publicystów nad bezbronnym często obywatelem. Poważna prasa winna prowadzić naród — prowadzić ku czemuś dobremu, szlachetnemu. To jest prawdziwy „obowiązek publicystyczny“. Ale nie jest nim wcale ani donoszenie o wszystkich paskudztwach, zbrodniach, skandalach i plotkach, ani wytwarzanie takiej atmosfery, że porządny człowiek boi się gazety, ale jej naprawdę nie szanuje.

Redakcja Naszej Przyszłości.

Z OTWARTĄ PRZYŁBICĄ

Oświadczenie, ogłoszone na podstawie uchwały Zarządu Zw. Polskiej Myśli Państwowej z dnia 8 września b. r.

PO SZEŚCIU przeszło latach istnienia „Naszej Przyszłości“, po czterech już niemal latach, odkąd straciła kontakt z oficjalnym obozem zachowawczym, skupiając natomiast swych zwolenników w specjalnem Kole swych Przyjaciół i wreszcie po dwóch prawie już latach skonsolidowania tego Koła w statutowy „Związek Polskiej Myśli Państwowej“ — nadszedł wreszcie odpowiedni moment, aby podnieść zamkniętą dotąd dla mniej domyślnych ludzi przyłbicę i ogłosić jasno i wyraźnie, kim jesteśmy i co reprezentujemy.

Wprawdzie program nasz, światopogląd i szczegółowe tezy zbudowane zostały wciągu tych lat i sprecyzowane coraz dokładniej, coraz bardziej lapidarnie w czterdziestu ośmiu tomach Naszej Przyszłości, przeważnie bardzo obszernych, które się dotąd ukazały — a zwłaszcza w tych, które wyszły w ostatnich paru latach — niemniej jednak opinia publiczna, opinia różnych partii politycznych oraz artykułów prasy, o ile się nami w ciągu tych lat dorywczo zajmowała, pozostawały dotąd w ustawicznym błędzie. Nikt nie wpadł jakoś na to, czem jesteśmy i gdzie jest nasze miejsce w szerokim rozkładzie różnych odłamów społeczeństwa i sposobów myślenia o państwie i sprawach publicznych wogóle.

Czego to natomiast nie wypisywano o nas na temat naszej rzekomej przynależności partyjnej lub społecznej, na co nie wysilano się i jakimi nie okładano nas nazwiskami i przezwiskami, aby nas gwałtem w istniejącą, zdawkową, zakostniałą, niejako uświęconą rubrykę znanych stronnictw politycznych koniecznie wtłoczyć i zaranżować! Nazywano nas najpierw konserwą lub frondą konserwy, lub konserwatywną sanacją. A gdy przekonano się, że te wszystkie nazwy jakoś niecałkiem do nas pasują, wówczas jedni umilkli wogóle, a inni — zwłaszcza prasa socjalistyczna — zaczęli obrzucać nas mianem faszystów, ba, nawet zwolenników hitleryzmu.

A myśmy milczeli, gdyż nie jesteśmy zwolennikami tworzenia sztucznych partii i programów politycznych, czy społeczno-politycznych. Pracowaliśmy przez cały ten czas z niemałym wysiłkiem i wśród niemałych trudności, starając się zaobserwować i zbadać ewolucję różnych rzeczy i stosunków, wyciągnąć z tego odpowiednie, możliwie objektywne wnioski teoretyczne i praktyczne i zbudować na gruntownych fundamentach, bez uprzedzeń i doktrynerstwa, konkretne kierunki i cele naszego działania, a nawet konkretne tezy w całym szeregu zadań państwowych, narodowych, społecznych. Dołożyliśmy nadewszystko starań, aby lepiej poznać samych siebie — co jest zawsze sprawą najtrudniejszą — oraz zanalizować należycie tego pewnego ruchu intuicji, który pchnął nas stopniowo, niejako organicznie, na te właśnie drogi, na które weszliśmy przed kilku laty i które obecnie już jasno przed nami się sprecyzowały.

Nie — nie jesteśmy tem wszystkiem, czem nas dotąd powierzchownie a bezkrytycznie mianowano. Żeby zrozumieć, czem jesteśmy naprawdę, trzeba spojrzeć bardzo trzeźwem okiem z jednej strony na

ewolucję stosunków w Polsce wskrzeszonej, a z drugiej strony na dzieje ostatnich kilku wieków Polski w upadku i niewoli.

Przez cały ciąg tych dziejów, wśród tego wszystkiego, co się w Polsce działo, wśród najrozmaitszych rządów i prądów, haseł postępu, to znów cofania się wstecz, wśród największego wreszcie politycznego i psychicznego upadku, wśród wszelakich, zawsze niestety tylko krótkotrwałych tryumfów, a za to stale rosnącej, niejako uświęcającej się demagogii i anarchii, wije się od szeregu wieków — począwszy od Andrzeja Frycza Modrzewskiego i innych światlejszych umysłów z tej mniejwięcej epoki — jedna, nieprzerwana, choć często przez złość i głupotę ludzką skwapliwie zasłaniana, wielka myśl „Naprawy Rzeczypospolitej“.

Za wcześnie zdobyła sobie Polska szerokie demokratyczne podstawy, nie przeszedłszy, w przeciwieństwie do wielu innych narodów, przez żadną dłuższą, twardą, ale niezbędną szkołę państwowego i narodowego wyrobienia. Stąd anarchicznie pojęta swoboda obywatelska, niekarność, wstręt do organizacji i do celowej, konsekwentnej pracy, demagogia, nierząd administracyjny i liberum veto weszły w krew i kość olbrzymiej większości narodu i pchnęły potężne niegdyś państwo polskie na drogę nieuchronnego upadku.

Co gorzej — podniesiono te właśnie kardynalne wady, wprost występki, na piedestał polskiej państwowej i narodowej „racji stanu“ i chełpili się Polacy, że tak właśnie pojętą, bezkreśnie rozszerzoną swobodą, a raczej swawolą, wyróżniają się niby „chwalebnie“ z pośród innych narodów cywilizowanych. Wszelkie zaś próby ze strony światlejszych umysłów, aby kres położyć tej anarchii i jakiś w państwie zaprowadzić porządek, okrzyczane bywa-

ły odrazu jako zamachy na wolność i jako rzekome zakusy wprowadzenia „rządów absolutnych“, a propagatorów idei ładu i porządku mianowano z zasady „zdrajcami kraju“, uświetniając natomiast aureolą legendy różne, stosunkowo słabsze jednostki, które jakichś chwilowych, popularnych dokonywały czynów, wojennych czy innych, ale nie miały dość rozumu, talentu i charakteru, aby największemu złemu w Polsce odważnie i stanowczo się przeciwstawić!

W takich warunkach musiało runąć wkońcu potężne państwo, tak niegdyś potężne, że jeszcze w połowie XVII-go wieku, zalane ze wszech stron przez Szwedów, Moskali, Kozaków, Tatarów i siedmiogrodzkich Węgrów, zdołało jednak wszystkich pobić i wypędzić, mimo dość daleko już wówczas posuniętego wewnętrznego rozkładu.

Ale wkońcu, mimo rozgłośnych zwycięstw pod Wiedniem i Chocimem, mimo raz poraz udzielanej pomocy z zagranicy, musiało upaść — li tylko wskutek złego bezrządu i anarchji. Żadna bowiem inna przyczyna nie jest wstanie usprawiedliwić sromotnych podziałów Polski, z pewnością jedynych w swym rodzaju w dziejach Europy.

Ale przez cały ciąg tych smutnych dziejów stopniowego upadku wije się złota nić myśli i wysiłków zwalczania anarchii i naprawy stosunków w państwie. Zabłysła chwilowo zwycięsko, choć niestety zapóźno, w Konstytucji 3-go maja. Potem, w okresie niewoli, gdy jedni zrywali się do broni bez widoków zwycięstwa, drudzy ściągali bezkrytycznie na pomoc do kraju różne czerwone idee, rzucając rozpaczliwe a absurdalne hasło, że wolność i szczęście narodu dadzą się zdobyć rewolucją socjalną — z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej — a inni wreszcie, kapitulując zupełnie z lepszej przyszłości

i zrealnego wysiłku, utworzyli sobie fantastyczne a niezmiernie wygodne usprawiedliwienie dla własnych sumień, że Polska jest niby jakimś mistycznym „Chrystusem Narodów", a więc odkupicielką za winy Moskali, Niemców, Turków, Anglików, czy może nawet i Chińczyków, to jednak w całym tym chaosie pojęć, dążeń i porywów złota nić realnego rachunku sumienia i naprawy Rzeczypospoliej wije się dalej, przechodząc izolowanemi dziełami i wysiłkami światłych jednostek z pokolenia na pokolenie.

Aż wreszcie okrzepła i zakwitła wspaniale w historycznej szkole krakowskiej, w tak zwanej grupie Stańczyków, którą to nazwę — a raczej zaszczytne przezwisko — nadano tym ludziom biorąc asumpt ze znanego historycznego faktu, że mądry, doskonale obserwujący stosunki błazen nadworny Zygmunta I=go, Stańczyk, przewidywał i przepowiadał już wówczas, w pełni Złotego Wieku, smutny los państwa, którem zaczęły wstrząsać coraz widoczniejsze objawy bezrządu, demagogii i politycznej niekonsekwencji.

Powierzchowność opinii publicznej oraz demagogia zwolenników łatwych a pustych haseł społeczno=politycznych napiętnowały fałszywie tę głęboką myśl i szkołę krakowską stygmatem zaśniedziałego konserwatyzmu i paraliżującego tężyznę narodu pesymizmu. Jedno i drugie było z gruntu błędne, jeżeli nie wprost złośliwe i kłamliwe.

Szkoła bowiem Stańczyków krakowskich nie miała nigdy cech pospolitego konserwatyzmu, jaki we wszystkich państwach i epokach, poza pewnemi swemi dodatniemi stronami, opiera się jednak głównie na materializmie i egoizmie pewnych warstw większego stanu posiadania, którego bezwzględnie broni, usiłując hamować naturalną ewolucję i zatrzymywać, wbrew kroczącemu naprzód

postępowi cywilizacyjnemu, istniejące stosunki i warunki, a przedewszystkiem przywileje większego stanu posiadania na tej samej wciąż platformie. Stąd pospolity konserwatyzm jest przedewszystkiem wrogiem wszelkiego, głębiej sięgającego, a co pewien czas niezbędnego rewizjonizmu pojęć i stosunków. Tymczasem historyczno-polityczna szkoła krakowska wystąpiła właśnie bardzo śmiało, niemal rewolucyjnie, z ideą i hasłem gruntownej rewizji przestarzałych, zakostniałych, a przez to szkodliwych dla odrodzenia narodowego pojęć, obaliła różne legendy i zarówno w szeregu teoretycznych dzieł naukowych, niedościgłych przedtem, ani potem pod względem głębi badania i ujmowania spraw, oraz niezrównanego, lapidarnego stylu, jak i doniosłym, praktycznym przykładem w całej swej półwiekowej działalności publicznej na różnych polach, wyrąbała nowe drogi, realne i wszechstronne, dla rzetelnego odrodzenia wszystkich warstw polskiego społeczeństwa. Nie zawahała się nawet, w imię prawdy dziejowej i w słusznej ocenie konieczności sprawiedliwej ewolucji pojęć obywatelskich, podnieść na jednem z pierwszych miejsc sprawy włościańskiej, a więc należytego uobywatelenia chłopa i przez to wzmożenia dotychczasowego pojęcia „narodu“ bardzo licznym czynnikiem włościańskim.

Że zaś protagonistami tej szkoły była pewna grupa uczonych, skupionych dokoła krakowskiej wszechnicy i Akademji Umiejętności, oraz większych właścicieli ziemskich, którzy prywatnie, indywidualnie byli z natury rzeczy konserwatystami— to rzecz w owych czasach i warunkach całkiem naturalna i oczywista. Wszak aż tak głębokiej rewizji pojęć, nie na fantazji i demagogii, ale na gruntownych studiach opartej i zrealizowania tego kierun-

ku w praktycznej polityce mogli w ówczesnych warunkach podjąć się tylko uczeni i magnaci. Nie byłby wstanie dokonać tego jakiś radykał-demokrata, wychowany w hasłach i sztucznych legendach, ani ścigany przez policję spiskowiec. Myśl, metoda i czyn stańczykowskiej rewolucji pojęć — bo tak nazwać to należy — mogły się wówczas dokonać tylko w atmosferze wysokiego poziomu naukowego, oraz wielkiego, wpływowego, tradycją historyczną opromienionego stanu posiadania.

Było to jakgdyby powtórzenie owego wielkiego, dalekosiężnego czynu krakowskich mężów stanu, który na przełomie XV-go wieku stworzył pierwsze podstawy mocarstwa polskiego przez doprowadzenie do skutku małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, rozszerzenie granic państwa na dalekie krainy, skonsolidowanie go i wreszcie przez zdecydowany pogrom Krzyżaków.

Podobną rolę, w innych coprawda warunkach, odegrali w drugiej połowie XIX-go wieku krakowscy Stańczycy. Inna warstwa społeczeństwa, czy inne stronnictwo nie byłoby wstanie spełnić tego zadania w ówczesnych czasach i warunkach.

A zarzut rzekomego pesymizmu, czyniony tej wielkiej szkole przez karłowatych tromtadratów i zarozumiałych demagogów, jest najobrzydliwszem kłamstwem i absurdem, jakie kiedykolwiek na zdrową, twórczą ideę narodową rzucono.

Właśnie bowiem demagogiczni apostołowie fantastycznej doktryny przywrócenia niepodległości narodowej drogą rewolucji socjalnej i bratobójczej walki — pomijający rzeczywistość olbrzymich armii zaborczych — jak również szerzyciele deprymujących pojęć o jakiemś Chrystusowem cierpiętnictwie Polski, mianowanej poetycznie, z zupełną kapitulacją, „krainą mogił i krzyżów", wyznawcy,

beznadziejnej doktryny o upadku Polski pod wpływem „siły wyższej" — ci właśnie byli i są największymi pesymistami, potęgującymi w narodzie ducha beznadziejności, apatji, zabójczego mistycyzmu i rozpaczy. Skoro bowiem ktoś wmówi w naród, że niewinnie, siłą wyższą został pokonany, to odbiera mu oczywiście wszelką nadzieję odrodzenia i łamie w nim wszelką tężyznę.

Całkiem przeciwnie szkoła Stańczyków: stwierdzając na podstawie źródeł historycznych i wyników ścisłej pracy naukowej, że naród polski przypisać winien swój upadek nie sile wyższej, nie jakiejś nadmiernej potędze wrogów, ale własnym błędem, a zwłaszcza własnej anarchii ustrojowej, dała temsamem społeczeństwu polskiemu wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli ono prawdę tę uzna, w piersi ze skruchą się uderzy i z wad poprawi, to wówczas wzmocni się tak, że przy jakiejś najbliższej okazji, której historia dostarczyć może, stanie się zdolnem do zdobycia i zorganizowania sobie na nowo niepodległego bytu.

Nieprawdą jest więc i kłamstwem, jakoby stańczykowska szkoła krakowska rezygnowała z idei odrodzenia niepodległości państwowej. Wprost przeciwnie — **ona jedna w tych smutnych czasach porozumienia trzech potęg zaborczych traktowała na sierio sprawę odrodzenia Polski i przygotowania na ten moment narodu pod każdym względem.** Ale, jako ludzie światli, wykształceni na nauce dziejów i bardzo realnie myślący, starali się Stańczycy wlać w hasło narodowego odrodzenia jakąś treść realną, stworzyć mu jakieś trwałe, faktyczne fundamenty, bez czego wszelkie dążenia i wymachiwanie chorągiewkami patrjotycznemi i spiski i demonstracje są oczywiście całkiem jałową, bezsilną a przez to właśnie tylko szkodliwą robotą.

I bieg wypadków przyznał zupełną rację idei i akcji Stańczyków. Stopniowo bowiem ugruntowało się w całym narodzie — mimo wielu hałaśliwych sprzeciwów — przeświadczenie, że istotnie potęga taka, jaką była niegdyś Polska, upaść mogła tak sromotnie oczywiście z własnej głównie winy. Naród przeprowadził — jedni świadomie, inni podświadomie — zalecany przez Stańczyków historyczny rachunek sumienia i przez to właśnie tak się stopniowo wzmocnił, zaprawił w dyscyplinie i pod każdym względem odrodził, że gdy nastąpiła przewidywana przez szkołę krakowską wielka okazja dziejowa w postaci ogólno-europejskiego konfliktu, a zwłaszcza konfliktu zaborców między sobą, to naród, uwolniony od najeźdźców, okazał się tak politycznie dojrzałym, że na gruzach powojennych zdołał natychmiast zorganizować się w silne państwo i w dwa lata później odeprzeć i rozbić po raz pierwszy od niepamiętnych czasów inwazję wojsk rosyjskich.

Każdy, realnie i logicznie myślący człowiek, przyznać musi, że nie byliby wstanie dokonać tego wszystkiego Polacy, zatruci i osłabieni dawną, demagogiczną anarchią, tradycjami liberum veto, złotej niekarności i paraliżującą mistyką „krainy mogił i krzyżów“. Mógł zdobyć się na to tylko naród, odrodzony ogniem stańczykowskiej krytyki historycznej i przeprowadzeniem głębokiego rachunku sumienia.

Dlatego w imię prawdy ustalić należy olbrzymią, epokową zasługę szkoły Stańczyków i stwierdzić, że swym surowym sądem, ale zarazem i **nawskroś optymistycznym, rozniecającym dobre nadzieje kierunkiem wlała w społeczeństwo polskie odpowiednią tężyznę, niezbędną dla politycznego odrodzenia narodu.**

Ale tymczasem dojrzewał stopniowo konflikt zbrojny zaborców, w którym także Francja i inne mocarstwa zachodnie miały wziąć udział. A wówczas rola zbrojenego czynu przypaść musiała w Polsce z natury rzeczy ludziom innego pokroju. Nie mogli podjąć się tego uczeni i magnaci, skupieni w szkole krakowskiej, bo trudno wyobrazić sobie profesorów uniwersytetu, członków Akademji Umiejętności oraz oficjalnie odpowiedzialnych polityków, piastujących z trudem i ku chwale społeczeństwa polskiego zdobyte stanowiska dygnitarskie w państwach zaborczych — co też oczywiście przyczyniało się niemało do spotęgowania mocy narodu i naszych wpływów — aby zeszli nagle do podziemi, chwycili za bomby i rewolwery i... opuścili widome, czołowe stanowiska przewodnie w społeczeństwie, pozostawiając je do objęcia chyba tylko niemieckim, czeskim lub rosyjskim urzędnikom. Jasnem jest, że gdy nadeszła właściwa pora do zainicjowania walki zbrojnej przez Polaków, to nie mogła inicjatywa ta zrodzić się w gabinetach uczonych, na katedrach uniwersyteckich, ani w salonach politycznych, wśród ludzi starszych, dźwigających na sobie odpowiedzialność za aktualne losy społeczeństwa polskiego w danej chwili.

I dlatego praktyczną realizację tego kierunku, który przez pół wieku szerzyła z wielkim zaparciem się w narodzie historyczno-polityczna szkoła krakowska, chwycić musieli w rękę inni ludzie, do tej roli odpowiedni — ludzie z zakonspirowanych podziemi niepodległościowych. A opatrznościowym Mężem chwili, który z własnej inicjatywy, słusznym wiedziony instynktem i przeczuciem, do ujęcia kierownictwa tego ruchu od młodości się gotował, był Józef Piłsudski.

Epokowa postać Marszałka Józefa Piłsudskiego,

a szczególnie jego działalność od chwili ostatecznego objęcia władzy w państwie, jaśnieje wybitnie na tej samej, kilkowiekowej linii Naprawy Rzeczypospolitej. Mimo całkowicie samorzutnej swej inicjatywy i własnego, niezależnego programu postępowania, jaki w ciągu długich lat swych cierpień i zmagań i głębokiej, na długiem doświadczeniu opartej refleksji nad sprawą polską, Józef Piłsudski podjął i zbudował, nie może ulegać dla uważnego badacza żadnej wątpliwości, że ogólne cele, ileologia i specyficzny charakter działalności i dążeń wielkiego Wodza narodu nawiązały do tradycji, metod i charakteru krakowskiej szkoły polityczno-historycznej — oczywiście z uwzględnieniem odmiennych stosunków powojennych i ogólnej modernizacji pojęć. Wszak istotą ideologii i działalności Józefa Piłsudskiego, zwłaszcza po jego majowym zamachu stanu, jest walka z prastarym polskim duchem anarchii, demagogii i liberum veto. Tego właśnie ducha anarchii, rozszerzonego z dawnych tłumów szlacheckich w nowych czasach na wszystkie warstwy społeczeństwa, napiętnował Józef Piłsudski i ośmieszył skutecznie w swych znanych, tak dosadnych enuncjacjach. A przytem — co stanowi typowy charakter całej linii Naprawy Rzeczypospolitej — uderzył w wysoki ton rycerski i historyczny, czego nie umiało, czy z demagogicznych względów nie chciało uczynić żadne ze stronnictw, które przed zamachem majowym przychodziły kolejno do władzy.

Józef Piłsudski podniósł polską myśl polityczną po wskrzeszeniu niepodległości na wysoki poziom, wzbudził przez to w narodzie myśl mocarstwową, nawiązującą do najświetniejszych tradycji jagiellońskich. Podniósł przedewszystkiem i zrealizował odwieczny postulat silnej władzy w państwie, o który daremnie walczyły od kilkuset lat światlejsze, wy-

bitne umysły, a czemu z zaciekłością duch demago=gii i anarchii w Polsce się przeciwstawiał. A przecież był to najważniejszy postulat krakowskiej szkoły historycznej — w przeciwstawieniu do mentalności całej niemal reszty społeczeństwa—wyłożony i uza=sadniony głęboko w długim szeregu wybitnych dzieł naukowych tej szkoły.

Ten właśnie postulat, ten wysoki ton historycz=no=rycerski, ta odważna walka z duchem demagogii, anarchii i wszelkiej hasełkowości i to wreszcie na=stawienie na szeroki program Polski mocarstwowej, z lekceważeniem wszelkich momentów schlebiania tłumom i taniej popularności — oto kwintesencja owej, niby sfinksowej „ideologii Marszałka", o któ=rej tak wielu prawi, pod którą tak wielu usiłuje się podszywać, nie rozumiejąc jej należycie, a która — mutatis mutandis — jest w najgłębszej swej istocie niczem innem, jak poprostu nawiązaniem do pod=stawowych tez i wniosków krakowskiej szkoły.

I tym duchem rycerskim, tą ideologią narodowe=go rachunku sumienia i Naprawy Rzeczypospolitej natchnął Józef Piłsudski także swych najbliższych współtowarzyszy pracy. Mimo wszelkich różnic in=dywidualnych między nimi a dawnymi Stańczyka=mi, mimo odmiennych form i nawet odmiennej plat=formy działania, co wszystko tłomaczy się oczywi=ście zasadniczą zmianą stosunków i różnicą tła i ge=nezy ruchu niepodległościowego w porównaniu z warunkami, tłem i genezą krakowskiej szkoły, nie może ulegać wątpliwości, że historyczna rola „Pił=sudczyków" stanowi w bardzo znacznym stopniu praktyczną realizację fundamentów ideowych, któ=re stworzyła krakowska szkoła. I tem się też tłuma=czy, że przedstawiciele obu tych grup, mimo wiel=kich różnic pod niejednym względem, znajdują tak

łatwo w osobistem zetknięciu wspólną myśl i wspólny język.

Ale rzecz również niewątpliwa, że na dłuższą metę myśl państwowa, nadrzędna, bezkompromisowa, dalekosiężna, oderwana nieraz od bezpośredniego aktualizmu, a czerpiąca swe soki żywotne przedewszystkiem z naukowo-historycznej analizy i syntezy, nie może opierać się wyłącznie na sferach, rządzących w każdej danej epoce państwem, na zmiennych gabinetach ministrów, które mają przedewszystkiem za zadanie bezpośrednie załatwienie spraw bieżących i muszą z natury rzeczy postępować w wielu wypadkach kompromisowo, w zetknięciu z płynną rzeczywistością każdego dnia. Splot aktualistycznych pociągnięć w polityce wewnętrznej i zagranicznej nie może sam przez się stanowić systematycznej szkoły, choćby nawet w ogólnym zarysie był jej wyrazem. Praktyczna działalność czynników rządzących musi uwzględniać t. zw. „przygody dnia" i fluktuacje różnych, nieraz bardzo ważnych koniunktur. I dlatego idea Polski mocarstwowej oraz dalszej Naprawy Rzeczypospolitej wymaga imperatywnie kontynuowania tego kierunku i odpowiedniej akcji w łonie samego społeczeństwa, wśród sfer, nie obarczonych ciężarem bezpośrednich obowiązków rządzenia.

Musi więc istnieć i działać w Polsce w dalszym ciągu szkoła o charakterze historyczno-politycznym, która — uderzając jednem skrzydłem o przeszłość, a drugiem o przyszłość narodu i państwa—stanowić winna niewzruszoną opokę polskiej racji stanu wśród oceanu zmiennych sytuacji, postulatów chwili, różnorodnych poglądów i koniunktur. Nie może roli takiej opoki odgrywać jakiekolwiek stronnictwo, gdyż każde stronnictwo, dążące z natury swej do władzy, do mandatów w ciałach ustawodawczych

i do tek ministerialnych, opierać się musi na taktyce kompromisów i zbyt pogrążone jest w kalejdoskopie codziennych zjawisk, haseł i kuniunktur, aby było naprawdę w stanie jakąś niewzruszoną linię państwowej racji stanu nadrzędne kontynuować.

Rolę tę pełnić więc może tylko odpowiednia szkoła, o charakterze na pół naukowym, a na pół politycznym, zbudowana nie sztucznie, ale organicznie z odpowiednich ludzi, którzy w zasadzie zrezygnowali z ambicji osobistej, kariery politycznej i dlatego są w stanie obserwować i ujmować wszelakie zjawiska w państwa z niezależnym obiektywizmem i wyciągać z nich odpowiednie wskazania i tezy z pewnym „suwerennym“ gestem.

Nie znaczy to, żeby szkoła tego rodzaju postawiła sobie za regułę odmawianie bezpośredniego udziału w aktualistycznej pracy obywatelskiej, czy rządowej, gdy się jej w zaszczytnych warunkach odpowiednia okazja nadarzy. Ale rzecz w tem, że dążenie do władzy nie powinno być jej celem, w przeciwieństwie do stronnictw politycznych, a natomiast stanie na straży skarbu państwowej racji stanu i idei mocarstwowej, rozwijanie i propaganda tej idei, wlewanie w nią odpowiedniej, poważnej a realnej treści, zdecydowany odpór tego wszystkiego, co tej idei może zagrażać i wpływanie w ten sposób na odpowiednie kształtowanie się psychiki i dążeń społeczeństwa.

To właśnie zadanie wzięliśmy na siebie przed kilku laty i rozbudowujemy je możliwie wszechstronnie, zarówno na łamach „Naszej Przyszłości“, jak i w zainicjowanym przez nią Związku Polskiej Myśli Państwowej. Kontynuujemy więc w prostej linii i bez luki ideę dawnej historyczno-politycznej szkoły krakowskiej i to właśnie specjalnie od tego momentu, gdy w lutym 1932 r. stronnictwo krakow-

skie — t. zw. Prawica Narodowa — powstałe ongiś na zasadach tej szkoły, przestało istnieć wskutek autolikwidacji i wstąpienia znacznej większości jego członków do stworzonej we wspomnianym terminie nowej, ogólno-zachowawczej organizacji krajowej.

W tej organizacji, łączącej w sobie najróżnorodniejsze żywioły ziemiańskie i przemysłowe o charakterze konserwatywnym, w ścisłem, klasowem i materialistycznem tego pojęcia znaczeniu, zniknąć musiał oczywiście rdzenny duch stańczykowskiej szkoły. Przeniósł się z kolei do naszego grona i to tem łatwiej, że mimo przynależności przez pewien czas jeszcze zwolenników „Naszej Przyszłości“ do oficjalnego obozu zachowawczego, integralna różnica mentalności i metody działania między nami a olbrzymią większością konserwatystów od dawna się zarysowała i rysa ta zwiększała się z dniem każdym.

Działaliśmy intuicyjnie, stroniąc od aktualistycznej polityki partyjnej i sejmowej i od wszelkich ambicji i akcji wyborczych, a natomiast wykuwając stopniowo w tem wydawnictwie i na licznych naszych specjalnych zebraniach, odbywanych pod firmą Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“, metody, program i coraz konkretniejsze zadania o charakterze ogólnej użyteczności państwowej, całkiem różne od tych, jakie ma praktycznie na celu obóz zachowawczy i stronnictwa polityczne wogóle.

Zwłaszcza zaś od czasu autolikwidacji konserwatywnej Prawicy Narodowej, co nastąpiło — dziwną ironią losu — na wniosek niektórych epigonów dawnej szkoły krakowskiej, prawdziwy duch stańczykowski ujawnił się wśród nas w całej pełni, oczywiście w odpowiednio do dzisiejszych stosunków zmodernizowanej postaci i uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy — bezpośrednimi kontynuatorami Stańczykowskiej idei i szkoły, całkiem odmiennej od te-

go wszystkiego, co się w Polsce rozumie pod nazwą konserwatyzmu.

Obecnie więc, gdy świadomość tej zaszczytnej roli — wolnej zresztą od jakichkolwiek ambicji politycznej kariery — dostatecznie już się w naszem gronie i wydawnictwie ugruntowała i gdy Związek Polskiej Myśli Państwowej, odmienny swym statutem integralnie od wszelkich tworów partyjno-politycznych, czy klasowo-społecznych lub egoistycznie gospodarczych, wdrożył cały szereg praktycznych zadań w różnych dziedzinach pracy państwowej, wewnętrznej i zagranicznej i wykuł szereg tez podstawowych dla polskiej racji stanu, jak ją na podstawie dobrej znajomości historii i objektywnej analizy nowoczesnych zadań państwa polskiego rozumiemy, gdy wreszcie zdezorjentowana co do istoty naszej akcji prasa polska różnych odłamów uderzyła w nas bezkrytycznie gradem kamieni, przylepiając nam dowolnie najfantystyczniejsze przydomki i zamiary — uznajemy za wskazane i konieczne podnieść zakrytą dotąd przyłbicę i oświadczyć publicznie, że jesteśmy stańczykami w pełnem i głębokiem tego słowa znaczeniu.

Co to znaczy w dzisiejszych warunkach „stańczyk"? Jakie są, jasno i szczerze mówiąc, charakter mentalność i właściwe cele tej szkoły?

Przedewszystkiem zastrzec się musimy z naciskiem, że idea stańczykowska, a zatem i stańczykowska metoda ujmowania zjawisk społeczno-politycznych, nie jest bynajmniej równoznaczną z pojęciem konserwatyzmu. Fakt, że stańczycy krakowscy dawnego pokroju byli równocześnie konserwatystami, nie ma nic do rzeczy. Stało się to tylko wskutek ówczesnego zbiegu różnych politycznych okoliczności i ówczesnego społecznego układu sił. Aby wytworzyć taką szkołę państwowego myślenia ze zlek-

ceważeniem wszelkiego względu na popularność, trzeba było wówczas — przeszło pół wieku temu — być albo wybitnym, niezależnym od wpływów zdawkowej opinii publicznej uczonym, albo równie niezależnym magnatem. A że ci uczeni i magnaci krakowscy, wszystko ludzie o bardzo wysokim poziomie wykształcenia i kultury, byli w ówczesnych warunkach z natury rzeczy konserwatystami — bo czem innem być nawet nie mogli — więc ówczesna szkoła stańczykowska rozwinęła się na tle konserwatywnem.

Ale pod jej wpływem konserwatyzm ten krakowski odróżnił się i odciął odrazu od zwykłego konserwatyzmu, opartego tylko na tradycji rodowej lub materialnym stanie posiadania w reszcie ziem polskich. Wszak znany jest mocny antagonizm między ówczesną szkołą krakowską a np. konserwatystami wschodnio-galicyjskimi. Ci ostatni, niecierpiący stańczyków, których uważali poniekąd za „postępowców i rewolucjonistów", byli przedstawicielami pospolitego, materialistycznego, szlachecko-gospodarczego konserwatyzmu. Podobnie i w innych dzielnicach Polski byli stańczycy w sferach pospolitego konserwatyzmu bardzo nielubiani, głównie z powodu swej dalekosiężnej ideologii postępowej oraz niemiłosiernego, na dokładnych studiach historii narodu wykształconego obiektywizmu, który obalał pobożne a kłamliwe legendy i kładł wszędzie kropki nad i w imię prawdy dziejowej i niezbędnego dla odrodzenia narodu rachunku sumienia.

Tem bardziej dzisiaj, w epoce ogólnej demokratyzacji pojęć i stosunków, wcale nie potrzeba być konserwatystą, w rodowem lub materialistycznem tego słowa znaczeniu, aby być stańczykiem. Idea

bowiem stańczykowska, to szeroka myśl ogólno-państwowa i ogólno-społeczna, przekraczająca śmiało wszelkie zakostniałe, egoistyczne pojęcia i interesy partyjne i klasowe, a zwłaszcza panujące chwilowo w kraju, pod wpływem różnych, wciąż zmiennych sytuacji i wypadków, orientacje i nastroje.

Prawdziwy stańczyk nie jest w zasadzie ani konserwatystą, ani demokratą, ani radykałem, ani wogóle żadnym innym więzom i fluktuacjom zmiennej, jak wiatr, mody społeczno-politycznej nie podlega, ale jest przedstawicielem i niezależnym protagonistą mocarstwowej idei państwowej i głębszej narodowej racji stanu, wytyczonej nadrzędnie, z bardzo szerokim horyzontem, bez żadnych uprzedzeń, przesądów, haseł partyjnych lub klasowych i kontynuowanej niewzruszenie wśród kłębowiska wypadków i nastrojów. Nie jest bezkrytycznym, niewolnym reprezentantem żadnej warstwy społecznej i jej jednostronnych, materjalistycznych interesów. Stąd też nie podlega w mentalności swej nikomu i nie jest rzecznikiem żadnej prywaty. A przedewszystkiem, jak się już wyżej rzekło, nie traktuje żadnych spraw z punktu widzenia własnej kariery.

Nienawidzi organicznie wszelkiej hasełkowości i tromtadracji. Uważa głoszenie prawdy, opartej na obiektywnej analizie faktów — choćby gorzkiej niejednokrotnie prawdy — za podstawowy warunek narodowego i państwowego wychowania. Będąc w zasadzie zwolennikiem nieuginającego się w żadnej niedoli optymizmu — gdyż tylko optymizm może twórczo działać, a pesymizm jest objawem patologicznym — jest jednak stańczyk stanowczym przeciwnikiem wszelkiego sztucznego, oportunistycznego upiększa-

nia przeszłości lub teraźniejszości i łudzenia w ten sposób społeczeństwa tęczowym fałszem.

Czy stańczyk ma jakiś stały światopogląd?

Oczywiście — i to bardzo mocny, o ile chodzi o pewne zasady — ale nie sztywny we wszystkich sprawach, lecz uwarunkowany ścisłym objektywizmem. Jako bowiem wyznawca prawdy i objektywnej metody traktowania spraw i zagadnień, nie może ustosunkować się do nich stańczyk według pewnego sztywnego szablonu. W skrajnem przeciwieństwie do różnorodnego partyjnego niewolnictwa, które zwolennikom swym każe naginać rzeczywistość do rozmaitych, a priori skonstruowanych i w szeregach punktów spetryfikowanych programów partyjnych — odnosi się twardy objektywizm stańczykowski rozmaicie do różnych zagadnień, zależnie od ich istoty i charakteru.

W jednych więc problemach jest stańczyk daleko bardziej konserwatywnym od pospolitego, hołdującego zwykle oportunizmowi i kompromisom konserwatysty. W innych kwestiach jest natomiast bardziej radykalnym i postępowym, niż zawodowi nasi radykali, a nawet socjaliści, w których doktrynie, a zwłaszcza praktyce jest w istocie wiele zaśniedziałego konserwatyzmu, zwłaszcza, gdy chodzi o konserwowanie materialnego ich stanu posiadania, a szczególnie o konserwowanie ad infinitum stosunków, na których ci zawodowi radykali, postępowcy i socjaliści żerują, sprzeciwiając się wszelkiej rewizji z egoistycznej obawy ewentualnego popsucia sobie wygodnej platformy poziomych interesów politycznych lub finansowych.

Dlatego w pewnych wypadkach żaden konserwatysta nie ośmieli się tak twardo i bezkompromisowo obstawać przy pewnych zasadach, jak to czyni stańczyk, w innych znowu żaden radykał nie ma

odwagi i szczerości pójść naprzód tak daleko i tak integralnie z propagandą prawdziwego postępu, na jaką stać osobiście bezinteresownego stańczyka.

Stąd wynika, że idea i mentalność stańczykowska nie daje się ranżować w żadną rubrykę znanych, utartych przekonań i partii politycznych, ani klas społecznych. Co stańczyk poprze, a czemu się sprzeciwi — i to w obu wypadkach bardzo zdecydowanie i lapidarnie — to zależy całkowicie od istoty i charakteru danej sprawy oraz obiektywnego przemyślenia jej ostatecznych skutków dla narodu i państwa. Żadnych sztywnych doktryn i drukowanych punkt po punkcie programów stańczyk nie uznaje. Jest bowiem człowiekiem intelektu par excellence, a główną cechą prawdziwego intelektu jest niezależność myśli i swoboda sądu. Spiritus flat, ubi vult.

Jeżeli jednak szkoła stańczykowska nie znosi więzów partyjnych i klasowo-społecznych i dlatego nie uznaje żadnego sztywnego, wypunktowanego światopoglądu, który nawet z inteligentnych ludzi robi z reguły bezmyślną masę, ślepo posłuszną swym przywódcom, to natomiast ma stańczyk wielki, niespisany program: ideę.

A program ten i idea nie są oparte na żadnych sztucznych założeniach i kombinacjach. Prawdziwa bowiem idea, jako przewodnia myśl i cel dla całego narodu i państwa, nie da się nigdy sztucznie wykombinować, ale wypływa samorzutnie, organicznie, z całej nauki dziejów danego narodu i ze specyficznych warunków jego racji stanu.

Dlatego, zdaniem naszem, jako wiernych kontynuatorów stańczykowskiej mentalności i szkoły, błędne i daremne są wysiłki nowoczesnego społeczeństwa polskiego szukania i formułowania sobie jakichś nowych, par force „powojennych" programów. **Naturalnym bowiem, jedynym i odwiecznym**

programem — zawierającym w sobie moc wielkiej idei — jest i może być dla Polaków tylko: restytucja w poprawnem, odpowiednio zmodernizowanem wydaniu państwa o troistym herbie. „Polska, Ruś i Litwa — to nasza modlitwa“, mówi stara piosenka, a piosenka ta jest bez żadnej wątpliwości najprawdziwszym wyrazem polskiej, narodowej i państwowej racji stanu. Jest kwintesencją polskiej „geopolityki“, mówiąc językiem nowoczesnym. Żadnych też innych programów nam nie potrzeba, bo wszystkie inne byłyby sztucznie, demagogiczne, albo tchórzliwe. I jeżeli ideą przewodnią dawnych stańczyków, pod obcym zaborem, było dążenie do odpowiedniego wzmocnienia i przygotowania narodu na przewidywany w przyszłości moment odzyskania niepodległości, to dzisiaj zadanie to odpowiednio się rozszerzyło i polega na **wzmocnieniu i przygotowywaniu zawczasu społeczeństwa polskiego do takiego wyzyskania różnych okazji, które się same niewątpliwie nastręczą, aby mocarstwo o troistym herbie stało się znowu faktem i ażeby przez to błędy przodków naszych zostały naprawione.**

A jak pogodzić rolę i żywotny interes polskiego narodu z racją stanu przyszłego wielkiego państwa, w którego skład wejdą różne inne narody? Endecja nie umie rozwiązać racjonalnie tego zagadnienia i dlatego radaby skurczyć Polskę do obszarów ze zdecydowanie polską większością, tak, aby „naród polski był jedynym gospodarzem w całym kraju“.

Małoduszne to pomniejszanie Ojczyzny! Zbyt mało bowiem jest rdzennych Polaków, aby Polska li tylko etnograficzna mogła wobec sąsiednich państwowych kolosów mocarstwowość swą utrzymać.

Państwo polskie musi być więc z natury rzeczy wielonarodowościowe. **Ale wśród tych, obywatel-**

sko równouprawnionych narodów w obrębie państwa o troistym herbie, narodowi polskiemu przypada rola „narodu prowadzącego“.

Oto nasza idea, wypływająca organicznie zarówno ze specyficznego położenia obszarów „władztwa polskiego“ mniej więcej między Odrą a Dnieprem, jak i z całego sensu naszych dziejów i naszej misji historycznej, oraz z imperatywnych postulatów obrony narodowej w szerokiem tego słowa znaczeniu. Nie przesądzamy tylko z góry ostatecznej formy prawnej tej restytucji dawnej Rzeczypospolitej, bo w żadne jasnowidztwa wdawać się nam nie wolno. Zależeć będzie ta forma oczywiście od różnych okoliczności, a w pierwszym rzędzie od tężyzny, rozumu, solidarności i politycznego wyrobienia polskiego narodu. Cała sztuka w tem, aby umiejętnie przygotować zawczasu odpowiednie okazje, natchnąć Polaków odpowiednim, ekspansywnym wigorem i utrwalić w innych narodowościach przekonanie, że byt ich i dobrobyt zapewnione mogą być tylko właśnie w ramach wielkiego, wspólnego mocarstwa, z Polakami na czele.

I do tego wielkiego celu dążyć należy z nieugiętą konsekwencją, bez względu na chwilowe, częściowe, efemeryczne konstelacje i wypadki, do których na razie, dorywczo, tak czy inaczej wypada się naszym rządom ustosunkować.

A pod względem społecznym, jak wygląda stańczykowska idea? I w tym zakresie opiera się na nauce dziejów i na prostym objektywizmie. Będzie może dla niejednego z czytelników rewelacją, jeżeli oświadczymy na tem miejscu, iż — ogółem biorąc — uznajemy konieczność humanistarystyczną i cywilizacyjną stuletniej walki niższych warstw społeczeństwa o zdobycie pełnych praw obywatelskich

i należytego poszanowania dla pracy, niegdyś przez snobizm herbowy pogardzanej. Wszak nie tak dawno jeszcze nietylko praca robotnika, ale wszelka wogóle praca zawodowa uważana była za coś „niskiego“ przez warstwy ludzi, w których dziedziczenie majątków i „wytworny“ brak zawodowego zajęcia stanowiły podstawę „wyższości społecznej“. Nie tak to dawne czasy, kiedy jakaś panna z ziemiańskiego domu nie chciała wyjść za znakomitego lekarza, człowieka o wielkiej kulturze i wybitnem stanowisku obywatelskim, dlatego tylko, że „ten pan ma zajęcie“. A wytworny człowiek z wyższej sfery — z „towarzystwa“ — nie powinien przecież mieć żadnego określonego zawodu!

I takie przedpotopowe pojęcia panują dziś jeszcze, podświadomie, nawet w najbardziej demokratycznych i radykalnych sferach. Widzieliśmy nieraz politycznych radykałów, ba, nawet socjalistów, kłaniających się w pas ludziom z „wyższej sfery“, na których na wiecach wyborczych piorunują, szerząc hasła odebrania im majątku „bez odszkodowania“. Ci sami radykalni krzykacze, zaproszeni na wytworne salony, z niskim ukłonem ściskają nieśmiało dłoń magnacką i poniżają się do roli wesołków nadwornych, aby „uciesznemi krotochwilami“ rodzinę magnata zabawić. Jest to więc wywłaszczanie obywatela z godności demokratycznej „za odszkodowaniem“ w formie wykwintnego obiadu i pobytu w arystokratycznym salonie.

Dajemy tu świadectwo objektywnej prawdzie. Tak, a nie inaczej traktują nasi srodzy demokraci i postępowcy swą „godność obywatelską“!

A my, stańczycy, choć otwarcie wyznajemy niezaprzeczoną pawdę, że ludzie pod względem intelektu i majątku, nie są i nie będą nigdy równi, żeby

nawet wszystkie doktryny i systemy socjalne na gło=wie się postawiły, to jednak stanowczo stawiamy postulat zaprowadzenia raz nareszcie w społeczeń=stwie cywilizowanem prawdziwej, rzetelnej równo=ści obywatelskiej i poszanowania godności ludzkiej. Walka klasowa, jako długoletni, naturalny epizod historyczny, zakończyła już swoją rolę, wykonała swe zadanie, doprowadziła do teoretycznej równo=ści prawnej i do różnych urządzeń humanitarnych. Przesadziła już w tem nawet, gdyż zanadto wybuja=jąc, płodzi bolszewizm, zniszczenie, cofanie się wstecz, utrudnia już postęp i zamienia ludzi nieraz w dzikie zwierzęta, a już conajmniej roznieca w nich niższe instynkty, prawdziwie bandyckie — ra=bunku cudzego mienia. Natomiast walka klasowa wcale nie dokonała jednego z najważniejszych swych zadań, mianowicie przezwyciężenia pychy stanowej i snobizmu, przed którym płaszczą się dziś jeszcze najradykalniejsi demokraci. W rezul=tacei tej dziwacznej ewolucji gnębi się dzisiaj cnotę, zasługę i wszelkie wogóle prawdziwe, wyższe ludz=kie walory i jako teoretyczny ideał obywatelski wy=nosi się na piedestał niegramotnego, „wielkiego cha=ma“, do którego wszystkie stosunki w kraju i kon=stytucje mają się niby dostosować — ale w rzeczy=wistości próżny snobizm herbowy, niczem już dzi=siaj konkretnem nie uzasadniony i średniowieczny podział społeczeństwa na klasy istnieje w dalszym ciągu, uznawany czołobitnie nawet przez skrajnych radykałów.

Bo prawdziwa demokracja nie polega na tem, aby niszczyć bliźniego, który coś więcej posiada i wyzuwać go gwałtem z mienia dla doktrynerskich fikcji fałszywie, po zbójecku pojętego „postępu“, ale przedewszystkiem na takiem podniesieniu kul=tury i godności własnej każdego obywatela,

aby żadne przestarzałe przywileje społeczne, żadne tytuły i tradycje same przez się nic nie znaczyły. Szacunek winny budzić tylko cnota, talent, zasługa, dowody prawdziwej kultury osobistej — ale żadne snobistycznie i „tytularne“ momenty. A w takiej dopiero atmosferze, **wolnej od zawiści społecznej, ale także i od uczucia niższości jednego obywatela wobec drugiego,** mogą być zaprowadzane racjonalne, dla ogółu i państwa rzetelnie korzystne i trwałe reformy. Na tem polega prawdziwy postęp cywilizacji, a nie na nienawistnych hasłach, bratobójczej walce, niszczących eksperymentach i socjalistycznych doktrynach społecznego gwałtu i przymusu, przy równoczesnem kłanianiu się w pas przed zaśniedziałym, próżnym snobizmem.

Słowem — o ile sprzeciwiamy się stanowczo wszelkim demagogicznym, przestarzałym doktrynom i eksperymentom socjalnym oraz przedłużaniu całkiem już niepotrzebnej, a tylko szkodliwej walki klasowej, którą zastąpić winien rozumny, trzeźwo pojęty solidaryzm obywatelski, to z drugiej strony nikt nie ma powodu zarzucać nam jakiegokolwiek wstecznictwa, gdyż rozumiemy doskonale realne warunki ducha czasu i gotowi jesteśmy popierać każdą, nawet najśmielszą reformę i każde postulaty szerokich mas ludowych, **byle tylko reformy te i postulaty odpowiadały prawdziwej sprawiedliwości społecznej, wymaganiom zdrowego rozsądku, żywotnym interesom państwa i aby** — czego lekkomyślnie nie wolno pomijać — **były w kraju odpowiednie środki na racjonalne przeprowadzenie tych postulatów** postępu, a nie żeby hasła postępowe rzucane były w lud lekkomyślnie, jako złudne, jątrzące obietnice, jako narzędzia do szerzenia zbrodniczej demagogii, bez faktycznej możności

urzeczywistnienia tych obietnic z rzetelną, trwałą korzyścią dla państwa i społeczeństwa.

Podobnie z góry i stanowczo zastrzegamy się przeciw bezkrytycznemu posądzaniu nas — jako wyznawców integralnej stańczykowskiej idei, natchnionej wyłącznie rzetelnym interesem państwa i narodu — o naśladownictwo jakichkolwiek modnych obecnie zagranicą i rozpowszechnionych tam specjalnych systemów i doktryn ustrojowych, a więc np. faszyzmu, hitleryzmu, wszelakich koncepcji dyktatorskich, nacjonalistycznych, czy „ludowładczych“. Nietylko nic wspólnego z tem wszystkiem nie mamy, ale wprost przeciwnie — piętnujemy wszelkie naśladownictwo cudzych wzorów przez Polaków jako upokarzające i szkodliwe świadectwo ubóstwa polskiego intelektu. Niech Moskwa będzie dla Moskala, Rzym dla Włochów, Berlin dla Niemców, Paryż dla Francuzów — a my, Polacy, winniśmy wykoncypować i skonstruować dla siebie taki swoisty ustrój, jaki naszej mentalności i potrzebom naszego kraju istotnie odpowiada. Nam żadne cudze pomysły ustrojowe nie imponują, a jeżeli cośkolwiek możemy wziąć z niektórych dobrych wzorów zagranicznych, to jedynie tylko przykładny istotnie u pewnych narodów o wysokiej cywilizacji **zmysł organizacyjny, porządek i konsekwencję w każdej pracy.** Ale pozatem, jak słusznie wyśmiewa to jeden z wielkich naszych wieszczów, Polska nie powinna być „papugą narodów“, ale własnym, rodzimym, zdrowym kierować się rozsądkiem.

Jako protagoniści metody bezwzględnego objektywizmu, **nie czujemy wobec nikogo w kraju czy zagranicą zasadniczej nienawiści.** Staramy się wszelkie przejawy myśli i działalności ludzkiej, prywatnej czy państwowej, możliwie objektywnie zgłębić i wyrozumieć. Jeżeli zaś występujemy stanowczo

przeciw pewnym prądom, stronnictwom lub nawet całym państwom, to tylko o tyle i tak długo, dopóki przejawia się w nich szkodliwa tendencja dla Polski. Gdy to szkodliwe nastawienie u nich się zmieni, to pierwsi cieszyć się będziemy i odrazu zmienimy taktykę.

Jedno tylko zwalczać będziemy zawsze, do upadłego: Rosję — i to bez względu na panujący w niej ustrój. Ten bowiem osobliwy konglomerat szczepowy, zatruty od wieków ideą rozkładowego fatalizmu, a równocześnie także ustawicznego zaborczego imperializmu w różnych formach, białych czy czerwonych, był, jest i może być dla Polski i dla zachodniej cywilizacji zawsze tylko szkodliwym. Nic nigdy dobrego, dodatniego Rosja Polsce i światu nie dała, a obecnie wali stamtąd na cały świat najstraszniejsza, najprzewrotniejsza, moralna, społeczna i ustrojowa zaraza, która chce zniszczyć i przekreślić cały dorobek cywilizacji i prawdziwego postępu i zamienić całą ludzkość w dzikie, niewolne bydło.

I dlatego stwierdzamy objektywnie, że o ile ze strony Niemiec grozi nam tylko techniczne i polityczne niebezpieczeństwo, które możemy paraliżować należytem zbrojeniem się i zawieraniem odpowiednich sojuszów z innemi państwami, którym nadmierny wzrost potęgi niemieckiej również zagraża, o tyle niebezpieczeństwo rosyjskie uważamy za podwójnie większe: nie tylko pod względem technicznym i politycznym, wzmożonym jeszcze kolosalnymi rozmiarami tego państwa, ale i pod względem płynących stamtąd prądów rozkładowych, daleko niebezpieczniejszych od pocisków armatnich i bomb samolotowych. A niebezpieczeństwo to potęguje jeszcze pewne pokrewieństwo szczepowe z nami i podobieństwo mowy, co płodzi samobójcze dla

nas sympatje prorosyjskie — a w konsekwencji i probolszewickie — w licznych jeszcze sferach naszego społeczeństwa, a nawet ideologię, propagowaną przez niektóre nasze stronnictwa, oparcia się o Rosję na podstawie „słowiańskiego braterstwa“, czyli poprostu mimowolną kapitulację moralną i polityczną wobec moskiewskiego kolosa.

Stwierdzamy więc na podstawie bacznej obserwacji, że o ile przeciw ewentualnemu niebezpieczeństwu niemieckiemu naród nasz dostatecznie jest nastawiony, czujny i odporny, o tyle przeciw zaborczym, gangrenującym zakusom Moskwy nie jest w podobnym stopniu opancerzony. I dlatego właśnie akcentujemy silnie nasze stanowisko już nietylko antybolszewickie, ale i antyrosyjskie wogóle. Wobec Niemców zaś nie widzimy potrzeby naszego odpornego stanowiska w takim samym stopniu akcentować, gdyż konstatujemy zgodność i odporność w tym względzie całego polskiego społeczeństwa.

Ale, jak z powyższego widać, dalecy jesteśmy od jakiegokolwiek germanofilstwa i wogóle uważamy, że **wszelkie jednostronne, bezkrytyczne, czułostkowe sympatje wobec wszelkich obcych państw i narodów są dowodem politycznego dziecińśtwa i szkodliwego zaślepienia.**

Niepodległa Polska, o aspiracjach mocarstwowych, powinna kierować się w praktyce zagranicznej i wogóle w stosunkach z obcymi **jedynie i wyłącznie własnym, trzeźwym interesem** i nie dać się narkotyzować jakimikolwiek uczuciowymi motywami. Pamiętajmy, że każdy cudzoziemiec, bez wyjątku, odnosi się do nas także tylko z punktu widzenia swego egoizmu państwowego, narodowego, czy gospodarczego i największy nasz przyjaciel i sojusznik może nas każdej chwili zdradzić, gdy odpowiadać to będzie jego chwilowym interesom.

Z drugiej strony — w myśl tej samej logiki — może Polska niepodległa i mocarstwowa pozwolić sobie dzisiaj na zawieranie porozumień z każdem państwem, nawet niesympatycznem, jeżeli współdziałanie tego państwa w danych celach jest dla niej realnie użyteczne. I pod tym względem zrzucić winniśmy raz nareszcie hańbiące już dla nas jarzmo trwogi i uprzedzeń z okresu zaborców, jakoby przez zawarcie konkretnego porozumienia z jakiemkolwiek innem państwem Polska miała „wprzęgnąć się w rydwan“ jego polityki. Przeciw takiemu rozumowaniu jak najkategoryczniej protestujemy. Dlaczego nie mamy zapatrywać się na tę sprawę odwrotnie i być dumni z tego, jeżeli uda nam się przyciągnąć jakieś państwo do sojuszu z nami, a więc wprząc je niejako w rydwan *naszej* polityki?!!

Pozatem główne nasze zadania, kierunki działania, specyficznie objektywną metodę podchodzenia do spraw i problemów, uwzględniającą zarówno doświadczenie przeszłości, jak i aktualną sytuację, a przedewszystkiem realną perspektywę na bliższą lub dalszą przyszłość, poznali już chyba dostatecznie nasi zwolennicy i czytelnicy, gdyż skrystalizowały się one w statucie Związku Polskiej Myśli Państwowej, a szczególnie w uchwalonym przez Zarząd i ogłoszonym programie tymczasowym dziesięciu sekcji Związku, jak i w długich serjach odpowiednich artykułów różnych piór, zamieszczanych od paru zwłaszcza lat ostatnich w tem wydawnictwie i propagowanych nieraz szeroko w setkach i tysiącach odbitek.

W tym Związku naszym znalazła ciąg dalszy i scharakteryzowała się odrodzona i odpowiednio zmodernizowana dawna szkoła krakowska, a więc prąd, kontynuujący dzieło Naprawy Rzeczypospo-

litej, rozszerzony konkretnem dążeniem do jej stopniowego, mocarstwowego rozwoju. Stwierdzamy wielką aktualność i potrzebę istnienia oraz energicznego działania tej szkoły, gdyż wiele jeszcze zmienić się musi w narodzie i olbrzymie czekają go jeszcze zadania.

Jedną, bardzo korzystną zmianę przyniosła nam modernizacja stosunków, mianowicie tę, że nauczyliśmy się, ogółem biorąc, słuchać rozkazów jakiejś rządzącej jednostki. Jest to już znaczny postęp, bo tego dawniej nie było i nie było wogóle rządzących jednostek, któreby chciały i umiały mądrze, a stanowczo rozkazywać. Ale poza biernem wykonywaniem rozkazów i każdorazowym entuzjazmem, okazywanym takiej jednostce, brak u nas jeszcze zdecydowanej, samodzielnej, poważnej opinji publicznej, a na jej miejscu panują jeszcze albo bezmyślne nadzieje na cudotwórczość wyjątkowych jednostek elitarnych, rozkazujących, mających w danym okresie polityczną władzę w ręku, albo też uparta, a szkodliwa opozycja partyjna, której hołdują „dla zasady" pewne ugrupowania, stwarzające sobie z jałowej negacji wszelkich użytecznych zamierzeń w kraju swą rację bytu i swój „program".

Stając więc wobec tej, częściowo zanarchizowanej, chaotycznej, a równocześnie osłabionej, biernej, w partyjnictwie zrutynizowanej opinji publicznej z podniesioną przyłbicą i ogłaszając się tem, czem od dawna już de facto jesteśmy, to jest kontynuatorami stańczykowskiej szkoły politycznej, oświadczamy zarazem, że w produktywność państwowo-twórczą żadnej partji politycznej już nie wierzymy, nie tylko na podstawie długoletniej obserwacji stosunków, ale i z pewnego także historyczno-ewolucyjnego powodu. Ta bowiem forma publicznej pracy obywatelskiej, która ma cechy i nazwę stronnictwa po-

litycznego, jako wyrazu aktualistycznych dążeń i aspiracji pewnych grup czy warstw w społeczeństwie, zrodziła się i zamiera w ścisłym związku z genezą i zmierzchem parlamentaryzmu w dotychczasowem tego słowa znaczeniu.

Inne teraz formy i metody obywatelskiej pracy politycznej stają się aktualne. Formy te i metody znajdują swój wyraz z jednej strony w **wysokiej ideowości, w przeciwieństwie do zbytniego materializmu partji politycznych, z drugiej strony w dążeniu do realizacji pewnych konkretnych zadań, w przeciwieństwie do metody ogólnego politykowania** z dnia na dzień, na którem działalność partji polega.

Celem każdej partji politycznej jest osiągnięcie mandatów parlamentarnych i stanowisk urzędowych, co najczęściej wypacza lub nawet paraliżuje realizację partyjnego programu, celem zaś nowych form organizacji politycznej jest nie bezpośrednie dążenie do władzy, ale **wykonywanie pewnych konkretnych zadań o charakterze ogólnej użyteczności państwowej i społecznej.** I w tem tkwi integralna istota prawdziwej modernizacji stosunków.

Wyrazem tych nowych form i metod akcji obywatelskiej jest właśnie nasz Związek Polskiej Myśli Państwowej, pierwsza taka organizacja w swym rodzaju w państwie. I tem należy tłumaczyć, że opinja publiczna, a zwłaszcza prasa, nie mogła dotąd i nie umiała zająć wobec nas jakiegoś racjonalnego, objektywnego stanowiska, ale gubiła się tylko w dowolnych koncepcjach i błędnych domysłach.

Istota naszej metody polega na tem, że ludzi wykazujących chęć współdziałania z nami — oczywiście na podstawie dokładniejszej, rzetelnej znajomości naszych celów — przenosimy z platformy ogólnego, partyjnego politykowania na platformę konsekwentnego pełnienia pewnych, wyraźnie okre-

ślonych zadań państwowych i to na razie w pięciu zasadniczych kierunkach: moralno-religijnym, wewnętrzno-ustrojowym, gospodarczym, narodowościowym i zagranicznym. Jest to więc także polityka, nawet wysoka, dalekosiężna polityka, ale nie ma nic wspólnego z polityką partyjną. A całość tej akcji składa się logicznie i konsekwentnie na stopniowe urzeczywistnianie nieodzownego i naturalnego dla Polaków celu: zbudowania Polski Mocarstwowej i naprawienia walnych błędów naszych przodków w tym zakresie.

Jakkolwiek należyte przemyślenie i dyrektywa dążeń, zmierzających do tego wielkiego celu, jest i pozostanie z natury rzeczy zadaniem pewnej, odpowiednio wykształconej i głębiej myślącej elity — w intelektualnem tego słowa znaczeniu — to jednak „stańczykiem“ może być każdy, trzeźwo, uczciwie i realnie myślący obywatel, bez różnicy warstwy społecznej lub zawodowej, do której należy. **Ma więc idea i metoda stańczykowska tę właściwość, że jest równocześnie z pewnych względów własnością i cechą pewnej, odpowiednio wyszkolonej elity umysłowej, a zarazem także platformą współdziałania dla sfer najszerszych.** Każdy chłop i robotnik może być stańczykiem, jeżeli tylko otrząśnie się z niewoli demagogicznych haseł partyjnych lub klasowych i zacznie myśleć niezależnie, logicznie i objektywnie o swych losach w ścisłym związku z interesem ogólnym państwa. Coprawda, nie łatwo zostać stańczykiem, gdyż mechaniczne zapisanie się do naszego Związku ze względów oportunistycznych absolutnie nie wystarcza, a w społeczeństwie naszem panują jeszcze nazbyt różne bezkrytyczne hasła, przesądy, nastawienia, orjentacje, przyzwyczajenia, a przedewszystkim gruby, poziomy materializm o charakterze zaprawdę podwórkowym, niezdolny do sięgnię-

cia przewidującą myślą poza krąg najbliższych, doraźnych spraw i interesów. I właśnie dla tego tkwią ludzie przeważnie w przestarzałych, jałowych organizacjach lub przynajmniej sympatjach partyjnych, klepiąc bezmyślnie polityczne, społeczne lub gospodarcze pacierze, których nauczyli się z partyjnych gazet lub od sprytnych, za karjerą lub popularnością goniących prowodyrów.

I w tem właśnie leży olbrzymia różnica między prawdziwym wyznawcą idei stańczykowskiej, a jakimkolwiek partyjnikiem: do partii lub jakiejkolwiek organizacji społecznej wystarczy zapisać się, płacić wkładkę, a co pewien czas brać ewentualnie udział w zebraniach i podziwiać lub ganić mówców. Aby zaś być stańczykiem, trzeba nim być z krwi i kości, z głębokiego a bezinteresownego przekonania, trzeba umieć myśleć i objektywnie i według wskazań tego objektywizmu działać. Aby zaś należeć do stańczykowskiej elity prowadzącej, trzeba nadto odpowiedniego wyszkolenia w metodzie ujmowania zagadnień i w głębszem zrozumieniu nauki i sensu dziejów Polski.

Chociaż więc **podwoje stańczykowskiej szkoły są dla wszystkich szeroko otwarte,** to jednak nie łatwo przestąpić na serjo ich progi, bo nie każdy jest w stanie porzucić swe warstwowe, czy zawodowe, czy partyjne, czy wreszcie sentymentalne uprzedzenia i stanąć na gruncie szczerej, brutalnej, obiektywnej prawdy dziejowej i współczesnej. Aby być prawdziwym stańczykiem, trzeba stać się człowiekiem, duchowo wolnym ,niezależnym od doktryn i zakostniałych reguł swej sfery. **Niewolnik polityczno-społeczny lub kastowo - zawodowy nie może być na serio stańczykiem,** choćby tego jaknajbardziej pragnął i choćbyśmy mu drzwi jaknajszerzej otworzyli. Taki człowiek, w zetknięciu się z naszą metodą bez-

względnego objektywizmu i „wyrąbywania prawdy toporem“, ucieknie przerażony, albo odrzucony zostanie, mimo naszej i jego woli, jakąś siłą odśrodkową przy pierwszej okazji.

Dodajemy wreszcie dla zapobieżenia ewentualnym nieporozumieniom lub złośliwej krytyce, że odsłaniając obecnie przyłbicę jako stańczycy, nie chcemy i nie możemy przez to samo porównywać się z krakowskimi stańczykami dawnego typu. Samo się bowiem przez się rozumie, że pod wielu względami różnimy się indywidualnie od wielkich założycieli i filarów ówczesnej szkoły krakowskiej — Popielów, Szujskich, Tarnowskich, Potockich, Dunajewskich, Bobrzyńskich i t. d. Inne dziś czasy, stosunki, pojęcia i dzieje. I tylko wielka, odwieczna tradycja i cel Naprawy Rzeczypospolitej, jak również metoda obiektywizmu historyczno-politycznego, narodowego rachunku sumienia, dalekosiężnej polskiej myśli mocarstwowej oraz głoszenia prawdy bez względu na popularność i egoistyczny interes osobisty lub klasowy pozostają te same.

Niewzruszony też pozostaje sztandar Religii, gdyż szczery obiektywizm i prawdziwie twórcza idea są nie do pomyślenia bez głębokiej wiary w Czynnik Nadprzyrodzony. Tembardziej, że najgłębszym fundamentem i racją stanu Polski Mocarstwowej, umiejscowionej między światem rosyjskim a niemieckim, jest rola jej i misja jako twierdzy katolicyzmu.

Zarząd Związku
Polskiej Myśli Państwowej.

DOROBEK PROGRAMOWY „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI“ I „ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ“

CZYNIĄC zadość życzeniom, z któremi zwracają się do nas często zwolennicy naszego kierunku, czytelnicy „Naszej Przyszłości“ i wreszcie inni, z jakichbądź powodów akcją naszą zainteresowani, jak również dla usunięcia różnych nieporozumień co do właściwego charakteru naszej organizacji, z któremi nieraz jeszcze spotykamy się w prasie i w opinji publicznej, podajemy poniżej w zwięźle sformułowanych punktach konkretne definicje istoty naszego Związku oraz ustalone już dotąd w pracach naszych tezy, które staramy się propagować piórem, słowem i — gdzie tylko można — także interwencją czynną.

Definicje te i tezy podajemy dlatego dziś dopiero, że nie stanowią one jakiegoś z góry wykoncypowanego programu, jak to bywa najczęściej w stronnictwach politycznych, które do swych a priori skonstruowanych doktryn i programów usiłują potem życie i rzeczywistość naginać — ale jest to stopniowo osiągnięty dorobek szeregu lat pilnej obserwacji stosunków, możliwie obiektywnego przemyślenia oraz praktycznego doświadczenia.

Dorobek to oczywiście tylko tymczasowy. Uzasadnienie poszczególnych tez znajduje się w długich seriach artykułów i większych rozpraw, zamieszczonych w poprzednich tomach wydawnictwa. Zresztą wracać będziemy do tych tematów ciągle

jeszcze w miarę postępu ich realizacji i dalszego rozwoju stosunków.

I. Definicje ogólne.

1. Związek Polskiej Myśli Państwowej nie ma nic wspólnego z jakiemkolwiek stronnictwem poli-**tycznem, ale jest** zrzeszeniem specjalnem, mającem **na cele opracowanie i realizację szeregu konkretnych zadań państwowych w ramach ściśle określonych.**

2. Zadania te leżą w pięciu głównych dziedzinach pracy publicznej, a mianowicie: moralno-religijnej, wewnętrzno-ustrojowej, gospodarczej, narodowościowej i zagranicznej.

3. Związek nie zajmuje się jednak całokształtem zagadnień w tych wszystkich dziedzinach, ale obiera sobie w każdej z nich tylko pewne specjalne, dokładnie określone odcinki i cele działania.

II. Tezy szczegółowe.

A. Dziedzina moralno-religijna.

1. Religia katolicka, jako źródło praw moralnych dla wszystkich jej wyznawców, a równocześnie także jako pierwszorzędny fundament odwiecznej polskiej racji stanu i misji dziejowej, winna być także i w praktycznem jej wyznawaniu przez polskie społeczeństwo tak wysoko wzniesiona ponad poziom różnic przekonań politycznych, aby nie było nawet cienia pozoru, że jakikolwiek odłam społeczno-polityczny polskich sfer katolickich może jej sztandaru nadużywać dla swych świeckich celów.

2. Osiągnięcie kanonizacji Królowej Jadwigi, jako celu o niezmiernie doniosłem z różnych względów znaczeniu dla moralnego wzmocnienia narodu

i opancerzenia go przeciw doktrynom ateizmu i wywrotu.

3. Ustawodawstwo państwowe nie może naruszać w niczem sakramentalności węzła małżeńskiego, a przeciwnie: ślub wyznaniowy winien ipso facto stanowić automatycznie także i państwowy akt prawny.

B. Dziedzina wewnętrzno-ustrojowa.

1. Właściwą, nowoczesną formą wewnętrzno-ustrojową państwa i społeczeństwa polskiego winien być umiarkowany korporacjonizm, dostosowany oryginalnie do specyficznych cech polskiej psychiki i wogóle do polskich stosunków, bez naśladownictwa obcych wzorów i z wyeliminowaniem wszelkiego systemu niewoli społecznej lub zbytniej supremacji państwa nad jednostką.

2. Prawo własności prywatnej w jego najszerszym znaczeniu—od własności duchowej i materialnej, aż do ustroju rodzinnego, który jest także nieodłączną funkcją tej zasady — musi być w Polsce bezwzględnie utrzymane i nie może stanowić przedmiotu żadnych demagogiczno-postępowych, czy kompromisowych przetargów. Prawo to winno być też w ustawie konstytucyjnej mocno i niedwuznacznie sformułowane, a w innych ustawach oraz w normach i praktyce administracyjnej odpowiednio chronione.

3. Niezależnie od wszelkich reform, niezbędnych dla naprawy różnych wadliwości ustroju prywatno-kapitalistycznego w duchu realnych potrzeb nowoczesnej cywilizacji, winien cały ustrój państwa ugruntować się wyraźnie i z całą konsekwencją w kierunku prywatno-kapitalistycznym, tak w zasadach, jak i w praktyce.

C. Dziedzina gospodarcza.

1. Prawo do uczciwego zarobku prywatnego winno być naczelną zasadą gospodarczą, uznawaną i popieraną przez państwo, jako oczywisty postulat istoty pracy gospodarczej, jako jedno z najistotniejszych uprawnień obywatelskich i ludzkich wogóle i jako najgłówniejszy warunek bogactwa państwowego.

2. Wiedza ekonomiczna nie powinna pod żadnym warunkiem służyć w swych wnioskach i definicjach wymaganiom bieżącej polityki państwowej i fiskalizmu, ale przeciwnie: winna być dla nich wskaźnikiem i arbitrem. Dlatego musi być przeprowadzona w obecnej epoce przełomowej gruntowna rewizja wielu, stanowczo już przestarzałych zasad, twierdzeń i definicji z dziedziny tej wiedzy, a zwłaszcza nauki o skarbowości, które w dotychczasowem swem brzmieniu dają swym autorytetem najgłębsze oparcie nadużyciom fiskalizmu i demagogii społeczno-politycznej dla gospodarczego gnębienia jednostki.

3. Pojęcie państwa-ojczyzny nie może być w nowoczesnych stosunkach aż tak daleko romantycznie lub etatystycznie nadużywane, żeby wolno było państwu stale utrudniać lub niszczyć dorobek pracy jednostki, albo wywłaszczać ją z jej mienia z jakichkolwiek względów ogólnych, za wyjątkiem poszczególnych wypadków wywłaszczania za odszkodowaniem dla celów wyłącznie technicznego postępu.

4. Życie gospodarcze nie może być uważane za jakiś cel sam w sobie, oderwany od innych dziedzin państwowego i społecznego życia, gdyż ma o tyle tylko i w tych granicach rację bytu i rozwoju, o ile odpowiada w każdej danej epoce istotnym potrzebom i zdolności nabywczej społeczeństwa oraz

realnym możliwościom prawdziwie korzystnego, a nie sztucznie podtrzymywanego eksportu.

5. Forsowanie rozwoju życia gospodarczego ponad te oczywiste normy, a więc wbrew naturalnemu prawu podaży i popytu, jak również sztuczne podtrzymywanie nieaktualnej i nierentownej w danych warunkach przedsiębiorczości gospodarczej w imię błędnie pojmowanego konserwatyzmu gospodarczego, są zamierzeniami, zupełnie daremnemi i dla zdrowego rozwoju gospodarstwa krajowego bezwzględnie szkodliwemi.

D. Dziedzina spraw narodowościowych.

1. Zagadnienie współżycia polskiego i ruskiego narodu jest na platformie ukrainizmu, stworzonego sztucznie w ciągu ostatnich stu lat na negatywnej ideologii i tradycji incydentu hajdamacko-siczowego, problemem nie do rozwiązania. Dlatego negatywną tę tradycję trzeba usunąć, a na miejsce dwóch dotychczasowych typów: moskalo-filskiego Staro-rusina i negatywnego wobec ruskiej i polskiej racji stanu Ukraińca, wychowanego na niemoralnej tradycji wiecznie skrwawionego noża i nieproduktywnie-rozbójniczego hajdamactwa, odrodzić wspólnym wysiłkiem ruskiego i polskiego społeczeństwa typ historycznego Rusina, oparty na szlachetnych, pozytywnych tradycjach kijowskich i halickich.

2. Niemasz w Polsce, w głębszej istocie rzeczy, poza powyższą kwestią ruską, żadnej innej kwestii mniejszościowej, a więc ani żydowskiej, ani niemieckiej, a jest natomiast tylko kwestia wzmożenia tężyzny politycznej, społecznej i gospodarczej polskiego narodu.

E. Przewodnia idea narodowa i państwowa.

Przewodnią ideą narodu polskiego po odzyskaniu niepodległości musi być — pod sankcją ponownego upadku — wysiłek w kierunku naprawienia realnych błędów przeszłości. Niemasz więc dla Polaków potrzeby koncypowania sobie jakichś nowych, sztucznych zadań i celów, a natomiast narzuca się sama przez się **wielka i naturalna idea mocarstwa o troistym herbie, w jego dawnych granicach geopolitycznych, oczywiście w poprawniejszej, odpowiednio zmodernizowanej organizacji, w którem to mocarstwie naród polski winien być wprawdzie nie jedynym gospodarzem — gdyż nie można traktować inne narody jako upośledzone — ale w każdym razie „narodem przewodnim"**.

F. Dziedzina spraw zagranicznych.

1. Równoległa z poprzednią idea kulminować winna w dążeniu do otoczenia Polski „pierścieniem bezpieczeństwa", a więc skupienia dokoła niej szeregu mniejszych państw, położonych w trójkącie między Bałtykiem, Adrjatykiem i Morzem Czarnym, w unię **„Bloku środkowo - wschodniej Europy"**, w którym Polska winna zajmować z natury rzeczy stanowisko „primus inter pares". Do bloku tego wejść winny na pewnych zasadach ścisłego porozumienia politycznego, militarnego i gospodarcze: Estonia, Łotwa, Czechy, Węgry, Rumunia, Jugosławia i Bułgaria. Podstawą zaś tej unii winno być wspólne przekonanie, że wszystkim tym państwom większe niebezpieczeństwa w przyszłości grożą, niż je dzisiaj pewne wzajemne przeciwieństwa dzielą.

2. Litwa Kowieńska, jako w istocie dawne polskie Starostwo Żmudzkie, winna powrócić do Polski.

3. Naturalnym warunkiem pożądanego wstąpienia państwa czeskiego do wyżej wspomnianego bloku musi być spełnienie przez nie pewnych warunków, a w pierwszym rzędzie zerwanie z orientacją prorosyjską i umożliwienie narodowi słowackiemu rzeczywistego samostanowienia o sobie.

4. Wspólna granica z Węgrami na przestrzeni przynajmniej Rusi Zakarpackiej stanowi jeden z najżywotniejszych postulatów polskiej racji stanu i musi też w niedługim czasie doczekać się realizacji.

5. Największym naszym wrogiem naturalnym jest Rosja, bo niebezpieczna dla Polski podwójnie, zarówno pod względem militarno-zaborczym, jak i moralno-rozkładowym.

6. Stanowisko nasze względem wszystkich innych państw, bez wyjątku, dyktowane być winno jedynie tylko trzeźwo przemyślanym interesem Polski. Żadne względy uczuciowe — jak np. wspólnota słowiańskiego pochodzenia, czy jakiekolwiek inne historyczne tradycje, dodatnie czy ujemne — nie powinny grać żadnej roli. W konsekwencji też zrzucić winno społeczeństwa polskie z siebie ostatnie skutki psychiczne długiego okresu rozbiorów, które obiawiają się jeszcze w defenzywnem tylko nastawieniu wobec zagadnień zagranicznych, wypływającem z podświadomej a nierealnej obawy przed ponowną utratą niepodległości, oraz w rozpowszechnionem przekonaniu, że Polska, zawierając z innemi państwami sojusze w pewnych konkretnych celach, mogłaby przez to być wprzągniętą w rydwan cudzej polityki, a nie na odwrót.

7. Odwieczną, naturalną misją Polski jest rola przedmurza chrześcijaństwa przed atakami wschodniego barbarzyństwa, występującego kolejno w róż-

nych formach. Obecną formą taką jest bolszewizm. Dlatego Polska ma obowiązek moralny i polityczny stawania we froncie państw i wogóle żywiołów, zwalczających bolszewizm, gdziekolwiek taki front się tworzy.

Warunkiem jednak skutecznego pełnienia tej misji jest dla Polski także opancerzenie się przed różnemi rozkładowemi lub wywrotowemi doktrynami, płynącemi również i z zachodu i zlikwidowanie ich wpływów wewnątrz kraju.

SZKIC DO PAMIĘTNIKA

W PAPIERACH pośmiertnych ś. p. Michała Bobrzyńskiego znalazł się szkic wstępu do pamiętnika. Wiadomo nam, że nie znalazł zastosowania w wykończonym ostatecznie Pamiętniku najwybitniejszego przedstawiciela stańczykowskiej szkoły, ale odłożony został na bok, jako pierwsza próba niezmiernie ciekawego dzieła, które autor innym potem zaopatrzył wstępem. Ale Pamiętnik ten, złożony narazie w pewnej instytucji, może — stosownie do ostatniej woli testatora — ujrzeć światło dzienne dopiero po upływie dłuższego szeregu lat.

Ogłaszamy niniejszem natomiast ów przekreślony przez autora fragment wstępu, jako nie objęty klauzulą tymczasowej tajemnicy, a natomiast zawierający pewne ciekawe dane z dawnych czasów, charakteryzujące, w bardzo krótkim coprawda zarysie, stosunki i wybitnych ludzi w drugiej połowie ubiegłego stulecia w Małopolsce, a zwłaszcza w Krakowie. Przedewszystkiem jednak szkic ten zawiera pewne informacje o początkach historyczno-politycznej szkoły krakowskiej, podane przez naocznego świadka i wybitnego uczestnika tego ruchu, co nadaje się specjalnie do zamieszczenia w niniejszym tomie Naszej Przyszłości, w którym „odsłaniamy przyłbicę“.

Urodziłem się 30 września 1849 r. w Krakowie z ojca doktora Błażeja i matki Zofii z Cypcerów. Ojciec mój osiągnął na uniwersytecie Jagiellońskim

stopień doktora medycyny i był asystentem głośnego podówczas profesora kliniki chorób wewnętrznych, Brożowicza. Skorzystał ze sposobności, ażeby z młodym Bronisławem hr. Działyńskim, w roli jego opiekuna, wyjechać zagranicę i w ciągu kilkoletniego pobytu w Niemczech, Włoszech i Francji kształcił się tam dalej na klinikach uniwersyteckich. Przekonany, że po ustąpieniu profesora Brożowicza będzie jego następcą, doznał w tem w r. 1849 zawodu, ofiarowanej mu innej katedry, teoretycznej, nie przyjął, natomiast przyjął stanowisko prymariusza na oddziale chorób wewnętrznych w szpitalu krajowym św. Łazarza w Krakowie, a cofając się od życia publicznego, pozostał na tem stanowisku do śmierci, udzielając bezpłatnie porady lekarskiej licznym biedakom, którzy się do niego zgłaszali, a którym Arcybractwo Miłosierdzia opłacało lekarstwa. Urażona ambicja mojego ojca nie pozostała bez wpływu na mnie, a podsycała ją bardzo moja matka. Ojciec oddziaływał zresztą na mnie swojem zamiłowaniem do studiów starożytnych, codzień prawie czytywał w wolnych chwilach klasyków rzymskich i ulubionego przedewszystkiem Tacyta, a w przekonaniach swoich był konserwatystą, chociaż w życiu publicznem nie brał udziału. Takie było też niemal całe towarzystwo, które u rodziców moich się skupiało, a kanonik Grzybowski był najbliższym ojca mojego przyjacielem i najczęstszym gościem.

Nauki pobierałem w gimnazjum św. Anny w Krakowie, do którego podówczas uczęszczała młodzież ze wszystkich warstw społecznych nietylko z Krakowa, lecz także z dalszych stron Galicji i tam na ławce szkolnej zawarłem bliższy stosunek ze Stanisławem hr. Badenim, Antonim hr. Wodzickim, Henrykiem Tomkowiczem i Czesławem Niewiadomskim. Do gimnazjum tego uczęszczali sami Po-

łacy i niewielki procent Żydów. Językiem wykładowym w klasach niższych był polski, w wyższych niemiecki, z wyjątkiem religii i matematyki, dla których i w wyższem gimnazjum językiem wykładowym pozostał polski. Nauczyciele byli Polacy, z wyjątkiem nauczyciela języka niemieckiego, Niemca. Z pośród nauczycieli tym, który na młodzież największy wpływ wywierał, był Taniaczkiewicz, Rusin, o którym mówiono, że w powstaniu węgierskiem 1849 r. brał udział, a przyjęty do grona nauczycielskiego w gimnazjum św. Anny, jako zastępca nauczyciela, pozostał nim do końca życia, bo egzaminu na profesora złożyć się lenił. Umiał jednak zachęcić młodzież do literatury łacińskiej i greckiej, których był wybornym znawcą i tak zapalonym wielbicielem starożytności klasycznych, że uczniowie zadawali sobie pomiędzy sobą pytanie, czy on też nie wierzy dotychczas w bogów greckich? Jemu też zapewne zawdzięczam, że zapaliłem się do literatury greckiej i że w gimnazjum przeczytałem już Homera i wszystkie tragedje Sofoklesa. Do własnego studjum rzeczy, nienakazanych przez szkołę, dojrzałem mając lat 15. Miałem do nich dosyć czasu, bo szkoła nie przeciążała wówczas. Jeżeli program szkolny był bardzo obfity i ściśle wykonany mógł przeciążać, to zawsze kilku nauczycieli znalazło się, którzy rzecz traktowali lekko i nie wymagali wiele. W wyższych klasach profesorowie historji Stahlberger (Polak) i fizyki Rodecki uczyli dobrze. Nauka Kościoła traktowała szeroko wszystkie herezje pierwszych wieków chrześcijaństwa, a pomijała czasy najnowsze, litrugika była męczącą nauką obrzędów nawet przy poświęceniu kościoła i również męczącą nauka etyki, oderwana od codziennego życia, a oparta na tekstach Pisma św. Najgorzej stała nauka języka polskiego, ograniczona do wypisów, li-

czących się z cenzurą austrjacką, pomijających. z rzadkimi wyjątkami, literaturę najnowszą, a nauczyciele nie zadawali sobie zbyt wielkiego trudu, ażeby wypisy ustnym wykładem uzupełnić i ożywić.

Najsłabszą stronę ówczesnego gimnazjum stanowiła nauka historii, której podstawą była przestarzała książka Pütza, zajmująca się skrupulatnem monarchów panujących wyliczaniem we wszystkich krajach Europy, nawet Portugalii i przedstawianiem ich dynastycznej polityki, wojen i traktatów. O historii Polski ledwie kilka zawierała faktów. Nauczyciele nie wznosili się w nauczaniu ponad poziom tej książki, z wyjątkiem jednego Stahlbergera, który w ostatnich klasach zabawiał się w szerokie poglądy, do których uczniowie nie byli przygotowani. Wzbudziwszy w sobie wcześnie interes do historii, czytałem więc książki, jakie mi w ręce wpadły, bo lekturą tą nikt nie pokierował. Historię polską studjowałem z książki Henryka Szmidta, a obok tego rozczytywałem się w modnej podówczas literaturze pozytywizmu, książkach Boekla, Drapera i Darwina, dopóki dzieła Szujskiego i Kalinki nie zmieniły kierunku moich myśli.

W r. 1867 złożyłem egzamin dojrzałości z odznaczeniem we wszystkich przedmiotach i po wycieczce kilkotygodniowej do Zakopanego stanąłem wobec wyboru studjów uniwersyteckich.

Ojciec mój nie tracił nadziei, że zapiszę się na medycynę i dlatego zaprowadził mnie do szpitala, w którym odbywał wizytę w oddziale mężczyzn i w oddziale kobiet. To jednak zraziło mnie tak dalece, że o medycynie nie chciałem słuchać. Pociągała mnie historja, ale nie pociągali jej przedstawiciele na katedrach uniwersyteckich, Walewski i Wacholz. Wyrobiłem sobie zato przekonanie, że dla historyka najważniejszą rzeczą jest prawo polityczne i dla-

tego zapisałem się na wydział prawa, mając na myśli, że to mi wcale nie przeszkodzi w studjiach historycznych. Na wydziale prawa dwuch profesorów wybiegało poza miarę przeciętną: Fryderyk Zoll, profesor prawa rzymskiego i Julian Dunajewski, profesor ekonomii politycznej, skarbowości i statystyki, w której mieściło się prawo polityczne. Korzystałem też z ich wykładów bardzo sumiennie. Prawo polskie wykładał Piotr Burzyński, ale nie budził dla tego przedmiotu zajęcia uczniów. Wykłady profesorów uzupełniałem nauką prywatną ze znakomitych podręczników niemieckich, pomiędzy którymi znalazła się także Historia Filozofji Stahla, książka, której się trzymał Heizmann, profesor filozofji prawa i prawa kanonicznego. Książka podobała mi się bardzo dla jasności wykładu, przedstawienia systemów filozoficznych, a tendencja jej ultra-konserwatywna nie raziła mnie.

Za moich czasów nastąpiła w studiach historycznych na uniwersytecie stanowcza zmiana. Stanęli na katedrach Szujski i Tarnowski. Pierwszy otworzył oczom słuchaczy pogląd na źródła historii Polski, drugi sądził krytycznie autorów polskich, których młodzież dotychczas uwielbiała, między innymi Pola i Lenartowicza, i dawał jej wyobrażenie o historii literatury polskiej, którego dotychczas nie miała. Nie pomijał literatury politycznej, która na historię narodu także rzuca światło. Wyszedłem też wówczas ze sfery historycznej Szmidta, a zabrałem się do studiów źródeł prawa polskiego na podstawie dzieł Zygmunta Antoniego Helcla. W jego Ustawodawstwie Kazimierza Wielkiego ujrzałem nie tylko szczyt przedstawienia historycznego, ale także niedościgniony wzór metody wydawania źródeł. Wziąłem się też już na drugim roku prawa do pisania rozprawy na konkurs uniwersytecki o Reformach poli-

tycznych Jana Zamoyskiego, do której umiałem już zebrać wszystkie podówczas drukiem ogłoszone źródła. Obszerna ta rozprawa spotkała się z nadzwyczaj pochlebnem ocenieniem ze strony Szujskiego, a to zdecydowało o dalszym kierunku mojej pracy.

Na uniwersytecie nie było podówczas prawa politycznego, do którego największą przywiązywałem wagę. Orientując się już lepiej w literaturze, studiowałem bardzo pilnie dzieła Roberta Mohla, a wyciąg z jego Encyklopedji Prawa umieściłem nawet później w dodatku do pierwszego wydania Dziejów Polski, wychodząc za założenia, że ogół społeczeństwa polskiego o państwie i jego ustroju ma najsłabsze pojęcie.

Wówczas też z pomocą ojca czytywałem Dekady Machiawela w oryginale. Od tej lektury odbiegała tylko Historia Filozofii Stahla, której konserwatyzm nie raził mnie dla tego, bo charakteryzowała różne systemy filozoficzne w sposób nader jasny i przystępny.

Gdy przyszło pisać pierwszą rozprawę, przekonałem się, że mój język polski w piśmie przedstawia bardzo wielkie braki, bo niemczyzna wykładowa w wyższem gimnazjum opanowała zupełnie moją zdolność myślenia i wyrażania swojej myśli. Nie pozostało więc nic innego, jak na pierwszym roku praw zwrócić się do nauki polskiego języka i ducha, który mu jest właściwy. Wziąłem się w tym celu do uczenia się Dworzanina Górnickiego i Kazań Sejmowych Skargi i to w ten sposób, że codzień jedną stronicę tych pism uczyłem się na pamięć. Po pewnym czasie doprowadziłem do tego, że zacząłem pisać językiem XVI wieku, ale te odrębności zniknęły pod wpływem literatury Mickiewiczowskiej, którą się zająłem tem więcej, że ani Słowacki, ani Krasiński nie przemawiali do mojego przekonania, bo nie

ceniłem sobie utworów, które czytać i rozumieć można z wysiłkiem i z pomocą komentarza.

Przybył już teraz, obok Szujskiego i Tarnowskiego, Kalinka, a jego Wstęp do panowania Stanisława Augusta zdecydował w umyśle moim o szukaniu i pisaniu prawdy z ujemnych i bolesnych stron naszej przeszłości. Lelewel i jego szkoła już mnie nie pociągali, a wywody ich prawnicze o ustroju Polski już mnie raziły. Na trzecim roku prawa napisałem rozprawę O sejmach za Zygmunta Augusta, która mnie wprowadziła w studium diariuszy ówczesnych sejmów, rzucających nowe światło na rozwój ustroju Polski. Wszystko to działo się wśród składania egzaminów prawniczych, których było trzy, jeden po drugim roku praw, historyczny, drugi z prawa cywilnego i karnego i trzeci z nauk politycznych po czwartym roku studiów. Na czwartym roku napisałem książkę na konkurs Towarzystwa historyczno-politycznego w Paryżu O unii lubelskiej, opartą również na diariuszach sejmowych i na źródłach XV wieku, a praca ta uwieńczona została nagrodą. Ocenienie jej pióra Bronisława Zaleskiego, krytyczne, ale pochlebne, ogłoszone w feljetonie „Czasu", wprowadziło mnie na widownię publiczną. Myślałem już o docenturze prawa polskiego, a chcąc pogłębić moją wiedzę w tym przedmiocie, odroczyłem nawet złożenie doktoratu o pół roku, ażeby sobie przyswoić to, co nauka dotychczas w tym zakresie osiągnęła. Złożyłem doktorat w lipcu 1872 r. i zabrałem się do pracy nad wydaniem ustawodawstwa nieszawskiego Kazimierza Jagiellończyka, które dotychczas bardzo było zamącone i nad obszernym wstępem, w którym wyjaśniłem genezę tych ustaw. Na podstawie tej pracy osiągnąłem docenturę prawa polskiego, którą potem rozszerzyłem i na docenturę historii prawa niemieckiego. Równocześnie, zaraz po

skończeniu uniwersytetu i złożeniu egzaminów rządowych prawniczych, wstąpiłem na praktykę prawniczą w ekspozyturze prokuratorji skarbu w Krakowie i prowadziłem ją dalej aż do osiągnięcia profesury.

Pierwszy dziesiątek lat mojej pracy w uniwersytecie należy do najpiękniejszych mojego życia. Uniwersytet się odradzał, starsi profesorowie ustępowali, a młodzi zajmowali ich stanowiska. Gromadzili się ze wszystkich dzielnic Polski i z uniwersytetów, na których się kształcili. Wchodziła z nimi na katedry głębsza metoda pracy naukowej i chęć postawienia uniwersytetu na wysokim poziomie i uczynienia z niego głównego ogniska pracy naukowej polskiej. Był to czas najgorszych represji rządu rosyjskiego i rządu pruskiego i zatamowania polskiego szkolnictwa. Do Krakowa ściągali też młodzi ludzie z Poznańskiego i Królestwa, a nawet z Litwy, tak, że krakowski uniwersytet stracił cechę lokalną, a stawał się ogólno-polskim, najwyższym naukowym zakładem. Równocześnie polonizował się uniwersytet lwowski i widoki uzyskania katedry uniwersyteckiej wskutek tego się podwajały. Świeżo utworzona Akademia Umiejętności zbliżała ku sobie siły naukowe, a młodsze pokolenie zastępowało w niej bardzo prędko starsze, wnosząc do niej nowy ruch i pracę. Pomiędzy młodymi docentami, a następnie profesorami zawiązały się żywe, przyjacielskie stosunki. Dwaj botanicy, Janczewski i Rostafiński, fizyk Wróblewski, prof. filozofii Pawlicki, historyk sztuki Marian Sokołowski, filologowie Lucjan Malinowski, a nieco później Kazimierz Morawski, historycy Zakrzewski i Smolka tworzyli ze mną to grono. Poza niem stali nieco starsi, Tadeusz Wojciechowski, chemik Olszewski i Piekosiński, którzy jednak w pracy naukowej blisko się z nami łączyli.

Szujski i Tarnowski odgrywali rolę przywódców i stali na czele całego naukowego ruchu. Skupiał się ten ruch głównie w historii Polski i w jej różnych rozgałęzieniach, a odbywał pod hasełm usunięcia z prac naukowych romantyzmu, a oparcia ich na ścisłej naukowej prawdzie. Z ruchem tym współdziałał inteligentny Kraków, a liczne wykłady publiczne i uroczyste posiedzenia Akademii Umiejętności stanowiły zetknięcie się świata naukowego z towarzyskim, w którym żywy udział brała arystokracja, gromadząca się wówczas z całej Polski w Krakowie, a w szczególności domy Stanisławów hr. Tarnowskich, Pawła Popiela i księżny Marceliny Czartoryskiej. Wybitne stanowisko w tym ruchu umysłowym zajmował Matejko, około którego rozwinęła się szkoła malarska. Opozycja demokratyczna i liberalna miała swoje ognisko w dzienniku „Kraj", a następnie w „Nowej Reformie"; patronował jej Mieczysław Pawlikowski, a głównym jej filarem był Tadeusz Romanowicz. Pomiędzy dwoma obozami chwiał się jakiś czas Adam Asnyk, wprowadzony do naszego grona naukowego i życia towarzyskiego przez Sokołowskiego, ale przekonaia jego ultra-demokratyczne i tradycja, wyniesiona z radykalnego skrzydła Rządu Narodowego 1863 r., sprawiły, że się od nas oderwał i jako kandydat Nowej Reformy do wyborów w mieście stanął. Wybrany w sejmie żadnej nie odegrał roli.

Grono historyków krakowskich zajęło się przedewszystkiem otwarciem dostępu i zbadaniem archiwów. Gromadzono archiwalia obfite miasta Krakowa, rozrzucone po różnych kancelariach miejskich. Najstarszą księgę miejską z pierwszej połowy XIV w. znalazłem w registraturze magistratu na wierzchu szafy; zachowała się tam chyba tylko dla tego, że nikt do niej nie przywiązywał wagi. Do ar-

chiwum kapituły katedralnej, do którego od lat nikt nie zaglądał, powiodło nam się uzyskać dostęp po raz pierwszy. Archiwum konsystorskie znajdowało się w dobrem przechowaniu, chociaż nikt z niego naukowo nie korzystał. Z archiwum dawnych aktów ziemskich i grodzkich korzystali już od lat Antoni Zygmunt Helcel, ale archiwum to w największem znajdowało się rozrzuceniu ksiąg i zaniedbaniu. Powoli wszystkie te archiwa uzyskały naukowo wykształconych kierowników i stały się źródłem naukowej pracy. Przodował w niej jako wydawca dyplomatów Franciszek Piekosiński, a wydawnictwo ksiąg sądowych, grodzkich i ziemskich podjąłem ja, uzyskawszy stanowisko dyrektora tegoż archiwum. Kształceniem młodzieży w metodzie naukowej pracy zajęli się Wincenty Zakrzewski i Smolka. Przybyli też do Krakowa uczniowie lwowskiego uniwersytetu, Abraham i Balzer, ażeby oddać się prawu polskiemu i pracować jako aplikanci w archiwum aktów grodzkich i ziemskich pod moim kierunkiem.

W pracy tej historycznej naukowej utworzyły się nowe ogniska we Lwowie, Warszawie i Poznaiu. Wszędzie oddawano się wydawnictwu źródeł. We Lwowie Bielowski i Liske, w Warszawie głównie Pawiński, potem Wierzbowski, w Poznaniu Zakrzewski.

Życie naukowe młodego grona historyków krakowskich, oprócz wydawnictwa źródeł, zwróciło się także do nowej konstrukcji dziejów Polski. Była ona tematem rozmów na naszych zebraniach towarzyskich, a w końcu doszło do tego, że niektóre prace zaczęto czytać i dyskutować razem. Dwie takie dyskusje odegrały największą rolę. Jedna rozwinęła się około mojego Zarysu Dziejów Polski, które pisałem i odczytywałem co niedziela, uwzględniając zarzuty i uzupełnienia, które podniesiono w dysku-

sji. Książka, wydrukowana zaraz w r. 1879, wywołała dyskusję, drukowaną we wszystkich pismach, w której wzięli udział wszyscy niemal historycy Polski poza naszem gronem. Najbardziej znamienne były obszerne recenzje Szujskiego i Kalinki, bo chociaż książka moja trzymała się ich myśli przewodniej, że Polska upadła wskutek wewnętrznego nieładu, to jednak obaj recenzenci, godząc się wogóle, że pogląd ten konsekwentnie przez całe dzieje polskie przeprowadziłem, wytykali nieuwzględnienie pierwiastka moralności i nie godzili się na moje przedstawienie roli reformacji. Szujski pogląd swój uzasadnił w odczytach o humaniźmie i reformacji, a krytyka jego i Kalinki dała mi pochop do wielu uzupełnień i poprawek w następnych wydaniach, które już do ostatniego rozbioru Polski doprowadziłem. Nie dało mi natomiast takiej podstawy mnóstwo recenzji epigonów szkoły lelewelowskiej, którzy, z Henrykiem Szmidtem na czele, rzucili się na podstawę mojej konstrukcji, broniąc wolności szlacheckiej i uniewinniając naród z upadku, który przypisywali tylko obcej przemocy. Przyłączył się jednak do nich także profesor historii na uniwersytecie lwowskim, Ksawery Liske, który położył wielkie zasługi w kształceniu swoich uczniów w metodzie historycznej, a zwłaszcza w wydawnictwie źródeł, ale uległ atmosferze miasta Lwowa, którego inteligencja walczyła z polityką Stańczyków i szukała uznania w obronie narodowych powstań.

Drugą sprawą z dziedziny konstrukcji dziejów polskich, dyskutowaną na naszych zebraniach, była geneza społeczeństwa polskiego. Dał do niej pochop Stanisław Smolka, pisząc dzieło swoje Mieszko Stary i wiek jego, a w nim obszerny rozdział o genezie i ustroju pierwotnego społeczeństwa polskiego, zbliżony do przedstawienia Roepella, a odbiegający

stanowczo od gminowładztwa Lelewela i jego szkoły. Dyskusja, którą pogląd Smolki na zebraniach naszych wywołał, przeniosła się na łamy osobnych rozpraw naukowych, wydanych jako osobny tom Akademii Umiejętności. Wziął w niej udział, oprócz mnie i Smolki, także Piekosiński, a rzecz nie zeszła z widowni pracy naukowej młodszego pokolenia historyków do ostatniej niemal chwili.

W osobliwy sposób ukształtował się stosunek Warszawy do szkoły historycznej krakowskiej. Reprezentował Warszawę głównie Adolf Pawiński, zasłużony wydawca źródeł do czasów Stefana Batorego i Statystyki ziem polskich XIV w., wydanej wspólnie z Aleksandrem Jabłonowskim oraz kilku dzieł głównie z historii sejmów i sejmików. Utrzymał się jako profesor na uniwersytecie rosyjskim w Warszawie i jako dyrektor archiwum głównego, ale to nakładało na niego pewną restrykcję w poruszaniu tematów historycznych, mających politycznie znacznie. Nie wszedł też z nami w kolizję. Inaczej miała się rzecz z Tadeuszem Korzonem, dyrektorem biblioteki Zamoyskich w Warszawie, autorem Dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta, drukowanych przez Akademię i Dziejów Jana Sobieskiego. Prace te jego nie odbiegały od poglądu szkoły historycznej krakowskiej, nie grzeszyły bynajmniej apoteozą wolności szlacheckiej i nierządu politycznego, ale Korzon, który wyszedł z obozu pozytywistów warszawskich, nie mógł sobie darować, żeby nie wystąpić przeciw szkole historycznej krakowskiej, która stała na gruncie religijnym i konserwatywnym, a której koryfeusze, przede wszystkim Szujski i Kalinka, w pracach swoich historycznych pozwalali sobie na wycieczki, odnoszące się do polityki bieżącej. Dało to niefortunną myśl, ażeby na zjeździe historycznym imienia Ko-

chanowskiego we Lwowie 1880 r. wystąpić przeciwko maksymie Cycerona, że historia est magistra vitae. Chociaż na zjazd zebrało się dosyć niehistoryków i gotowi byli poprzeć Korzona w ataku na historyków krakowskich, to jednak zjazd wstrzymał się od głosowania nad wnioskiem Korzona, czując, że naraziłby się na śmieszność. W dyskusji przeciw Korzonowi wystąpił głównie młody i zdolny historyk prawa polskiego, Oswald Balzer, który wówczas, będąc już profesorem na uniwersytecie lwowskim, stał w jednej linii ze szkołą historyczną krakowską, ale później uległ atmosferze politycznej lwowskiej i bronił zasady, że Polska bez własnej winy upadła wskutek przemocy sąsiadów.

Prace te moje naukowe i nauczycielskie przerwał wybór na posła na Sejm krajowy galicyjski i do Rady Państwa wiedeńskiej w r. 1885. Drogę do tej kariery politycznej otwarła mi książka moja o Dziejach Narodu Polskiego, którą pojęto także jako program polityczny silnego rządu i pracy organicznej nad podźwignięciem narodu. Kandydaturę moją w wielkiej własności ziemi krakowskiej podniósł i poparł Artur hr. Potcki, z którym na tle stronnictwa konserwatywnego krakowskiego zawiązałem bliższy stosunek. Szliśmy odtąd ze sobą razem i w łonie stronnictwa reprezentowaliśmy praktyczny kierunek. Odbiegaliśmy tem od Stanisława Tarnowskiego, który do końca życia tkwił w literaturze politycznej lat szcśćdziesiątych, a tak samo w poglądzie na literaturę polską, który sam stworzył i gorzko odczuwał, że społeczeństwo polskie za wskazaniami tej literatury wszystkiemi nie idzie i tak samo, że literatura polska w ostatnich dziesiątkach XIX w. od zasad etycznych i estetycznych, głoszonych przez niego, odbiega. Zajmując nader karnie miejsce w kole krakowskiem sejmowem i przewodząc

mu, popierając jego politykę, nie był jednak jego duchowym przywódcą, którym był Dunajewski zarówno w czasie swojego ministerstwa, jak po ustąpieniu z niego.

Zawód mój nowy parlamentarny rozpocząłem w chwili, w której rządy centralistyczne i liberalne ustąpiły miejsca rządowi konserwatywnemu. Na czele jego stało dwuch ludzi: hr. Taaffe i Dunajewski. Obaj wybornie się uzupełniali. Taaffe stworzył w izbie większość, ściągnąwszy do Rady Państwa Czechów, którzy, nie uzyskawszy państwa korony św. Wacława na wzór Węgier, parlament opuścili, a teraz, wracając do Rady Państwa pod wodzą Riegera, zadowolnili się żądaniem autonomii i poparcia żywiołu czeskiego w jego kulturalnym, narodowym rozwoju. Zbliżyli się tem samem do Polaków, którzy, nie uzyskawszy wyodrębnienia Galicji, domagali się od państwa poparcia swoich narodowych i gospodarczych dążeń. Pod hasłem autonomii, a zarazem walki z liberalizmem szli także posłowie niemieccy z krajów alpejskich. Tak z trzech żywiołów przyszła do skutku niewielka większość w Radzie Państwa. Dunajewski prowadził ją do walki obronnej z Niemcami liberalnymi, którzy bardzo poważną stanowili mniejszość, ale walka ta, zaostrzając się, mogła łatwo doprowadzić do rozbicia, a przynajmniej do przesilenia. Wówczas Taaffe wstępował w szranki debaty i w sposób bardzo zręczny ścierał ostrze walki, a żądania większości autonomiczne hamował. Większość ta miała swój organ w t. zw. Komitecie egzekutywnym, na którego czele stał hr. Hohenwart, który niegdyś upadł jako prezydent ministrów z projektem federalistycznym, a w którym zasiadali prezes Koła Polskiego Grocholski i przywódca Czechów Rieger oraz kilkunastu delegatów trzech klubów, stanowiących większość. Do tego

Komitetu dostałem się, co było nadzwyczajnym faworem, zaraz po mojem wstąpieniu do Rady Państwa i tem samem stanąłem blisko wszystkich polityków większości, a przedewszystkiem Grocholskiego i Dunajewskiego. Pierwszy powoli się do mnie przekonał, jak konsekwentnie jego i politykę konserwatywną Koła popieram. Była to polityka większości Koła, które miało także swoją mniejszość demokratyczną. Ale ne uzyskawszy dla niej w Kole większości, poddawało się uchwałom Koła w imię jego solidarności. Zarówno więc większość, jak mniejszość stały na stanowisku ugody Polaków z cesarzem, zawartej jeszcze w r. 1866, ale większość prowadziła ją konsekwentnie, pilnując zarazem związku z Czechami i posłami klerykalnymi niemieckimi, kiedy mniejszość, traktując każdą sprawę z osobna, bez tego związku, gotowa była nieraz ogólną linię polityczną naruszyć i przesilenie polityczne wywołać. Grocholski, jako prezes Koła i Apolinary Jaworski, jako jego zastępca, stali tą bezwzględną konsekwencją. Głową mniejszości był ks. Jerzy Czartoryski i posłowie Hausner i Smolka. Ten ostatni jednak, jako prezydent Izby deputowanych, lojalnie stał wobec rządu. Obaj odznaczali się tem, że przejmowali się zanadto losem Austrii i pragnęli ją ratować, kiedy dla ogółu Polaków sprawa ta była obcą, bo stosunek swój do Austrii traktowali tylko ze stanowiska swojego narodowego interesu, a w polityce zagranicznej monarchii dążyli tylko do skierowania jej na północ ku odbudowaniu Polski w grożącej zawsze wojnie z Rosją. *Nie zapomniał o tem zwłaszcza Grocholski, który publicznie w parlamencie bronił ideału Polaków: Polski niepodległej, gdyż nie mając go, staliby się łupem panslawizmu.*

Z Dunajewskim miałem najbliższy stosunek jeszcze jako uczeń z profesorem, a w parlamencie

byłem jego najbliższym powiernikiem, popierając jego przedłożenia, zmierzające do równowagi w budżecie państwa, a przez to do *silniejszego poparcia rozwoju gospodarczego Galicji*. Nie zawsze w Kole polskiem polityka ta znajdowała zrozumienie. Wszyscy gotowi byli brać, co Dunajewski dla kraju uzyskiwał i z budżetu państwa wyznaczał, ale nie wszyscy gotowi byli popierać jego przedłożenia skarbowe, o ile one obciążały także Galicję. Toczyły się więc w łonie Koła polskiego gorące walki, zwłaszcza w sprawie podatku od nafty, a następnie podatku spirytusowego, a mniejszość opierała się nieraz i na głosach opozycyjnych, wychodzących z lewicy niemieckiej. Większość w Kole wytrzymała jednak wszystko, a opozycja polska przycichła dopiero, kiedy Dunajewski z pomocą Taaffego uzyskał odpisanie osiemdziesięcio-milionowego długu indemnizacyjnego, którym rządy niemieckie absolutne obciążyły Galicję i kiedy, wyznaczając milion guldenów zasiłku ze skarbu państwa, jako odszkodowanie za rzekomy ubytek w propinacji galicyjskiej, płatny przez lat dwadzieścia, umożliwił tem samem umorzenie propinacji i gruntowną sanację finansów galicyjskich.

Wybory do sejmu wypadły tak, że oprócz kilkunastu posłów z miast i kilkunastu Rusinów oraz kilku chłopów polskich, cały prawie sejm był konserwatywno-ziemiański, a przeważająca większość sejmu nie utrzymała swojego związku, lecz podzieliła się na dwie partie, jedną prawicę pod przewodem Grocholskiego, złożoną z posłów podolskich i t. zw. centrum, złożne z tych posłów podolskich, którzy nie chcieli iść pod przewodem Grocholskiego, lecz zamierzali prowadzić politykę pośredniczącą między posłami miejskimi a prawicą Grocholskiego. Miało centrum wybitnych posłów, między innymi Czarto-

ryskiego, Adama Sapiehę, Wojciecha Dzieduszyckiego, Madeyskiego, ale na osobny program w żadnej kwestii nie umiało się zdobyć i robiło wrażenie, że tylko osobiste ambicje i niechęć do Grocholskiego podyktowały separację.

To też stronnictwo to centrum przy najbliższych wyborach, w których liczba posłów konserwatywnych nieco zmalała, połączyło się napowrót z prawicą.

Świat parlamentarny polski przedstawiał zresztą galerję charakterystycznych postaci. W kole posłów krakowskich, popierających politykę Dunajewskiego, wysuwali się na czoło Jan i Stanisław bracia Tarnowscy. Zdolnością wyróżniał się Ludwik hr. Wodzicki, marszałek sejmu, który jednak, znalazłszy się w złem położeniu finansowem, złożył ten urząd, aby przyjąć miejsce gubernatora Länderbanku w Wiedniu. Najruchliwszym był Artur hr. Potocki, który w stronnictwie krakowskim prowadził dalej politykę swojego ojca Adama. Do stronnictwa krakowskiego liczyli się wreszcie Alfred hr. Potocki, podówczas namiestnik Galicji, który jednak ze swego stanowiska wkrótce ustąpił, przeprowadzając na nie Filipa Zaleskiego, wiceprezydenta namiestnictwa, związanego z grupą posłów podolskich. Do posłów krakowskich liczono też Mikołaja Zyblikiewicza, który po Wodzickim objął laskę marszałkowską, ale będąc temperamentu bardzo porywczego, zadarł z namiestnikiem Zaleskim, w trudne położenie postawił posłów i w końcu z marszałkostwa ustąpił. Do stronnictwa krakowskiego należał wreszcie Kazimierz hr. Badeni, który w r. 1889 za wpływem Dunajewskiego, a na miejsce Zaleskiego, został namiestnikiem Galicji. Marszałkiem po Zyblikiewiczu mianowany był Jan Tarnowski.

Grono posłów krakowskich miało najwięcej kandydatów na dostojeństwa krajowe namiestnika i marszałka, a przemożny wpływ Dunajewskiego wysuwał ich na te stanowiska. Raz tylko Alfred hr. Potocki, ustępując z namiestnictwa, na swojego zastępcę zalecił i przeprowadził Filipa Zaleskiego, wiceprezydenta namiestnictwa, związanego z polityką podolską. Wówczas też pomiędzy Zaleskim a porywczym marszałkiem z partii krakowskiej, Zyblikiewiczem, wybuchł zatarg osobisty, który się skończył tem, że Zyblikiewicz ustąpił z marszałkostwa, a Zaleskiego Dunajewski przeprowadził na ministra dla Galicji, ażeby dla Kazimierza hr. Badeniego otworzyć miejsce namiestnika.

Z pośród posłów podolskich wysuwali się na krzesło marszałkowskie i na krzesło prezesa Koła polskiego Adam ks. Sapieha i Jerzy ks. Czartoryski. Pierwszy jednak, politycznie niezrównoważony, nie rokował konsekwencji w działaniu i nie miał w sejmie uznania. Drugi z pozorami liberalizmu łączył niejasność postępowania politycznego. Obaj byli przeciwnikami Stańczyków, którzy też starali się im drogę do stanowisk kierujących zagrodzić.

Marszałkiem krajowym po ustąpieniu Zyblikiewicza został Jan hr. Tarnowski, po nim Eustachy ks. Sanguszko, który po przejściu Kazimierza hr. Badeniego na prezesa ministrów w Wiedniu został namiestnikiem Galicji. Wówczas marszałkiem został Stanisław hr. Badeni, który do stronnictwa krakowskiego bardzo się zbliżył, tylko prezesura Koła polskiego dostała się po śmierci Grocholskiego w ręce Apolinarego Jaworskiego, a po jego śmierci w ręce Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, obu posłów podolskich, którzy przewodzili większości posłów konserwatywnych ze wschodniej Galicji, nie chcących iść pod komendę Sapiehy czy Czartoryskiego.

„KOMPLEKS STRACHU" CZY „NASTAWIENIE OFENSYWY?"

PRZYPOMINA się z bardzo dawnych, przedwojennych czasów zabawna, a wielce pouczająca powiastka. Niby to dowcip, ale właściwie przypowieść, a wiadomo, że przypowieści głęboką nieraz zawierają w sobie prawdę i z życia wziętą satyrę.

Otóż tedy dwóch podpitych chłopów wychodzi z karczmy, trzymając się pod rękę. Przepili wszystko, za wyjątkiem ostatniego talara, który jednemu z nich został jeszcze w kieszeni.

Idą, kołysząc się i podpierając wzajemnie, aż tu nagle skacze im przez drogę żaba.

— Słuchaj bracie — powiada jeden — jeżeli zjesz połowę tej żaby, to ci dam mojego talara.

— O wa — odpowiada tamten — wielka mi sztuka!

Dobywa kozika, chwyta żabę, rozcina i niemiłosiernie krzywiąc się, pożera.

— Wygrałeś bracie! Masz talara!

Idą dalej, ale po kilku krokach odzywa się ten, który zakład wygrał:

— A teraz, jeżeli ty zjesz drugą połowę, to ci też dam talara!

— Co ty potrafisz, to i ja! — odparł zagadnięty, wraca się i połyka drugą połowę żaby.

— Ha, wygrałeś, masz talara!

I talar wędruje z powrotem do pierwszego posiadacza.

A dodatkowy komentarz do tej głębokiej przypowieści twierdzi, że obrzydzenie z powodu tej niezwykłej uczty wzięło w tej chwili górę i wywołało u obu chłopów natychmiastowy a naturalny skutek.

Przyszedłszy do siebie i ująwszy się znów pod rękę idą dalej. Wtem, jeden z nich przystaje i dotykając palcem czoła z pijacką refleksją, rozumuje:

— Dlaczegośmy właściwie tę żabę zjedli?

A przypowieść ta przychodzi nam na myśl dlatego, że i siedemnaście gazet polskich, o różnych przekonaniach politycznych, które nas kilka miesięcy temu tak gwałtownie, bezwzględnie, oszczerczo zaatakowało z powodu rzekomego naszego „germanofilstwa“, a w istocie z powodu wysuniętego przez nas twierdzenia, że Europa dzieli się na dwa fronty; probolszewicki i antybolszewicki i że Polska winna stanąć oczywiście w antybolszewickim froncie — pisze i stwierdza obecnie to samo. I tak dalece to samo, że niektóre ustępy w pewnych gazetach, traktujące o tym przedmiocie, wyglądają (a może i są) jak gdyby żywcem wyjęte z szeregu artykułów Naszej Przyszłości, które, poczynając od jesieni ubiegłego roku, dokładnie, niemal we wszystkich szczegółach, przepowiedziały to, co się niezadługo w Europie w szybkiem następstwie stało — poczynając od gwałtownego wybuchu komunizmu we Francji, a kończąc na nieuchronnym podziale Europy na dwa, nietyle dyplomatycznie, ile przedewszystkiem organicznie stworzone obozy.

Otóż, mimo różnych ubocznych, chwilowych incydentów i komplikacji, obóz państw „ładu i porządku“, przeciwny obozowi, opanowanemu mniej lub więcej przez marksowską doktrynę, staje się faktem. Dzienniki przyznają to, bo nie mogą nie

przyznać, a różne z nich piorunują nawet zawzięcie na ekspansję bolszewizmu.

Dlaczego więc cała ta heca na nas, pełna przezwisk i wyzwisk i obłudnej, hurrapatrjotycznej frazeologji, którą urządziła sobie prasa po to, aby obecnie pisać mniejwięcej to samo, cośmy dziesięć miesięcy temu pisali?

Dlaczego nasze dzienniki, które chełpią się zawsze swym darem jasnowidztwa, nie przewidziały jednak na dwa lub trzy miesiące naprzód, na co się w Europie zanosi i nawet nie przewidziały, jaki zwrot wielki, głęboki, organiczny, w polskiej opinii publicznej w krótkim czasie się dokona?!

I dlatego mamy teraz prawo zapytać: dlaczego ten cały krzyk, dlaczego to tromtadrackie obrzucanie nas błotem, jako niby zdrajców, przedawczyków, germanofilów, „hitlerowców", „faszystów" i t .d. i t. d.? Dlaczego nasza, tak niby patriotyczna i tak niby przewidująca prasa, reprezentowana aż przez siedemnaście dzienników, a wśród nich także szereg bardzo wpływowych, zrobiła aż tak wielką radość Kominternowi — odegrała taką właśnie rolę, jakiej bolszewicy od niej pragnęli? Bo trzeba było wiedzieć i czytać, zwłaszcza w pewnej prasie zagranicznej, jaka wściekłość wybuchła w różnych bolszewizujących lub usłużnych bolszewikom sferach i organach wobec tak głębokiego i mocnego uderzenia toporem w istotę bolszewickiej roboty, jakie Nasza Przyszłość wykonała i jakie uzupełniła następnie akcja Związku Polskiej Myśli Państwowej. Zdemaskowaliśmy niesłychane bagno, wykazując, jak daleko sięgnęła już bolszewicka robota — w Polsce, nawet tam, gdzie się nikt nie spodziewał jej istnienia i wpływu.

Trzeba dalej wiedzieć i czytać, jaką wściekłością zapałali ku nam Czesi, służący od dawna za po-

słuszną awangardę już nietylko bolszewizmu, ale i wprost Rosji Sowieckiej, w centrum Europy. Nie mniejszą wściekłością zapałali przeciw nam polscy moskalofile (czy tam słowianofile) i ci wszyscy, którzy światopogląd swój i dyrektywy czerpią — często bezwiednie — ze źródeł i jaczejek masońsko-żydowsko-bolszewickich.

To wszystko trzeba dokładnie znać, aby zrozumieć, że bolszewicy i różne ich posłuszne narzędzia, których niestety nie brak w kraju, nie widzieli innego sposobu, jakby sparaliżować naszą akcję i zohydzić ją — choćby na chwilę — w oczach mniej krytycznego ogółu, jak rzucenie na nas zarzutu germanofilstwa, choćby z powietrza wyssanego.

I powiodło im się różnemi a krętemi drogami podburzyć chwilowo naszą mało krytyczną i często negliżującą dokładne informacje prasę. Znaleźli marksiści i Czesi jednego i drugiego radykała-publicystę, z takiego czy innego obozu, zarówno „ludowego", jak „narodowego", którzy łupnęli sobie oszczercze artykuliki w imię sensacji i „obowiązku publicystycznego", a inne dzienniki, zwyczajem stada, powtórzyły to bezmyślnie. I — sprawa załatwiona, Nasza Przyszłość jest w tłumach gawiedzi okrzyczana za zdrajcę i renegata, głębsza akcja przeciwbolszewicka sparaliżowana, a Komintern śmieje się z naszych hurrapatryjotycznych, prasowców, że tak bezmyślnie i tak świetnie posłużyli mu za mimowolne narzędzia!

Śmieją się także i Czesi. Czy wiesz, Szanowny Czytelniku, że natychmiast po całym świecie roztrąbili z tryumfem, że akcja Naszej Przyszłości spotkała się z „dezaprobatą prasy polskiej"! Nawet tureckie dzienniki w Ankarze zamieściły o tem echa!

Niechże po tym wspaniałym, przemądrym, prawdziwie „patrjotycznym" wyczynie wypisują się

rozmaite gazety nasze przeciw Czechom, niech pobożnisie po różnych dziennikach „katolickich“ sypią bezskutecznie gromy na bolszewizm! Cóż z tego niewinnego kiwania palcem w bucie, kiedy prasa nasza pozostaje widocznie pod tak głęboko sięgającymi wpływami „obcych agentur“, albo też tak niesłychanie jest bezkrytyczną, powierzchowną i nieorjentującą się naprawdę w sytuacji, że pierwszy lepszy aspirator do małpowania w Polsce „frontu ludowego“, albo Czech, albo bolszewik może sprytnie wszystko w nią wmówić i do najabsurdalniejszych, prawdziwie dla państwa i polskości szkodliwych wyczynów ją podbechtać.

Prawdziwie szkodliwych dla Państwa — bo nie dla Naszej Przyszłości, która nic sobie z powierzchownej opinii publicznej, ani z płochych artykulików dziennikarskich nie robi, w akcji swej sparaliżować się nie da i walić będzie w dalszym ciągu, bez najmniejszego skrupułu, nietylko w bolszewizm, ale przedewszystkiem we wszelakie świadome, lub podświadome narzędzia bolszewizmu i rosyjskości w Polsce. I niech nas szkalują i wyzywają rozmaici „poczytni“ i „wybitni“ szermierze pióra codziennego od germanofilów, czy faszystów, czy czemkolwiek innem, niech starają się paskudzić nam robotę, ile chcą i jak chcą—my o to nie dbamy, swoje zrobimy, a nasi przeciwnicy niech pamiętają, że wszelka akcja, przeciw nam skierowana, jest wodą na młyn Kominternu, Czechów, masonów i żydowskich międzynarodówek. Bo jeżeli my to wszystko zwalczamy, a ktoś zwalcza nas i przeskadza nam w tej robocie, to jasnem jest, jak słońce, że oddaje — z wolą czy mimowoli — wielką usługę wszelakim „obcym agenturom“. To jest fakt i prawda i na to żadna dziennikarska polemika, żadne cięte, a nawet autorytatywne pióro nic nie pomoże.

Sprawa stoi przecież jasno i wyraźnie tak: albo za bolszewizmem, z wszystkiemi jego narzędziami i konsekwencjami, albo przeciw niemu. A jeżeli przeciw, to nie trzeba wzajemnie zwalczać się i zohydzać. Nasza Przyszłość nie będzie np. zwalczać nawet endeckiej gazety z tytułu jej walki z bolszewizmem. Takie postępowanie uważalibyśmy sobie za antypaństwowe i antychrześcijańskie i nikt też do tego nas nie namówi i żadnemu w tym względzie „wpływowi“ nie ulegniemy. Jeżeli polska publicystyka patriotyczna nie wykaże odpowiedniej solidarności oraz nieco lepszej orientacji w sprawie swych wzajemnych poczynań, to oczywiście każdy obcy wpływ będzie mógł sią rządzić w naszej prasie pod tym czy innym pretekstem i płaszczykiem.

A więc baczność! Idziemy dalej.

W tym, od jesieni ubiegłego roku jako konieczność dziejowa przez nas zapowiedzianym i propagowanym — o ile to od nas zależy — organicznym froncie państw „ładu i porządku“ przeciw frontowi, dowodzonemu wprost, albo w najwyższej instancji przez bolszewików, biorą udział w różny sposób pewne państwa w całości lub przynajmniej w części. Np. w całości stoją po tej stronie Włochy, Węgry, Austria i Niemcy, a wyraźniej winna stanąć także i Polska. Zresztą zaliczyć wypada do tego frontu obecnie także Rumunię, po szczęśliwem obaleniu tam masońskiej i filosowieckiej polityki pana Titulescu, choć Rumunia przez przynależność do Małej Ententy, rządzonej przez Renesza, jest niestety częściowo sparaliżowana. Dalej zaliczyć tu należy także inne państwa, zajmujące w konfliktach europejskich neutralną rolę, jak Szwajcarja, Finlandia i t. p. Wreszcie państwa bałkańskie, z których Jugosławia usiłuje widocznie wydobyć się z pod

czeskich wpływów, a Bułgaria i Grecja zmagają się energicznie z komunizmem.

A częściowo leży po tej stronie frontu także Francja, w której zdrowsze, bardziej krytyczne i patryjotyczne żywioły, w pierwszym rzędzie sfery wojskowe, zdają sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa bolszewizmu oraz radykalizmu, który z reguły przygotowuje grunt dla wszelakich doktryn wywrotu. Stąd też z głęboką satysfakcją witamy zacieśnienie — żeby nie rzec: odrodzenie — sojuszu i szczerego porozumienia z tą dobrze myślącą, zdrową częścią Francji, jako z naszą zawsze naturalną sojuszniczką, gdyż w układzie stosunków i sił w Europie dobrze pomyślany interes Polski jest identyczny z dobrze pomyślanym interesem Francji. Oczywiście interes rozumnej Polski z interesem rozumnej Francji. Bo trudno twierdzić, żeby kierunek, reprezentowany przez p. Bluma lub przez wpływowego kierownika tamtejszej partii komunistycznej Thoreza, czy zacietrzewionych entuzjastów wojującego bolszewizmu hiszpańskiego, był zgodny z racją stanu Polski!

A nie zapominajmy — choć w momencie pisania niniejszego artykułu nie możemy oczywiście jeszcze przewidzieć ostatecznego wyniku wojny domowej w Hiszpanii — że przecież i to państwo należy obecnie zaliczyć w każdym razie w znacznej części do naszego antymarksowskiego frontu, skoro zarówno w armii, jak i w różnych prowincjach i szerokich sferach tamtejszego społeczeństwa zdołał zrodzić się tak wielki opór przeciw bolszewickiej zarazie.

Ale nadewszystko po tej stronie frontu jest z natury rzeczy — Watykan. A o tem p. p. publicyści i politycy nasi nie powinni ani na chwilę zapominać, gdy mowa o podziale Europy i o miejscu, jakie Pol-

ska zająć powinna. Czy więc dziennikarze nasi na≈zwą i Watykan germanofilskim?

Bo przecież nie można twierdzić, że Watykan stoi ponad obu frontami, gdyż byłoby to równo≈znaczne z przypisaniem Watykanowi w tym wy≈padku neutralnej, a więc obojętnej roli w konflikcie między złem a dobrem. Watykan jest więc oczywi≈ście w antybolszewickim froncie.

I tu właśnie, na tym punkcie, ujawnia się cały, iście bezdenny rozmiar absurdalnego na nas wio≈sennego ataku prasy. Piekielny, małoduszny strach przed Niemcami tak jeszcze u nas panuje, jako nie≈zrzucone jarzmo zaborczych reminiscencji, że sama myśl o tem, iż Polska może znaleźć się w jakimś szerokim froncie porozumienia także z Niemcami odebrała naszym strachopuchom wszelką przytom≈ność, zdrowy sens i rozwagę. A przecież na froncie walki z czerwonym antychrystem i wszelakimi jego antychrześcijańskimi sługami lub chwilowo obała≈muconymi żywiołami jest naturalne i naczelne miej≈sce dla Kościoła!

O tem w trwodze przed Niemcami zapomnieli zupełnie nasi sławetni antagoniści. Zapomniały także i gazety socjalistyczne, nazywając nas zdaw≈kowo — z prawdziwie partyjnym uporem — raz hitlerowcami, to znowu faszystami. A nam oczywi≈ścei nigdy się ani o jednem, ani o drugiem nawet nie śniło, bo oba te kierunki są przedewszystkiem dok≈trynami społecznego przymusu, który zwalczamy za≈sadniczo; a zresztą nie należymy do tych Polaków, którym obce koncepcje imponują i którzy starają się je naśladować.

Rzecz inna, że między dzisiejszym hitleryzmem (mówimy przez ostrożność: dzisiejszym) a Kościo≈łem i jego nauką jest przepaść. Rzecz inna także, że mowy być nie może o przykuwaniu Polski do ry≈

dwanu jakiejkolwiek polityki niemieckiej, czy wogóle cudzej. Rzecz inna wreszcie, iż wogóle między uczestnikami — jeżeli tak wyrazić się można — antymarksowskiego frontu panują daleko idące rozbieżności w ustrojach, nastrojach i wszelakich interesach. Ale mimo to wszystko wspólne, olbrzymie, głęboko już sięgające niebezpieczeństwo ze strony czerwonej gwiazdy i pomocnych jej różnych międzynarodówek jest tak wielkie, że zmusza wszystkich niebolszewików i niesłużących bolszewizmowi, czy sowietom, łączyć się pod tym względem we wspólny front odporu w imię cywilizacji chrześcijańskiej i obrony przed grożącem jarzmem najstraszniejszej niewoli. Przecież o to tylko chodzi, a o nic innego! Pozatem bowiem jesteśmy bezwzględnymi zwolennikami absolutnej niezależności Polski w polityce zagranicznej i to tembardziej, że dalecy od małodusznych zastrzeżeń i zajęczej trwogi, wierzymy zarówno w moc naszej wskrzeszonej Ojczyzny, której ponowny zabór i rozbiór przez kogokolwiekbądź jest nie do pomyślenia, jak i w to, iż dzisiaj Polska, w swem specyficznem położeniu geograficznem, jest tak potrzebną Europie, że wrazie jakiegokolwiek zbrojnego niebezpieczeństwa miałaby aż nadto sojuszników do pomocy. To już nie rok 1920, lecz 1936, a między jedną z tych dat a drugą bardzo wiele zmieniło się na świecie i świat wiele się nauczył.

Stąd też prawdziwy to wstyd dla współczesnych Polaków bać się aż tak dalece Niemców, żeby na jakąkolwiek wzmiankę o nich tracić ze strachu przytomność i paraliżować u siebie akcję antybolszewicką. Cóż możemy na tak małoduszną obawę naszym wszystkim antagonistom odpowiedzieć? Jak zareagować możemy zarazem na ubliżające, oszczercze zarzuty, którymi nas tak obficie i soczyście przed

kilku miesiącami obryzgano, w zarozumialczem mniemaniu, że to ujdzie owym dziennikarzom bez⸗karnie, bo przecież prasie „wszystko wolno“ w imię demagogicznej doktryny „swobody drukowanego słowa“?

Gdyby oszczerstwo takie jeden tylko popełnił re⸗daktor, czy wogóle publicysta, to załatwia się taką sprawę prastarym zwyczajem z mocnym bykowcem w ręku. Wszak nieraz zmuszeni byli najspokojniejsi nawet gentelmeni postąpić tak z gladiatorami dzien⸗nikarskiego pióra. Ale prosty ten zamiar był w tym wypadku niewykonalny wobec aż siedemnastu na⸗pastników, rozrzuconych po różnych miastach.

I dlatego żadne paragrafy zwyczajowe o obrazie honoru nie mogą tu mieć zastosowania wobec zbyt wielkiej ciżby. Natomiast, ponieważ głównym psy⸗chicznym motywem skierowanego na nas ataku był paniczny, nieprzytomny strach przed Niemcami, dlatego jedynie właściwą odpowiedzią tym dzienni⸗karskim bohaterom może być z naszej strony tylko pewna parafraza słów Zagłoby, skierowanych iro⸗nicznie do młodych wolentarzy pod Zbarażem:

„Nie chciałbym ja w czasie bitwy z Niemcami trzymać się za waćpanami pod wiatr, aby się czegoś niecnotliwego nie dowąchać!“

My, wyznawcy programu i sposobu myślenia, rozwiniętego pracą i refleksją szeregu lat na łamach Naszej Przyszłości i w inspirowanym przez nią Związku Polskiej Myśli Państwowej, choć wielu z nas pamięta dobrze czasy przedwojenne i stosunki pod obcym zaborem, nie odczuwamy najmniejszej trwogi przed żadnym cudzoziemcem, nie hołdujemy żadnym odruchom poniewolniczej histerii, ani żad⸗nym przedpotopowym, dziś już nieaktualnym orjen⸗tacjom nadziei, obawy lub rozpaczy — ale całkiem swobodnie stoimy na platformie niepodległego, sil⸗

nego państwa, które może już i powinno pozwolić sobie na całkiem swobodne prowadzenie takiej realnej, konkretnej polityki samodzielnych pociągnięć i chwilowych lub trwałych porozumień z innemi państwami, która w danym okresie lub na dłuższą metę może przynieść Polsce pewne, konkretnie określone korzyści. Może i powinno również pozwolić sobie takie państwo na stosowaną wszędzie od początku świata taktykę dyplomatycznych rozgrywek i wzajemnych reasekuracji wobec różnych przyjaciół i przeciwników.

Tak robi na zimno, sine ira et studio, każde niepodległe, zwłaszcza silniejsze państwo, które coś znaczy w międzynarodowej polityce. Ale u nas niestety zbyt jeszcze panują nad umysłami ogółu różne uczuciowe, nierealne orjentacje i nastawienia, a przedewszystkiem panuje jakiś dziwny, może podświadomy strach przed ponowną utratą niepodległości. Stąd pochodzi bardzo charakterystyczne bodajże dla większości Polaków nastawienie wyłącznie defensywne w najszerszem tego słowa znaczeniu. — „Obym tylko tej cudownie odzyskanej niepodległości znów nie utracił!“—tak myśli pod wpływem jakiejś „dziejowej obawy“ wielu, bardzo wielu Polaków. I stąd tak trwożliwe, raz nazbyt sympatyczne, to znowu nazbyt antypatyczne nastawienie do różnych innych państw, stąd też i ciągła nieufność, aby nas kto nie napadł i „ponownego rozbioru Polski“ nie urządził.

Cierpi wielu na jakieś neurasteniczne przeczulenie pod tym względem. A z tego wynika smutny rezultat praktyczny, że boją się u nas ludzie myśleć swobodnie, realnie, śmiało, że tak powiemy: ofensywnie (oczywiście nie w znaczeniu agresji, ale suwerennego gestu) o polityce zagranicznej, zwłaszcza w stosunku do naszych sąsiadów. I gdy inne naro-

dy europejskie, choćby taki mały czeski, rozpierają się bez ceremonii w Europie, a nieraz nawet dość agresywną i prowokującą przybierają minę wobec sąsiadów, to ogół polski, mimo trzydziestokilko-milionowego państwa, potężnej armji i zdobytego już poważnego stanowiska w Europie, kurczy się wciąż w sobie w trwożliwej defensywie psychicznej, hołdując tragikomicznemu przekonaniu, że kontakt Polski z tem lub owem państwem w pewnych specjalnych celach jest równoznaczny zaraz z wprzęganiem Polski do rydwanu obcej polityki!

Z całym tym kompleksem strachu i z tem nastawieniem „psychicznej defensywy“ musimy raz skończyć, bo to nas kompromituje i tylko szkodę wyrządzić może Ojczyźnie. Jest to sposób myślenia niewolnika lub conajmniej świeżego wyzwoleńca. A przeciw takiej mentalności i psychozie Nasza Przyszłość stanowczo protestuje, uważając ją za zgubną dla kraju i demoralizującą dla niezbędnej tężyzny niepodległego Polaka.

To też niech sobie piorunują i wypisują na nas polityczni i publicystyczni tchórze i uczuciowcy, co im się żywnie podoba — i niech sprawiają tem serdeczną radość wszystkim nieprzyjaciołom Polski, a zwłaszcza Polski katolickiej i mocarstwowej! My dalej pisać i robić będziemy swoje niewzruszenie.

Chodzi nam — jak z długiego szeregu poprzednich tomów tego wydawnictwa uważnemu czytelnikowi dobrze wiadomo — o zbudowanie i utrwalenie konsekwentnego planu w konkretnych dążeniach do rozwoju Polski w coraz silniejsze (a w odpowiednich okazjach nawet w coraz bardziej zwiększone) mocarstwo. Takim duchem pozytywnym, niejako „ofensywnym“, winien przejąć się cały naród, gdyż takie tylko nastawienie zgodne jest z naturalnemi prawami rozwoju. Państwo zaś, którego duch oby-

watelski znajduje się w psychozie podświadomego strachu i defensywy, zawsze kurczyć się będzie, i największa nawet ilość armat, tanków i samolotów niewiele mu pomoże.

A skoro najniebezpieczniejszym, najbardziej trującym nas wewnętrznie wrogiem jest w tej chwili bolszewizm, a była nim zawsze Rosja, więc też pierwszem naszem, prawdziwie mocarstwowem zadaniem jest w obecnej epoce utworzenie, względnie przyczynienie się do utworzenia wału ochronnego przeciw imperializmowi Rosji oraz ekspansji bolszewizmu i wszystkim, jemu posłusznym czynnikom. W tym zaś celu nietylko należy nam zbroić się moralnie i materialnie, ale również porozumiewać się z temi wszystkiemi państwami i żywiołami w Europie, które przeciwstawiają się bolszewizmowi i innym doktrynom wywrotowym.

Jasne to, proste, oczywiste i cały naród powinien to rozumieć, a zwłaszcza cała prasa, przynajmniej ta, która z natury swej należy do antybolszewickiego frontu.

A jasnem jest również, że opancerzona i uzbrojona moralnie i materialnie przeciw bolszewizmowi Polska będzie tem silniejszą także wobec innych swych sąsiadów. Całkiem fałszywem więc, politycznie nawskroś błędnem i dziecinnem jest trwożliwe mniemanie, że porozumienie antybolszewickie i wogóle antywywrotowe z Niemcami, czy jakiemkolwiek innem państwem — zwłaszcza w szerszym froncie państw cywilizowanych — może być dla Polski szkodliwem. Wprost przeciwnie — sojusznik niemiecki musiałby w takiej sytuacji, volens nolens, życzliwszą dla nas prowadzić politykę i mielibyśmy prawo, a nawet moc od niego tego żądać. Jeżeli zaś równocześnie będzie Polska trwać z naturalnem przymierzu sojuszniczem z Francją, to oczywiście

tem lepiej dla nas i dla zmagającej się wewnętrznie Francji, którą silniejsza spójnia z Polską z natury rzeczy oddala od sympatii prorosyjskich i tem lepiej dla osaczenia ewentualnych zamiarów imperialistycznych ze strony Niemiec, gdyby się kiedykolwiek w Niemczech miały ujawnić.

A nadto tem łatwiej i prędzej załamią się czeskie przeciw nam intrygi. Bo dzisiaj Czech, to wprawdzie najsłabszy z naszych wrogów, ale za to najbardziej szczekliwy i zjadliwy. A wiadomo, że nieraz łatwiej lwa pokonać, niż kąśliwą muchę.

Ale, aby móc prowadzić taką, czy podobną — stosownie do wymagań sytuacji — niezależną, suwerenną, planową politykę, trzeba przedewszystkiem wyzbyć się czułostkowości, strachu, nastawienia „wiecznej defensywy“ i zacząć myśleć i działać realnie tak, jak wielkiemu narodowi przystoi. A dopóki endecja będzie mdleć u nas z rozkoszy na dźwięk słów „Rosja“, „Czesi“ lub wogóle „bracia słowiańscy“, a prasa polska mdleć będzie ze strachu na dźwięk słowa „Niemiec“ i wszystkie nasze myśli, marzenia, dążenia, kombinacje i nadzieje będą jednostronnie i wyłącznie czepiać się tylko jednego słowa „Francja“, tak długo ani ta Francja — zwłaszcza po przezwyciężeniu u siebie obecnego incydentu socjal-komunistycznego — respektu przed nami mieć nie będzie, ani nie będzie mogło być na serio mowy o żadnym samodzielnem, celowem, prawdziwie mocarstwowem nastawieniu narodu polskiego w sprawach zagranicznych.

Trudno także byłoby myśleć o zwalczenie na serio bolszewickiej zarazy i o zagrodzeniu zaborczej Rosji drogi do Europy.

A resztę, co w tej sprawie obecnie dodać należy, podaje czytelnikom Sekcja dla spraw zagarnicznych Związku P. M. P. w następnym artykule.

Jan Bobrzyński.

NA MARGINESIE WZMOCNIENIA POLSKO-FRANCUSKIEGO PRZYMIERZA

W ROZPOWSZECHNIONEJ niedawno przez nas osobnej broszurze, p. t. „Gruba Berta“, którą otrzymali także wszyscy abonenci „Naszej Przyszłości“, stwierdziliśmy i potępiliśmy modny w pierwszej połowie bieżącego roku prąd w radykalnych — tak prawicowych, jak i lewicowych — sferach naszego społeczeństwa, mający na celu bezkrytyczne rzucenie się w objęcia rządzących Francją chwilowo żywiołów radykalnych, z socjalistą Blumem, komunistą Thorezem i bolszewikiem moskiewskim Michajłowem na czele, aby przez jeszcze większe zradykalizowanie Polski, utworzenie na wzór francuski bolszewizującego „frontu ludowego“ i samobójcze ugrzęźnięcie w sojusz francusko-czesko-rosyjski wyżebrać od p. Bluma pożyczkę.

Zdemaskowaliśmy wówczas całą tę niby franko-filską, ale ostatecznie filo-bolszewicką robotę, zainscenizowaną w Polsce pod wpływem radykalistycznego szału i najniewątpliwiej także za podszeptem różnych, zakonspirowanych „obcych agentur“. Nazwaliśmy dążenia takie zdradą Ojczyzny i zapowiedzieliśmy, że — pomijając już nawet nieetyczność i antypaństwowy charakter tego zamierzenia — łudzą się ci wszyscy, którzy sądzą, że za taką cenę, za cenę poddania się w ostatecznej instancji bolszewickiej dyrektywie, uzyska Polska naprawdę francuskie srebrniki.

Jak czytelnikom wiadomo, wybuchła stąd niebywała burza przeciwko nam w prasie różnych odcieni i wyzwano nas od ostatnich słów.

A obecnie wydaje się zapewne niektórym, powierzchownie myślącym lub mylnie interpretującym fakta, jakoby podróż europejska generała Rydza-Śmigłego i wzmocnienie przez niego sojuszu z Francją załamały linię polityczną, reprezentowaną przez „Naszą Przyszłość" i potwierdziły słuszność skierowanych przeciwko nam na wiosnę ataków prasowych.

Tymczasem rzeczywista rzeczywistość jest całkiem inna. Atakująca nas bezkrytycznie w siedemnastu swych organach prasa poniosła ciężką porażkę — jako słuszną zapłatę za swą porywczość i powierzchowność — a polityka nasza, idąca po niezłomnej linii z perspektywą na dalszą metę, święci oczywisty tryumf na całym froncie.

Wszak gazety polskie i zagraniczne, jak również różne publiczne, zasadnicze enuncjacje miarodajnych mężów stanu zagranicą stwierdzają propagowany przez nas od jesieni zeszłego roku fakt automatycznego dzielenia się Europy na dwa fronty: ofenzywy komunistyczno-bolszewickiej oraz kontrofenzywy państw i żywiołów antybolszewickich, w czem niedawno zajął zdecydowane stanowisko także i Watykan, jak to zresztą leżało w oczywistym porządku rzeczy.

A podróż generała Rydza-Śmigłego i jej rezultaty? Jak pogodzić to z tem, żeśmy przeciw „francuskim srebrnikom" protestowali?

Sprzeczność tylko pozorna. W rzeczywistości bowiem wspaniały przebieg i doniosłe rezultaty podróży Naczelnego Wodza naszej armii w niczem nie przeczą temu, o cośmy z końcem ubiegłego i po-

czątkiem bieżącego roku z takim naciskiem kopie kruszyli i dalej kruszyć będziemy. Zasadnicza linia polskiej polityki zagranicznej idzie w dalszym ciągu i iść musi po stwierdzonej i uzasadnionej przez nas linii. Bo przecież nie może przenieść się na stronę frontu filo-sowieckiego!

Na czem więc polega istota doniosłego pociągnięcia generała Rydza-Śmigłego?

Trzeba jasno i obiektywnie zdać sobie sprawę z sytuacji. Twierdziliśmy zawsze — i możemy powołać się w tym względzie na szereg artykułów w poprzednich tomach naszego wydawnictwa — że Francja jest naszą „naturalną“ sojuszniczką z powodu organicznej identyczności pewnych żywotnych interesów polsko-francuskich, bez względu na chwilowe fluktuacje naszych wzajemnych stosunków. Jest rzeczą pozadyskusyjną, że gdy żołnierz polski zmuszony będzie nałożyć bagnet na swój karabin w pewnych warunkach, to będzie musiał uczynić to w sojuszniczem porozumieniu także i żołnierz francuski. Inaczej Polska i Francja istnieć przestaną, albo conajmniej bardzo ciężkie poniosą straty.

Ale, poza bezsporną i niewzruszoną w dalszym ciągu platformą tej współzależności polskiej i francuskiej racji stanu, wytworzyły się w ostatnich czasach takie we Francji stosunki, że polska myśl polityczna w żaden sposób nie mogła iść z francuską w jednym szeregu, ale musiała odchylić się na prawo i zainicjować niezależną od braterstwa z Francją politykę, a raczej — ściśle mówiąc — taktykę. Niepodobna przecież było nam wprzęgać się w rydwan zależności od socjalistyczno-bolszewickich prądów, które — miejmy nadzieję, że chwilowo — znaczną część polityki oficjalnej i opinii publicznej we Francji opętały, czując się z czerwoną Moskwą

i wspomagając czerwoną gwardię i sowietyzację Hiszpanii.

W takiej sytuacji zrozumiały wyższe sfery wojskowe francuskie, zdające sobie lepiej sprawę z rozgrywki różnych sił, niż rozpolitykowani cywile, cały rozmiar grożącego Francji niebezpieczeństwa i, porozumiawszy się bez wątpienia z pewnymi zdrowszymi żywiołami we Francji, doszły do przeświadczenia, wzmocnionego zwłaszcza odstraszającym przykładem hiszpańskim, że jednak zlekceważenie Polski, a zbyt oportunistyczne oparcie się o Rosję bolszewicką zaczyna grozić bolszewickim wywrotem i zgubą Francji.

I wówczas wzięły inicjatywę w rękę owe wyższe, trzeźwo myślące i patriotycznie usposobione francuskie sfery wojskowe, a wyrazem tego zdrowego nawrotu była znamienna wizyta szefa sztabu generalnego armii francuskiej, piastującego zarazem stanowisko przewodniczącego tamtejszej Rady obrony narodowej, w Warszawie. Czy pierwsza inicjatywa wizyty generała Gamelina wyszła z francuskiej, czy może z polskiej strony, tego dokładnie nie wiemy i to zresztą kwestia stosunkowo drugorzędna. Dość na tem, że gen. Gamelin przybył pierwszy do Warszawy i to specjalnie celem nawiązania bliższych stosunków z Naczelnym Wodzem armii polskiej.

A potem, w naturalnej konsekwencji, nastąpiła prawdziwa tryumfalna podróż i poltyczno-militarne konferencje gen. Rydza-Śmigłego po Francji, uświetnione tak wspaniałemi i entuzjastycznemi demonstracjami różnych sfer społeczeństwa francuskiego, jakich nie doznał od niepamiętnych czasów nawet żaden aliant Francji na tronie. A w dalszej konsekwencji złożył w Warszawie wizytę francuski minister przemysłu i handlu.

Ostateczny więc cel i rezultat nagłego odrodzenia porozumienia francusko-polskiego i zarazem czynu Naczelnego Wodza armii polskiej polega na tem, że dobrze myśląca część społeczeństaw francuskiego, a zwłaszcza wyższe sfery wojskowe i niektóre rządowe, z prezydentem Lebrunem na czele, zrozumiały, iż trzeba nareszcie przyśpieszyć dozbrajanie się Polski, które wprawdzie Polska sama już przedtem rozpoczęła i własnemi siłami wykonuje, ale z braku odpowiednio wielkich funduszów oczywiście dopiero po dłuższym czasie mogłaby w całej pełni osiągnąć. A tymczasem czerwony grunt pali się Francji i wogóle zachodniej Europie pod nogami.

Doniosłość więc czynu generała Rydza-Śmigłego leży przedewszystkiem w tem, że nietylko zrealizował materialną pomoc Francji na przyśpieszenie dozbrajania naszej armii, ale równocześnie zaszczepił lub przynajmniej wzmocnił we Francji przeświadczenie, iż dalsze bezkrytyczne kontynuowanie starodawnego franko-rosyjskiego przymierza ponad głowami Polaków staje się dla Francji coraz bardziej samobójczem i podważył przez to — co jest dla całego świata całkiem oczywistem — zbytnią przyjaźń francusko-sowiecką, grożącą z biegiem czasu ewentualną bolszewizacją Francji i, w naturalnej również konsekwencji, stworzenie militarnego polsko-niemieckiego przymierza, skierowanego w takim razie przeciw Francji czerwonej.

Szczera więc wdzięczność całego narodu należy się Naczelnemu Wodzowi armii polskiej za tak zręczne przeprowadzenie tej akcji, pod każdym względem doniosłej i pożytecznej dla Polski i dla sprawy obrony zachodniej Europy przed wpływami bolszewizmu wogóle. A w takich warunkach uzyskaniu kredytów francuskich — i to na cele głów-

nie wojskowe — możemy przyklasnąć bez zastrzeżeń w samej zasadzie, byle tylko oczywiście korzystnymi okazały się szczegółowe ich warunki po ostatecznem ustaleniu. Nie narzuca nam bowiem tak uzyskana tranzakcja nakazu zabrnięcia w arcyniebezpieczną dla Polski koncepcję „paktu wschodniego“, a przeciwnie — osłabia nawet dążenia do organizacji bolszewizujących „frontów ludowych“ zarówno w Polsce, jak i we Francji. Bo jasną jest rzeczą, że wzmocnienie przymierza polsko-francuskiego, a tem samem osłabienie przymierza francusko-rosyjskiego, paraliżuje tu i tam perfidną politykę Sowietów i Kominternu, a zwłaszcza w Polsce zadaje dotkliwy cios lekkomyślnym, demagogicznym usiłowaniom naśladowania zagranicznych „frontów ludowych“.

Równocześnie wpływa to wszystko bardzo zdrowo i otrzeźwiająco także na imperialistyczne tendencje pewnych sfer niemieckich, skoro widzą, że Polska jest już tak dyplomatycznie wyrobiona, że potrafi zawierać względnie odnawiać przymierza, gdzie to uzna za potrzebne dla swych interesów, nie pytając się nikogo o pozwolenie i nie zdając się jednostronnie na jakąkolwiek obcą łaskę i niełaskę.

Takiej więc metodzie zawierania aliansów i zaciągania pożyczek zagranicznych możemy tylko przyklasnąć. To nie czołganie się na brzuchu przed ladajakim francuskim radykałem i komiwojażerem, co Polacy przedtem niestety epidemicznie uprawiali, osiągając przez to rezultaty wprost przeciwne: lekceważenie, tranzakcje dyplomatyczne ponad naszemi głowami i finansową figę. Generał Rydz-Śmigły całkiem inaczej wziął się do rzeczy i dlatego właśnie osiągnął rezultat pozytywny: Francja wyciągnęła do nas rękę w zrozumieniu, że inaczej grozi jej poważne, już bezpośrednie niebezpieczeń-

stwo. A ekspansja imperializmu moskiewskiego w Europie, ułatwiona dotąd bezkrytycznym radykalizmem „zgniłego zachodu“, natrafiła na poważną przeszkodę, z którą odpowiednio musi się liczyć.

Nadto — znowu w naturalnej konsekwencji — buta czeska dostała porządnie na odlew. Inny jest już ton różnych organów prasy czeskiej wobec Polski, który do niedawna brzmiał bardziej butnie i wrogo, niż nawet ton przedwojennej prasy pruskiej i powojennej bolszewickiej. Pan Benesz nagle zmalał w oczach świata, a nawet w oczach Małej Ententy, a różne sfery czeskie zaczynają nagle przebąkiwać o konieczności pewnej rewizji czeskiej polityki względem Polaków.

Bardzo to zdrowo! Ale to wszystko jest absolutnie zgodne z zasadniczemi liniami wytycznemi „Naszej Przyszłości“ i z akcją propagandową Związku Polskiej Myśli Państwowej. Nie załamuje to bowiem w niczem naszego programu, od lat przygotowywanego, a okrągło od roku z wielkim naciskiem propagowanego: swobodnego ranżowania się Polski w ogólnym froncie państw „cywilizacyjnego ładu i porządku“ przeciw rozpasanemu radykalizmowi, społecznej anarchji i bolszewickiej zarazie, choćbyśmy nawet w tych konkretnych celach mieli stanąć samorzutnie ramię przy ramieniu z Niemcami — oczywiście z zachowaniem należytej wobec nich czujności i odpowiednio suwerennego gestu. Odnosi się to zresztą także i do stosunków ze wszystkiemi innemi państwami, nawet najbardziej zaprzyjaźnionemi, bo tylko siła, pewność siebie i niezależny gest budzą respekt.

Nie potrzebujemy więc w niczem zmieniać zdania i w niczem od naszego programu odstępować. Na wypadek wojny jesteśmy mniej więcej pewni Francji, chyba, że bolszewizm tam zwycięży, czego

jednak nie chcemy i nie mamy jeszcze prawa przypuszczać. A w czasie pokoju dobry nasz stosunek z Francją zależeć będzie od jej polityki i jej stosunków wewnętrznych, które na tę politykę i na odnoszenie się do nas oczywiście odpowiedni wpływ będą wywierać.

A do Czechów, którzy robią wrażenie zawracania z błędnej — prosowieckiej i antypolskiej — drogi, nie czujemy i nie czuliśmy nigdy żadnej zasadniczej nienawiści. Jak do każdego, tak i do nich odnosimy się ściśle rzeczowo. Dopóki będą naszymi wrogami, to musimy być przeciw nim nastawieni, a zwłaszcza dopóki pozostaną wasalami Sowietów. Czechy prorosyjskie, grające rolę bramy wypadowej czerwonej Moskwy na cywilzowaną Europę, będą zawsze przez nas zwalczane i to choćby nawet jakiś sztucznie dyplomatyczny zawarty został rozejm między nimi a Polską.

Inaczej będzie, jeżeli zasadniczy kierunek czeskiej polityki i nastawienie tamtejszych rządów się zmienią. Wówczas i my z ochotą wyciągniemy rękę. Wszak w polityce międzynarodowej niemasz stałych sympatji lub antypatji, ale tylko interesy. Proszę zajrzeć wstecz do dawnych tomów „Naszej Przyszłości". Stoi tam wyraźnie, że bijemy taranem w Czechosłowację tylko dlatego, że jest Polsce wrogą i niebezpieczną, ale że zarazem pragniemy, aby została przypartą do muru i doszła do przekonania, że w żywotnym jej interesie, w interesie zabezpieczenia stałości państwa czeskiego, leży dobre porozumienie z Polską.

Mimo bowiem wszelkich fluktuacji koniunktur na wielkiej arenie międzynarodowej polityki europejskiej, trwamy niewzruszenie przy naszym, od lat przez nas uzasadnianym programie „bloku państw środkowo-wschodniej Europy", położonych

w „trójkącie niebezpieczeństwa“ między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnem. A do bloku tego zaliczamy od początku także państwo czeskie, choć dla nas dotąd nieprzyjazne i mobilizujące przeciwko nam wszelkie wrogie konspiracje i moce. Ale to niesforne, dziecinne stanowisko dotychczasowych rządów czeskich jest na dłuższą metę bez znaczenia. Przewidujemy moment, kiedy szef rządu czeskiego będzie musiał odbyć przyjacielską podróż do Warszawy.

Z całą pewnością dozna życzliwego przyjęcia.

Muszą przytem jednak spełnić się pewne, oczywiste warunki, bez których polsko-czeskie porozumienie byłoby zakłamaną farsą. A więc przedewszystkiem muszą nam Czesi zwrócić zrabowaną zdradzieckim napadem część Śląska Cieszyńskiego. Muszą zwrócić Ruś Zakarpacką Węgrom, gdyż wspólna granica polsko-węgierska jest naszym kardynalnym postulatem i zarazem jednym z kamieni węgielnych przedmurza cywilizacji zachodniej przed zakusami barbarzyńskiego wschodu. Muszą wreszcie zgodzić się, w myśl listu Milleranda, na sprawiedliwą rektyfikację swej granicy z Węgrami, oraz na plebiscyt w Słowacji pod kontrolą neutralnej komisji międzynarodowej.

Wogóle muszą dojść do przeświadczenia, że ich państwo „czesko-słowackie“, takie, jakie skonstruowali sztucznie, gwałtem i zakłamaniem, nadając mu dziwaczne, nienaturalne, ku Rosji wydłużone granice, nie może ostać się na czas dłuższy, nie ma żadnych warunków trwałości, całkiem podobnie, jak nie ostały się długo różne starożytne i średniowieczne państwa, sklecone sztucznie chwilową siłą oręża, a nie oparte na organicznych podstawach. Dzisiejszy twór czesko-rusko-słowacki, skonstruowany w pierwszej dobie powojennego chaosu, jest

niebezpieczny bezpośrednio dla Polski, Rumunii i Węgier, a w dalszych konsekwencjach i dla całej cywilizowanej Europy. Jest niebezpieczny militarnie, jak i moralnie.

Zaczynają się już orientować w tem dwaj inni partnerzy w Małej Entencie, Jugosławia i Rumunia i wyłamują się coraz bardziej, coraz wyraźniej z pod niebezpiecznej dla nich czeskiej dyrektywy. Zaczynają rozumieć, że państwo, sklecone w środku Europy najniewątpliwiej dla przyszłego użytku Rosji i to jeszcze Rosji czerwonej, ułatwiające propagandę bolszewickiej zarazy, staje się i dla nich na serio niebezpiecznem.

Dlatego głównie upadł Titulescu i dlatego też polityka Rumunii i Jugosławii zaczyna przybierać stopniowo całkiem inne oblicze. Oba te kraje, mimo formalnego kontynuowania tworu Małej Ententy, stają jednak wyraźnie po stronie antybolszewickiego — a więc antyczeskiego — frontu. A rezultaty podróży paryskiej gen. Rydza-Śmigłego tem bardziej wstrząsnęły dotychczasowymi podstawami czeskiej polityki, która swój prestiż opierała na teoretycznym sojuszu z Francją — choć daleko bliższy i realniejszy ma sojusz z Rosją — i wygrywała go na zachodzie i w Małej Ententcie przeciw rzekomo „germanofilskiej" Polsce. Teraz cała ta gra wzięła w łeb, bo wszyscy widzą, że Polska, kierując się własnym trzeźwym interesem, potrafi mieć dobre stosunki z Niemcami i równocześnie sojusz z Francją.

Sprytne rachuby czeskie zawiodły na całej linii.

A Polska, obok całej swej gry na wielkiej arenie dyplomatycznej, którą, jako mocarstwo, uprawiać musi, dążyć winna niewzruszenie do relizacji wspomnianego bloku środkowo-wschodniej Europy,

gdyż to leży zarówno w jej własnej racji stanu, jak i w głębiej zrozumianym interesie wszystkich państw, położonych geograficznie między światem rosyjskim a germańskim.

Ten wzgląd, a nie żadne chwilowe koniunktury lub nierealne wszechsłowiańskie czy inne ideały, winien zbliżać ku sobie coraz bardziej te państwa— Polskę, Rumunię, Węgry, Czechy, Jugosławię, Bułgarję, Łotwę i Estonię — i w coraz bardziej jednolity blok polityczny i gospodarczy je cementować. Ale przedtem muszą być uregulowane pewne absurda, jak stosunek Kowieńszczyzny do Polski lub nielogiczność egzystencji państwa czeskiego w jego obecnych granicach.

Mężowie stanu w tych państwach — o ile są naprawdę mężami stanu i znają sens historii — niech zechcą dobrze przemyśleć, czy w perspektywie na dłuższą metę wymienione narody stracą na takim bloku, czy zsykają?

Niech zwłaszcza zastanowią się nad tem zagadnieniem rozumni patrioci czascy!

Tym zaś ewentualnym krytykom, którzyby krótkowzrocznie próbowali robić nam zarzut, że przecież zasadniczy nasz program bloku środkowowschodniej Europy sprzeczny jest pod niejednym względem i krzyżuje się z koncepcją antybolszewickiego frontu państw „cywilizacyjnego ładu i porządku“, odpowiadamy zgóry:

To co innego, a tamto też co innego, ale oba te żelaza winna Polska równocześnie trzymać w ogniu. Jedno drugiemu w niczem nie przeszkadza, gdyż każda z tych koncepcji leży na całkiem innej platformie. Front antybolszewicki, który zresztą staje się już w Europie faktem, jest oczywiście tworem chwilowym, z określonym celem zwalczania bolsze-

wizmu i położenia tamy zaborczości czerwonej Moskwy. Gdy to niebezpieczeństwo prędzej, czy później minie, to i front antybolszewicki przestanie być aktualnym. Natomiast zbudowanie bloku państw, przeważnie mniejszych, umiejscowionych stale w pasie nowoczesnych zakusów zaborczych od wschodu i zachodu, jest programem trwałym, który aktualności swej nigdy nie straci.

Sekcja dla spraw zagranicznych
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

NASZA WISŁA!

JAK czytelnikom naszego wydawnictwa oddawna dobrze wiadomo, główną i niezmienną podstawą naszej ideologii w kwestiach zagranicznych jest koncepcja „bloku państw środkowo-wschodniej Europy“.

Uzasadniliśmy koncepcję tę w długim szeregu artykułów, ujmujących tę myśl z różnych punktów widzenia i przedyskutowaliśmy ją wielokrotnie na zebraniach zwolenników „Naszej Przyszłości“ oraz Związku Polskiej Myśli Państwowej. Idea ta idzie zgodnie po linii przygotowywania rozbudowy Polski mocarstwowej — w przeciwieństwie do małodusznego, tchórzliwego nastawienia, nieraz mimowolnego, tych żywiołów i stronnictw politycznych w kraju, które, nie mając silnej wiary w moc ekspansywną Polski, hołdują defetystycznym, choć nieraz zdawkowym hurrapatriotyzmem pokrywanym przekonaniom, że Polska winna oprzeć się o Rosję względnie o Niemcy, albo wreszcie kurczowo i niewolniczo trzymać się we wszystkiem Francji.

Tym wewnętrznym defetyzmem różnych sfer polskiego społeczeństwa tłumaczą się takie u nas patologiczne objawy, jak np. z jednej strony kult jakiejś fantastycznej idei wszechsłowiańskiej, w gruncie rzeczy po prostu prorosyjskiej, z drugiej wzrost krzykliwego nacjonalizmu na wzór niby faszystowski, a właściwie hitlerowski i wogóle różne,

bezkrytyczne nastawienia na obcą pomoc i obce wzory.

W takich nastrojach popularne u nas na ulicy hasło „Polski mocarstwowej“ wygląda na zupełną farsę. Mocarzem bowiem mianować się może słusz- nie tylko ten, kto przedewszystkiem na własnej sile się opiera, w nią szczerze wierzy i wykazuje wsku- tek tego odpowiednią prężność ekspansywną.

Dlatego staramy się w tem wydawnictwie kru- szyć te pęta niewolniczego sposobu myślenia i trwo- żliwego nastawienia naszych rodaków, jako oczy- wistą a niechlubną pozostałość z długiego okresu zaborów. A na to miejsce ustalamy śmiało i bezce- remonialnie program restytucji państwa o troistym herbie, a obok tego program konsolidacji wspo- mnianego bloku, aby poszczególne państwa mniej- sze, które w jego skład wejść powinny, przestały być areną ustawicznych wichrzeń wielkich mo- carstw ze wschodu czy zachodu, ale na własnej, zbiorowej oparły się sile i mogły przez to taką roz- począć egzystencję i politykę, która odpowiada ich rzeczywistym interesom w stosunkach nowocze- snej Europy. I powtarzamy przy tej okazji raz jeszcze myśl przewodnią tego bloku, która kulmi- nuje w tezie, iż *państwom tym w przyszłości dale- ko więcej grozi, niż je obecnie między sobą dzieli.*

I tych naszych zasadniczych linii przewodnich, tego na daleką metę sięgającego programu — któ- ry jednak już dzisiaj trzeba zacząć propagować i re- alizować, aby się kiedyś mógł spełnić — nie zaciem- niają nam i nie załamują żadne, nawet doniosłe, ale bądź co bądź chwilowe tylko wypadki, konstelacje i koniunktury. Naród bowiem, mający jasny, orga- nicznie żywotny program przed sobą, który go wie- dzie do prawdziwie mocarstwowej potęgi, nie po-

winien dawać się wytrącać z tej linii stosunkowo ubocznymi wypadkami.

Otóż w granicach tego ogólnego programu mocarstwowego leży konieczność realizacji całego szeregu ważnych a konkretnych szczegółów, które, razem wzięte i równocześnie lub kolejno załatwione, złożą się dopiero na konsekwentne wykonanie całego programu. Do takich części składowych programu Polski mocarstwowej należy, na jednem z pierwszych miejsc, posiadanie rdzennej arterji wodnej od jej źródeł do jej ujścia i mocne osadzenie się nietylko w całem jej dorzeczu, ale przedewszystkiem u jej ujścia i na morskiem wybrzeżu po obu tego ujścia stronach. Taką rdzenną arterią wodną Polski jest oczywiście Wisła.

Inne państwa są szczęśliwsze od nas pod tym względem. Panują bowiem całkowicie przynajmniej nad jedną lub nawet nad kilku ważnemi rzekami. Nawet niektóre mniejsze państwa osadziły się silnie przynajmniej nad ujściami pewnych ważnych arterii wodnych.

Polska nie panuje dotąd nad żadną w całości, mimo stosunkowo dużego swego obszaru prawie czterystu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Ileż to własnych wielkich rzek ma Rosja, ileż mają Niemcy, Francja, Hiszpanja, Anglja! Nad temi rzekami rozwinęła się w ciągu wieków, z natury rzeczy, największa moc kulturalna i materialna odnośnych narodów, o ile oczywiście skorzystać z takich arterji umiały. Czem jest np. Wołga dla Rosji, czem dla Niemiec Odra, Elba, Wezera, czem dla Francji Sekwana, Loara lub Rodan, czem dla Anglii Tamiza — tego nie potrzeba chyba dowodzić.

A Polska nie ma w całości ani jednej rzeki i nie umiała tego zadania nigdy trwale rozwiązać!

Nie umiała, gdyż — jak to każdy przyznać musi historyk — brakło Polakom stale, nagminnie, nieodzownej konsekwencji w rozwiązywaniu najważniejszych problemów państwowego bytu. Chwilowe pociągnięcia, słomiany ogień, świetne zwycięstwa orężne bez trwałego po nich rezultatu — oto kwintesencja naszych dawnych dziejów, w których właśnie dlatego tkwił oddawna zarodek politycznego upadku.

Nowoczesna Polska ma więc przed sobą przedewszystkiem jedno najogólniejsze zadanie: naprawienie błędów przeszłości i to systemem konsekwentnego w danych kierunkach dążenia. Nie jesteśmy, jak wiadomo, zwolennikami naśladowania obcych przykładów, doktryn i wzorów, ale w tem jednem— w konsekwencji i ciągłości dążenia i działania — bierzmy sobie przykład z innych, mocarstwowych narodów!

Wisła musi być naszą na całej swej przestrzeni! Ten postulat, jasno wyrażony, rzucamy bez ogródek w polskie społeczeństwo! Niech bojaźliwi aktualiści zatrzęsą się ze strachu przed Niemcami lub Ligą Narodów, która im wspanialsze buduje sobie pałace nad Lemanem, tem bardziej traci na znaczeniu. Niech wielcy nasi „realiści“, którzy uznają tylko to, co w danej chwili leży przed nimi gotowe na talerzu, śmieją się z nas i ironizują, ile im się żywnie podoba! My powtarzamy twardo i mocno: Wisła musi być cała polską!

Dobrze, ale w jaki sopsób? W sposób stosunkowo bardzo prosty: trzeba jej mocno chcieć.

A w tym celu trzeba konsekwentnie, z nieugiętą wytrwałością i planowością zrobić to wszystko, co do nas należy.

Przedewszystkiem musi cały naród polski w tym

kierunku bezdyskusyjnie się nastroić. Porzucając małoduszne obawy i inne hamulce psychiczne, mu- si ujść Wisły mocno pożądać i pożądaniu temu jak najgłośniejszy, jak najszerszy dać wyraz. Nie chwi- lowo, z dziś na jutro, nie na kształt fajerwerku, ale stale, konsekwentnie, niezmiennie i z coraz więk- szą mocą. Prasa i opinia publiczna winny tu iść zgodnie, systematycznie ręka w rękę, aż do skutku, choćby ten skutek nawet po długich dopiero latach dał się osiągnąć. Prawda, że liczne i ciężkie trudno- ści stoją tu na drodze, ale dla dzielnych ludzi trud- ności istnieją właśnie po to, żeby je przezwyciężać i żeby mieć zadowolenie w ich stopniowym prze- zwyciężaniu.

Zresztą rzućmy okiem dokoła. Niby jest na świecie powojennym ustabilizowany porządek rze- czy, niby czuwają nad nim Liga Narodów i niezli- czona moc rozmaitych traktatów. A jednak każdy żywotny naród robi mimo to swoje i z nieugiętą konsekwencją realizuje stopniowo swoje plany, które uważa za niezbędne dla swej racji stanu. Czy Włosi nie mieli olbrzymich trudności z zawojowa- niem Abisynii i z ufundowaniem swej miarodajnej obecnie na świecie potęgi? Czy Liga Narodów i ca- ła niemal Europa nie wystąpiła przeciw nim, gro- żąc wojną, uchwalając sankcje gospodarcze? Czy Niemcy w kolejnych swych pociągnięciach, mają- cych na celu stopniową restytucję swej dawnej po- tęgi, nie mają wciąż całej Europy przeciw sobie? Czy nie zbierają się raz po raz konferencje między- narodowe, z udziałem także mocarstw pierwszo- rzędnych, grożące im wojną i wszelakimi represja- mi? Czy powstańcy hiszpańscy, walcząc przeciw „legalnym" rządom swego kraju, nie tylko z komu- nizmem, ale także i o wyzwolenie swej ojczyzny z pod władzy moskiewskiego bolszewizmu, nie ma-

ją żadnych trudności materialnych i dyplomatycznych do przezwyciężenia?

Nie trzeba tu mnożyć przykładów. Oczywistem bowiem było, jest i będzie zawsze, że *dla każdego żywotnego narodu jego racja stanu jest zawsze najwyższem prawem.* Nawet spokojny swem usposobieniem naród, daleki od wszelkich zaborczych, imperialistycznych zamiarów, musi jednak, jeżeli chce istnieć politycznie, dążyć do osiągnięcia pewnych, kardynalnych celów, które mu to istnienie mogą zapewnić.

Otóż, dzięki krótkowzroczności twórców Traktatu wersalskiego, zasznurowano Polsce gardło, tworząc z Gdańska odrębne państwo, z natury rzeczy nam wrogie, mimo wszelkich chwilowych załagodzeń dyplomatycznych.

Zrobiono to samo z Kłajpedą, jako „portem dostępu do morza“ dla Litwy. Ale mała Litwa, niewiele robiąc sobie ze sztucznych, skomplikowanych pociągnięć pp. dyplomatów zachodnich, upatrzyła sobie odpowiedni moment i tak nakręciła miejscowe stosunki, aby mocniej osiąść w Kłajpedzie.

Tylko my, Polacy, z naszą niepoprawną, podwórkową ugodowością i brakiem wszelkiej odwagi cywilnej — bo o wojskowej odwadze nie ma w tym problemie na razie mowy — uznajemy potulnie absurd gdański i dozwalamy nawet, żeby w państewku, pod naszą kontrolą będącem, rządziły się obce bojówki, a nawet wprost już obce rządy. Czyż naiwny pacyfista polski ma pozostać wiecznie mazgajem?!

Powie ktoś, że Gdańsk, to nie Abisynia, że Gdańszczanie, to nie na pół dzicy Etjopowie. Oczywiście— ale za to ujście Wisły daleko potrzebniejsze jest dla egzystencji Polski, niż Abisynia dla egzystencji Włoch. Dopóki Polska nie ma ujścia

Wisły w swem władaniu, dopóty łączność nasza z morzem zawsze będzie nikłą, choćby nawet Gdynia czterokrotnie się zwiększyła, zwłaszcza, że pasek nasz nadmorski jest bardzo szczupły, a natomiast wolne państwo gdańskie przypiera do Prus Wschodnich i jest jakgdyby ich autonomicznym powiatem, spojonym z niemi duszą i całem nastawieniem, mimo wszelkich statutów międzynarodowych i unii celnej i spraw zagranicznych, które niby Gdańsk z Polską w zasadzie łączyć mają.

Nie tak to znów bardzo odległe czasy, kiedy Gdańsk, choć zawsze przeważnie przez Niemców zaludniony, bronił się przeciw Prusakom, trwając w wierności dla Rzeczypospolitej. Wprawdzie wówczas nie było jeszcze tak rozbudzonego i wybujałego, jak dzisiaj, nacjonalizmu i różnice językowe nie odgrywały w tych czasach jeszcze tej wąskiej a zarazem ostrej roli, co w nowoczesnych warunkach. Pojęcie państwa mniej było wtedy równoznaczne z pojęciem narodu. Oba te pojęcia skuwa ze sobą dopiero wzrost nowoczesny nacjonalizmu. Ale widzimy i dzisiaj jeszcze wszędzie, że głębsza racja stanu państw mocarstwowych, a niekiedy nawet i drugorzędnych, nie liczy się z postulatami nacjonalizmu tam, gdzie chodzi o ważniejsze wymagania racji stanu.

Wymowny przykład daje nam pod tym względem — i już oddawna — z całą bezwzględnością choćby naturalna nasza sojuszniczka Francja. Wszak według ustalonych pojęć francuskich, każdy mieszkaniec imperium francuskiego, bez względu na narodowość, rasę, a nawet barwę skóry, jest Francuzem. Może mówić jakim chce językiem i jaką chce wyznawać religję, jakimkolwiek hołdować obyczajom i tradycjom — to wszystko mu wolno, o to Francja nie troszczy się wcale, bo on przecież

jest i tak *Francuzem*. W pierwszym rzędzie taki 'Arab z Algieru, lub Murzyn senegalski, czy nawet Malajczyk lub Mongolczyk z Indochin.

Podobnie i nasza słynna rodaczka, p. Curie-Skłodowska, mimo, że polskość swą dostatecznie akcentuje, uważana jest we Francji za „chlubę wiedzy francuskiej" i przez Francuzów po całym świecie w ten sposób jest sławiona.

Inne państwa też nie robią sobie ceremonii ze swymi obywatelami różnojęzycznymi. Wiemy o tem aż nadto dobrze na doświadczeniu choćby naszych własnych rodaków za granicą. Stąd problem językowy i narodowościowy Gdańska nie powinien być dla polskiej myśli mocarstwowej wogóle żadnym problemem. A niechże sobie gdańszczanie choćby po chińsku mówią i modlą się nawet do Buddy — ale Gdańsk musi do Polski wrócić, bo jest nam nieodzownie potrzebny! To jeden z najważniejszych postulatów naszej egzystencji państwowej! Z chwilą wcielenia Gdańska do Polski zmaleje bardzo znacznie kwestia „korytarza" właśnie przez znaczne tego korytarza rozszerzenie i silniejsze utwierdzenie w nim władztwa polskiego.

A państwu niemieckiemu Gdańsk jest naprawdę niepotrzebny, skoro już raz Polska dotarła do morza i usunąć się stamtąd nie da. Wszak mają Niemcy tyle daleko większych od Gdańska portów, z tego aż cztery nad Bałtykiem, a dwa olbrzymie nad Morzem Niemieckiem, o światowem znaczeniu, nie licząc szeregu pomniejszych. Gdańsk nie odgrywa dla państwa niemieckiego żadnej roli, chyba tylko ewentualnej przyszłej placówki wypadowej do zagarnięcia korytarza pomorskiego. Ale z tem oczywiście Polska zgodzić się nie może i takie zakusy winna zawczasu zniweczyć.

Słyszymy wciąż jeszcze u naszych rodaków okrzyki trwogi o korytarz pomorski, ale nie słyszymy wcale energicznych, jasno wyrażonych postulatów, że Gdańsk musi być nasz. A to życzenie, wypływające żywiołowo z łona społeczeństwa, byłoby dowodem jego żywotności, dojrzałości politycznej i prawdziwie państwowo-twórczego ducha. Byłoby także dowodem trzeźwej, dalekosiężnej myśli gospodarczej. Ale my niestety, prastarym przodków obyczajem, który już raz upadek państwa spowodował, wolimy ograniczać się do ciasnych podwórek doraźnego, geszefciarskiego interesu na krótką metę, a wszelką twôrczą myśl o jutrze uważamy za nierealną, za niegodną przygotowania i zachodu.

To musi się zmienić, inaczej wszystkie drobnostkowe, codzienne interesy, którymi w krótkowzrocznym materialiźmie współczesnym tak nadmiernie i tak nieraz jałowo się aferujemy, nie zabezpieczą nam pomyślnej przyszłości politycznej. My wciąż jeszcze, mimo wszelkich śpiewek i chorągiewek patrjotycznych, nie umiemy myśleć, dążyć i działać jak naród niepodległy. Ciąży na nas wciąż jeszcze piętno psychiczne długoletniej niewoli, w czasie której wolno nam było zajmować się właśnie podwórkowymi interesami gospodarczymi, ale wykluczone były dalej sięgające dążenia. My wciąż podświadomie obawiamy się ponownej utraty niepodległości i dlatego głowimy się nad ochroną korytarza, nad sposobami defenzywy wobec groźby niemieckiej, zamiast skierować żywiołowo dążenia nasze na opanowanie ujść Wisły i narobić tem hasłem hałasu na całym świecie, aż tego świata nie przekonamy o niezbędnej konieczności tego postulatu i o absurdzie zamurowania Polsce ujść jej rdzennej rzeki jakimś sztucznym tworem, Polsce wrogim.

Czy z tego wyniknie wojna? Bezwarunkowo o Gdańsk żadnej wojny nie będzie! Dzisiejsi rządcy państw boją się wojny — prawdziwej wojny — jak ognia, bo wiedzą dobrze, że najmniejsze niepowodzenie zmiotłoby ich z powierzchni ziemi. A któż zdoła los nowej wojny europejskiej przewidzieć? Nikt, chyba tylko bolszewik moskiewski, któryby napewno najbardziej na niej skorzystał. Wiedzą i o tem dobrze dzisiejsi władcy państw i dlatego grożą sobie wprawdzie nieraz wojną, zbroją się na wszelki wypadek, ale na serio o niej nie myślą. Wszak wiadomo już dzisiaj, że w splocie stosunków nowoczesnych zwycięzca ucierpiałby w skutkach nie mniej od zwyciężonego, a komunizm dyszy tylko, przyczajony, żądzą skorzystania z konfliktu europejskiego, czy światowego.

Dlatego, pomijając już to, że dzielny naród w walce o swe żywotne sprawy wogóle wojny bać się nie powinien, bo gnuśność, tchórzliwość i ustępliwość daleko większem grożą niebezpieczeństwem, to również i z wyżej wymienionych względów przesadna obawa wojny w zasadniczych dążeniach narodowych jest, zdaniem naszem, zupełnie bezpodstawna. A motywy naszych dążeń w tym wypadku są przecież tak uzasadnione, że je każdy naród, nawet na drugiej półkuli globu ziemskiego, z łatwością zrozumie: zamurowano nam ujście naszej jedynej, wielkiej, rodzimej rzeki obcym, sztucznym a wrogim tworem, który nikomu nie przynosi korzyści, a Polskę trzyma za gardło!

To zrozumie nawet mieszkaniec Patagonii, nie mówiąc już o Lidze Narodów! Z początku byłyby oczywiście krzyki i protesty i oskarżenia Polskę o „imperjalizm", ale w końcu przyzwyczajonoby się do tego, że Polska otrzymać Gdańsk musi.

A Niemiec — czy straciłby na reinkorporacji Gdańska do Polski, czyby może zyskał?

Nie sądzimy, aby rozumna, dalekosiężna polityka niemiecka i głębiej pojęta racja stanu niemieckiego narodu miały ponieść szkodę. Wprost przeciwnie.

Każdy rozumny Niemiec musi bowiem pogodzić się z faktem—który uznał już zresztą nawet oficjalnie kanclerz Hitler w jednem z niedawnych swoich publicznych przemówień—że państwo takie, jakiem jest Polska, w jej specjalnie nadto geograficznem położeniu, musi mieć bezpośredni dostęp do morza. A więc korytarz pomorski jest rzeczą trwałą, która żadnymi zabiegami wykreślić się z mapy nie da. Wobec tego zaś nieco większa lub mniejsza rozpiętość tego korytarza — jeżeli wolno tak wogóle nazywać w nowoczesnym języku dyplomatycznym północną część naszego Pomorza — nie stanowi już dla Niemiec zasadniczej różnicy.

Ale i z inną jeszcze prawdą zgodzić się musi każdy rozumnie myślący niemiecki polityk, nie podlegający już bismarkowskiej narkozie, która w ostatecznym swym rezultacie uzbroiła cały świat przeciw Niemcom i tak katastrofalne przyniosła im skutki. Musi mianowicie pogodzić się z tem raz na zawsze, że trzydziestokilkomilionowy naród, szybko się mnożący, o wysokiej cywilizacji i wielkiej, conajmniej tysiącletniej tradycji dziejowej, odrodzony powtórnie do politycznego bytu, silnie skonsolidowany i mający aspiracje mocarstwowe, zgnębić i zdusić się nie da. Wszak tysiącletnia walka potężnego świata germańskiego z Polakami, choć nawet przynosiła Niemcom przejściowe sukcesy, kończyła się jednak zawsze, prędzej czy później, jakiemiś Płowcami czy Grunwaldem. A jeżeli dawniej tak bywało, to cóż dopiero w dzisiejszych i przy-

szłych czasach, gdy samopoczucie narodu polskiego zostało bardzo wzmożone, historycznem doświadczeniem zahartowane i gdy z drugiej strony świat cały stał się szczególnie czujnym, może nieraz nawet i przeczulonym, na ewentualne niebezpieczeństwo zaborczego ducha teutońskiego. Wszak doszło już dziś do tego, że na dźwięk słów „furor teutonicus“ wszystkie państwa cywilizowane, odkładając chwilowo na bok swoje waśnie wzajemne, stanęłyby w jednym, zgodnym froncie antyniemieckim.

A tymczasem ludność Niemiec rośnie liczebnie i wzmaga się z natury rzeczy prężność twórcza i gospodarcza państwa niemieckiego, nie mogąc w stosunkowo szczupłych obecnych jego granicach odpowiedniego znaleźć ujścia. Naród niemiecki dusi się w swych rdzennych siedzibach. Potrzebuje terenów ekspansji kolonizacyjnej i gospodarczej.

Czy w takich warunkach, już nie koniunkturalnych, ale trwałych, niejako „organicznych“, którym żadne sztuki à la longue nie zaradzą, korzystniej jest dla narodu niemieckiego mieć w Polsce wroga, czy przyjaciela? Oto kardynalne zagadnienie, które postawić sobie musi każdy Niemiec, jeżeli nie jest skończonym filistrem i ma jakieś, choćby prymitywne zrozumienie dla realizmu politycznego!

Uprzytomnić sobe musi, że nowoczesna Polska nie pójdzie bezkrytycznie w rydwanie żadnej obcej polityki, gdyż miarodajne w niej czynniki mają dostateczną świadomość głębszej polskiej racji stanu. Może Polska nieprzychylnie nastawić się wobec cudzej polityki, której wrogość doskonale wyczuje, może też obojętne wobec cudzych postulatów zachować stanowisko, albo wreszcie przychylne, popierające. W danym wypadku otwiera się jednak Niemcom pomyślna okazja. Mogą zyskać przychyl-

ność Polski, a jest to walor w każdym razie nie do pogardzenia i to z różnych względów. Polska osłania Niemcy przed atakiem czerwonej Moskwy, czego już raz wymowny złożyła dowód, bo miałyby się z pyszna Niemcy, gdyby Polska w 1920 r. została przez bolszewików pobitą! Może być nadto Polska chętnym odbiorcą dość znacznej części pewnych działów niemieckiej produkcji. Ale przedewszystkiem jest Polska może jedynem większem państwem w Europie, które nie stanowi dla Niemiec momentu oporu przeciw restytucji Niemcom ich kolonji, ani nie ma specjalnego powodu opierać się wzrostowi ich floty wojennej i handlowej, gdyż w tej dziedzinie z natury rzeczy wielkich aspiracji mieć nie może. Ma wprawdzie pewne, ale nie aż tak wielkie, żeby wzrost oceanicznego handlu niemieckiego miał jej poważnie zawadzać. Nie może bowiem aspirować do konkurencji w morskich zbrojeniach i we flocie handlowej z morskiemi mocarstwami. Potrzebuje też kolonii i starać się o nie będzie z coraz większym naciskiem, ale nie w takich rozmiarach, żeby to miało słusznym dążeniom niemieckim stanąć na przeszkodzie.

A takie państwo jest chyba bezspornie bardzo korzystnem dla różnych sprawiedliwych aspiracji nimieckich i — rzec można — bardzo wygodnem. A nadto o żadnych agresywnych względem obecnego państwa niemieckiego zamiarach niema przecież z polskiej strony i nie może być mowy. Można stwierdzić nawet, jak to zaakcentowaliśmy powyżej, że wprost wadą psychiki polskiej był i jest zawsze zbyt wielki niedostatek ducha ofenzywnego, tak powszechnego dziś u większości narodów.

A więc przychylność Polski i jej współdziałanie w pewnych określonych i uczciwie postawionych

celach byłoby dla Niemiec w każdym razie bardzo korzystnem. Ale, chcąc je osiągnąć, muszą Niemcy złożyć nie tylko ustne wywody, ale i faktyczne dowody zrozumienia dla pewnych, istotnie żywotnych interesów Polski. I tu właśnie wysuwa się jako najaktualniejszy postulat zgłoszenie désintéressement Niemiec wobec naturalnych dążeń Polski do restytucji władztwa polskiego nad ujściem Wisły.

Niech nam to nie będzie poczytane za jakąkolwiek groźbę pod adresem Niemiec, gdyż chodzi nam tu tylko o jasne wypowiedzenie i przygwożdżenie pewnych prawd, odpowiadającycyh w pierwszym rzędzie polskiej, ale w dalszych konsekwencjach niewątpliwie także i wzajemnej, polsko-niemieckiej racji stanu. Prawdą jest także i to, że Polak umie być wdzięcznym za dowody przychylności, aż nieraz nawet do przesady. Wszak Polacy, to może jedyny naród na świecie w nowożytnej historii, który (rzeźwy polityk byłby skłonny powiedzieć: niestety!) składał wybitne dowody niepraktykowanej gdzieindziej, ideowej bezinteresowności. Bo np. co zyskała Polska bezpośrednio na wspaniałej wyprawie króla Jana Sobieskiego przeciw Turkom pod Wiedeń i dalej na Węgry? Zyskała sławę i guzy, a pozatem obrzydliwą niewdzięczność ze strony austrjackich Niemców, którzy dziś jeszcze głoszą po świecie, że to oni olbrzymią armię turecką odparli, a król Sobieski i armia polska uboczną tylko odegrali rolę!

Ne ulega więc żadnej wątpliwości, że gdyby dalekosiężna myśl polityczna niemiecka, z której przeistoczenia w duchu sprawiedliwości hitleryzm się chlubi, wzbiła się na nieprzeciętny poziom nieprzeszkadzania Polsce w jej dążeniach do reinkorporacji Gdańska, to mentalność polska, słusznie dotąd

wobec Niemców nieufna, doznałaby wielkiej przemiany.

Narazie niemądrą, niepraktyczną, nawet ze swego punktu widzenia, prowadzą Niemcy politykę, czyniąc z Gdańska najbardziej agresywną i krzykliwą arenę hitlerowskich bojówek, kompromitujących cały system Trzeciej Rzeszy niemieckiej ulicznemi awanturami. A równocześnie, co nie może już być dla nikogo tajemnicą, penetrują Niemcy na polskie ziemie ogromnie rozgałęzioną siecią nie tylko politycznych, ale i finansowo-agitacyjnych placówek, zagęszczonych zwłaszcza w pewnych, strategicznie obmyślanych okolicach Polski zachodniej.

Jaki skutek obiecują sobie Niemcy z tego systemu? Przecież akcja ta utrzymywania i rozszerzania najsprytniejszymi sposobami niemieckiego stanu posiadania w Polsce — i to przeważnie wrogo dla niej usposobionego stanu posiadania — jest aż nadto dla wszystkich widoczną. Spotkać się musi z odpowiednią reakcją z polskiej strony, bo Polak dziś już nie tak naiwny, jak to w dawnych czasach bywało. Polska dzisiejsza, to nie na pół dzika, prymitywna Rosja przedwojenna, gdzie akcja niemiecka różnego typu i rodzaju mogła wyprawiać harce, przygotowując osłabienie chaotycznego rosyjskiego kolosa na wypadek wojny rosyjsko-niemieckiej. Taka taktyka, przeciwna zresztą duchowi paktu o nieagresji, w Polsce się nie powiedzie i to tem mniej, że postaramy się o wywalenie jej na stół dla powszechnej wiadomości ze wszystkimi szczegółami.

A nadto taktyka ta zadaje na każdym kroku kłam wszystkim enuncjacjom kanclerza Hitlera, wygłaszanym z zaangażowaniem jego własnego honoru wobec świata i setek tysięcy tłumów niemiec-

kich słuchaczy, a zwłaszcza wobec milionów radio=słuchaczy. Bo i jakże pogodzić te wzniosłe przemó=wienia, z niezrównaną siłą wygłaszane, z tem wszystkiem, nawskroś Polsce wrogiem, co Niemcy wyprawiają, podminowując znaczne połacie pań=stwa polskiego i tępiąc bezwzględnie polskość w obrębie Niemiec, która przecież potędze niemiec=kiej w niczem zaszkodzić nie może? Czy więc sło=wa Przywódcy narodu niemieckiego nie mają w Niemczech żadnego znaczenia?

Czy nie mądrzej dla Niemiec, zamiast marzyć o konfliktach z Polską i ponownych zaborach, po=grzebać raz na zawsze antypolską politykę, która na dłuższą metę okazywała się zawsze jałową, na=wet wówczas, gdy naród polski w znacznie gor=szych, niż dzisiaj, znajdował się warunkach? Czyż przełomowa niby ewolucja Niemiec w Trzeciej Rzeszy nic więcej nie potrafi, jak tylko naśladować daremne polakożerstwo Bismarcka, Bülowa i Ha=katy? Czy Trzecia Rzesza, to ten sam dawny, śle=po=zaborczy Prusak, który tylko dla zamydlenia lu=dziom oczu przywdział brunatną koszulę?

Stawiamy te pytania, jako narzucające się same przez się z logiki faktów. Stawiamy je także dlatego, bo sądzimy, że je Niemcom postawić warto. Wszak Niemiec, to nie na pół dziki Moskal, z którym dy=skutować niepodobna, ale przedstawiciel bardzo wysokiej, bądź co bądź, kultury. A przedewszyst=kiem przedstawiciel najściślejszego podobno na świecie systemu rozumowania!

Niechże więc podda swą dotychczasową polity=kę i nastawienie wobec Polski „krytyce czystego rozumu“, którą nie kto inny, tylko właśnie Niemiec wymyślił i sprecyzował! Niech zastanowi się dobrze, dokładnie, z naukową ścisłością nad istotną warto=ścią tego niby sprytnego interesu, jaki chce w Pol=

sce i z Polską zrobić. My, Polacy, wymyśliliśmy satyryczne na nas samych przysłowie: Mądry Polak po szkodzie. Czyżby o Niemcach należało istotnie ukuć przysłowie, że nie są mądrzy nawet po szkodzie?!

Ale Gdańsk musi być nasz, bo był nasz przez długie wieki — i o tem niema co dyskutować! Władztwo nad całą Wisłą jest kardynalnym postulatem polskiej geopolityki.

Sekcja dla spraw zagranicznych
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

LENIN I STALIN KONTRA TROCKI

ECHA strzałów plutonu egzekucyjnego, pod któ= rego salwami padło szesnastu „trockistów“, wywołują w opinii Europy szereg pytań, nacecho= wanych zdumieniem. Dlaczego? Co to znaczy? Do= kąd Sowiety idą?

Na te pytania ten i ów usiłuje dać odpowiedź. I bywa bardzo często, że świadczy ona o zupełnem niezorientowaniu się w istocie zjawisk, zachodzą= cych w Sowietach.

Klasycznym tego przykładem może być pogło= ska „Figaro“ (31.8.36), że egezkucja odbyła się ślepe= mi nabojami i że rzekome trupy ułaskawiono i skie= rowano na zsyłkę do Syberii. Jakiż miałoby to sens? Czy nie byłoby to jeszcze większą niedorzecznością wobec opinii od zainscenizowania samego procesu? Czy może poprostu Stalin dokonał tego groteskowe= go ułaskawienia, żeby dogodzić wdowie po Leninie, p. Krupskiej, która interweniowała, lub może swej matce, ujmującej się za Kamieniewem?

Te sentymentalne kategorie, dobre w romansach Dumasa, należy wykluczyć, gdy się myśli o Rosji i o jej dyktatorze obecnym, Stalinie.

To niema nic wspólnego z historyczną linią roz= wojową bolszewizmu, jakby powiedział czerwony władca Kremla.

Tak samo nic wspólnego nie ma pium deside= rium, wyrażone na łamach „Robotnika“ (26.8.36) na tle procesu: „Niema mowy o jakiejkolwiek dysku= sji na temat jednolitego frontu, dopóki Rosja nie

zacznie od siebie, nie przywróci wolności i praw obywatelskich socjalistom i opozycyjnym kierunkom w obozie bolszewickim". Kto na serio uważa za możliwe wysuwanie takiego postulatu, ten wystawia sobie świadectwo prawdziwego ubóstwa pod względem przygotowania politycznego w sprawach bolszewickich.

Właśnie niema mowy w Sowietach o jakichkolwiek względach i kompromisach z opozycją, z ukłonszczykami. A cała polityka partii bolszewickiej wyraźnie potwierdza ten fakt-zasadę. Ba, tylko że tak mało u nas się wie o zasadach sowieckiej polityki. Tak często plącze się motywy ideowe, zaczerpnięte z antagonizujących z bolszewizmem różnych frakcji, i zapisuje na rachunek samej partii.

Jest to błąd, który nie pozwala na właściwą ocenę rzeczywistości.

Gdy chodzi o kwestię oceny kremlowskiej egzekucji, to w żadnym razie nie wolno na nią spoglądać jako na jakiś epizod, choćby nawet większej miary, oderwany od całokształtu bolszewizmu.

Epizod ten jest prostą konsekwencją' przeszło trzydziestoletniej historii doktryny bolszewickiej, a ściślej leninizmu i jego zmagań i konfliktów z trockizmem.

No tak, ale dlaczego właśnie w tym momencie, kiedy z takim rozmachem i z powodzeniem przystąpiono do montowania frontów ludowych, a więc pójścia na swego rodzaju kompromis, uderzono z taką brutalnością w zaprzysięgłych przedstawicieli ugody, kompromisów i „ukłonów"? Czy to może być zachętą? Czy przeciwnie, nie naruszy rozpoczętego dzieła?

Sądząc po deklaracji warszawskiego „Robotnika", wydawać się może wątpliwość ta zupełnie słuszną. Idea frontów zachwiana?!

Bynajmniej. Jedynie skorygowana. Zniwelowane jest złudzenie, że te fronty mają być oparte o równowagę sił. Wysunięty pewnik, że mają być podporządkowane bolszewizmowi, a ściślej leninizmowi.

Front ludowy ma być nie tylko wspólny, ale i jednolity.

Na tle tego zagadnienia istnieje zadawniony antagonizm między leninizmem i trockizmem. Trockizm — jak mówił Stalin na zjeździe partii 19 listopada 1924 r. — to brak wiary w bolszewicką partię, w jej jednolitość, w jej wrogość wobec oportunistycznych elementów. Trockizm, to teoria współżycia rewolucjonistów i oportunistów, ich grupek i grupeczek w łonie jednej partii. A to może prowadzić tylko do rozbicia bolszewizmu" (str. 103 „Za leninizm", 1924).

Ten błąd trockizmu podkreślono poczwórną salwą na Kremlu.

Bolszewizm, to monopartia, bez żadnych odchyleń.

Usunięcie jakiejkolwiek wątpliwości w tej sprawie widać okazało się potrzebne w chwili bądź co bądź bardzo ważnej dla Sowietów, kiedy wchodzą one w nową fazę istnienia na podstawie niedawno uchwalonej konstytucji, dość liberalnej. Odrazu, z miejsca, zostały określone ramy tego jej liberalizmu. Wolność owszem — ale dla „swoich"! Inną komplikację stwarza sytuacja międzynarodowa: próby montowania frontu antybolszewickiego w Europie, podejmowane przez faszystowskie Niemcy i Włochy, cicho interweniujące również w sprawy Hiszpanji, zdawało się tak pięknie dojrzewającej po rewolucji social-demokratycznej do rewolucji proletarjackiej. Wybuch kontrrewolucji był tu przykrą niespodzianką, która w razie powo-

dzenia powstania może przekreślić kunsztowny plan bolszewizacji tego zachodniego krańca Europy.

Nic dziwnego, że Stalin pchnął do Hiszpanii swe=go szwagra, Neumana, że sypie na Madryt złotem. Jednak w całej tej prohiszpańskiej akcji muszą też być pewne granice, które gotowi są przekroczyć zwolennicy zbrojnej interwencji Sowietów, rozwi=jający dość energiczną propagandę. Wynik procesu moskiewskiego i dla nich będzie też nauczką.

Wszystko to należy uwzględnić w rachunku przy=czyn, które spowodowały wyrok moskiewski, za=twierdzony zresztą większością jednego głosu przez prezydium Centralnego Komitetu Z.S.R.R.

Można z dużą dozą prawdopodobieństwa dopa=trywać się w tem wyrazu zaniepokojenia znacznej części członków Centralnego Komitetu możliwemi refleksami tego wyroku w kołach t. zw. „frontów ludowych".

Przypomnijmy tu choćby to, co mówił tow. Dmitrow o celu i powodzeniu akcji frontów, stre=szczając je do pięciu warunków: 1) zerwania scojal=demokracji z burżuazją, 2) jedności akcji pod dyrek=tywami partii, 3) dążenia do rewolucyjnego prze=wrotu, 4) odmowy poparcia przez front jakiejkol=wiek bądź wojny imperialistycznej, 5) stworzenia partii na podstawach centralizmu demokratycznego.

Ten ostatni warunek wydaje się całkowicie za=kwestionowany w obecnej sytuacji. Gdzie tu mó=wić o jakimś centralizmie demokratycznym, a więc ustroju organizacyjnym, przewidującym tolerancję dla odchyleń programowych, gdzie zachęcać nowych ludzi do wstępowania do tego frontu, kiedy starych jego uczestników spotykają takie „śmiertelne afron=ty", za „zdradę" i „zamachy".

Tak, niewątpliwie partia bolszewicka ma tu do czynienia z kapitalnem zagadnieniem taktyki par=

tyjnej. Lecz, jeśli mamy raz jeszcze przypomnieć to, co się mówiło, o integraliźmie bolszewickim, o odrębności linii rozwojowej leninizmu, to trzeba stwierdzić wbrew wszystkiemu, że właściwie niepokojące tak bardzo „frontowców" fakty są logiczną konsekwencją całej ideologii i taktyki bolszewickiej.

Krótko mówiąc, nie było nigdy i być nie mogło pojednania między bolszewizmem Lenina i micńszewizmem Trockiego.

Od pierwszej chwili zarysowania się obu kierunków, jeszcze w r. 1903, powstała między nimi taka przepaść, która .w miarę czasu coraz bardziej się pogłębiała, że o szczerej i zupełnej współpracy ich wodzów mowy być nie mogło. Owszem, Lenin robił nieraz próby porozumienia i dawał Trockiemu odpowiedzialne stanowiska, ale nigdy nie doszło do wyrównania stanowisk ideowych. Bo i jakże mogło dojść do tego, skoro obaj przeciwnicy coraz bardziej potęgowali swe nieprzejednanie.

Lenin mówił o koncepcji Trockiego jeszcze w r. 1909, że jest „cudacka, idiotyczna, renegacka", Trocki pisał w liście do Czeidze, że „cała budowa leninizmu w obecnej chwili wzniesiona jest na kłamstwie i falsyfikatach i nosi w sobie jad rozkładu". Lenin już zamilkł, Trocki zapowiada na tle procesu zemstę i rewelacje. Zobaczymy, czy się ich ulęknie następca Lenina — Stalin.

Krwawy sąd nad trockistami, dla powierzchownego obserwatora zgoła niezrozumiały, jest zdarzeniem, którego korzenie tkwią głęboko w całej historii bolszewizmu. Oczywiście, nie łatwo jest dojść do sedna sprawy, gdy się nie wie, że konflikt między leninizmem, co w tym wypadku jest synonimem bolszewizmu i prawdziwego komunizmu, zaczął się dobre trzydzieści lat temu.

Do czasu drugiego zjazdu świeżo powstałej wówczas partii Trocki był jednym z najdzielniejszych współpracowników Włodzimierza Iljicza, otrzymał nawet przydomek „leninowskiej pałki“, tak gorliwie atakował wszystkich odchyleńców.

Po wspomnianym zjeździe, który się odbył w roku 1903, następuje jednak gwałtowny zwrot i odtąd już nieprzerwanie, z pewnemi oczywiście pauzami, Trocki niepokoi partię swemi mieńszewickiemi wystąpieniami w coraz to innej kombinacji sojuszników. Zdarza się przy tem, że ci, którzy go zapamiętale w pewnej chwili zwalczali, jak np. Kamieniew i Zinowiew w latach 1924 — 25, stają do jego dyspozycji, co ostatecznie zapłacili swemi głowami.

Konflikt między Leninem i Trockim odrazu stanął na takiej płaszczyźnie, że Lenin uważał za wskazane rzucić w r. 1904 hasło, że szkoda tracić wogóle czas na spory z Trockim — jak mówi o tem L. B. Kamieniew w artykule „Partia i trockizm“ (str. 31—2 op. cit.).

Wówczas to Trocki, wślad za Parwusem, wystąpił z teorią „permanentnej rewolucji“, z którą Lenin rozprawił się nietylko teoretycznie, ale i praktycznie, prowokując rewolucję r. 1905—1907, jako przedsięwzięcie czysto lokalne, a już całkowicie postąpił naprzekór tej koncepcji, rzucając hasło rewolucji w październiku 1917.

Wbrew bowiem koncepcji „permanentnej rewolucji“ Lenin coraz bardziej dochodził do wniosku, sformułowanego ostatecznie w sierpniu 1914 w art. „O haśle Zjednoczonych Stanów Europy“, że możliwe jest zwycięstwo proletariatu w jednym kraju, niezależnie od stanowiska proletariatu w innych krajach („Social-Demokrat“ Nr. 44).

Lenin w tę rewolucję en miniature wierzył i zasady jej przeprowadzenia formułował z niezwykłym uporem, nie zrażając się żadną opozycją.

A Trocki tymczasem jeszcze w r. 1911 wołał „Iluzją jest mniemać, jakoby mieńszewizm i bolszewizm zapuściły głębokie korzenie w głąb proletariatu“.

„Oto próbka — woła z oburzeniem Lenin — tych dźwięcznych, ale pustych frazesów, w których majstrem jest nasz Trocki. Nie w „głębinach“ proletariatu, a w ekonomicznej treści rosyjskiej rewolucji leżą przyczyny rozdźwięku mieńszewików z bolszewikami“.

Dyskusja o permanetnej rewolucji rozszerzyła się wskutek wprowadzenia do niej zagadnienia, czy t. zw. dyktatura proletariatu ma zostać przeprowadzona wraz z chłopstwem, czy przeciw chłopstwu. Trocki wskazywał na chłopstwo, jako na element, który sparaliżuje rewolucję.

Lenina tak ta insynuacja gniewa, że nie waha się powiedzieć: „Jest to cudacka, idiotyczna, renegacka myśl (nawskroś przenikająca „Obszczeje dwiżenie“), że dyktatura proletariatu i chłopstwa jest przeciwieństwem całej drogi rozwoju gospodarczego. U nas, przy całym kryzysie naszej epoki (1906 — 1909), wystąpi, napewno wystąpi ogólno-demokratyczny ruch „chłopków“, a ignorowanie tego byłoby zasadniczym błędem, w istocie prowadzącym do mieńszewizmu“ (Lenin, list 1909. Prolet. Rew. Nr. 5, str. 178—9).

Ale nie tylko w tych zasadniczych sprawach istnieją sprzeczności w partji; w momencie przesilającej się na niekorzyść caratu wojny tych wątpliwości namnożyło się co niemiara.

Koncepcja Lenina o rewolucji w zamkniętych granicach jednego kraju wymagała opracowania de-

talów całej taktyki partii. Jakżeż mogli się do tego przyczynić ludzie, którzy zasadniczo sprzeciwiali się tej koncepcji. W kwietniu 1917 odbywa się konferencja partyjna, na której Lenin występuje z 10 tezami „O zadaniach proletariatu w bliskiej rewolucji".

W tezach tych zostaje zarysowany rozdział między przyszłą republiką radziecką a międzynarodówką rewolucyjną, ustalona forma taktyki w okresie przejściowym. Pada pierwsze hasło: „Precz z rządem tymczasowym" Kiereńskiego, które bardzo się nie podoba Kamieniewowi. Dostaje za to srogą burę od Lenina.

Te dziesięć tez stanowią punkt wyjścia t. zw. linii generalnej partii, o której potem ustawicznie będzie się mówić.

Kamieniew, a obok niego Zinowiew, Rykow i inni, rozpoczynają opozycję, która szczególnie ostro zarysuje się na IV kongresie partii (25.VII — 3.VIII 1917 r.), a potem jeszcze raz wybuchnie w przeddzień samej rewolucji. Hasło Lenina „zbrojnego powstania proletariatu" jest bezwzględnie zwalczane. Lecz Lenin nie zląkł się tych strachajłów, przykleił im z właściwą sobie złośliwością etykietkę „łamistrajków" i w rezultacie ustalił datę wybuchu rewolucji.

A co robił tymczasem tow. Trockij?

Przybywszy z New-Yorku do Rosji, wdaje się w długie pertraktacje z Leninem w sprawie warunków wstąpienia do partji dla t. zw. grupy międzyrejonowej, to znaczy leżącej między bolszewizmem i mieńszewizmem.

Można sobie wyobrazić, jak irytująco działały te korowody na Lenina.

Czemu przypisać to przydługie certowanie się Trockiego? Oczywiście niemałą rolę grała tu chęć

osiągnięcia jak najdogodniejszego dla siebie stanowiska. Lecz nie mniejszą przyczyną tych chińskich ceremonji był ukryty pod podszewką brak wiary w powodzenie całej tej imprezy Lenina.

Ten brak wiary zaciążył potem na ujęciu słynnej broszury Trockiego, opublikowanej 15 września 1924 r. p. t. „Uroki Oktiabria“, w której poddaje rozpatrzeniu kwestię warunków wybuchu rewolucji 1917 r.

Znów wraca zagadnienie, czy proletariat dojrzał do rewolucji i czy masy chłopskie mają w niej odegrać jakąś rolę i jaką?

„Niedojrzałość rewolucji przy specjalnych warunkach, stworzonych przez wojnę, wkładała w ręce drobnoburżuazyjnych rewolucjonistów kierownictwo, dzięki temu, że oni bronili historycznego prawa burżuazji do władzy... Zanim proletriat zdołał zorganizować się pod własnym sztandarem, żeby poprowadzić za sobą masy wiejskie, drobnoburżuazyjni rewolucioniści znaleźli faktyczne oparcie w zbuntowanej i rozgoryczonej wojną chłopskiej armii. Ciężarem tej wielomilionowej armii, od której przecież wszystko bezpośrednio zależało, drobnomieszczańscy rewolucjoniści naciskali na proletariat i wiedli go w pierwszej chwili za sobą“ (Uroki Oktiabria, str. 18—19).

Słowem „Droga rewolucji wynikała nie z klasowych stosunków, ale z okoliczności czasowych, związanych z wojną“.

Tego rodzaju opinie wprowadzały w ogromne poruszenia całą partię bolszewicką, której główni przywódcy uważają za wskazane wystąpić ostro przeciw „przewrotnej“ doktrynie trockistowskiej.

Czyż to nie „perła“ perfidii! — woła Zinowiew w art. „Bolszewizm czy trockizm“ (str. 128 op. cit.).

A skądże się wzięła wojna? Czegoż była wynikiem? Czy może to był taki sobie „wypadkiem wypadły wypadek“?—ironizuje dalej. Widać, że Trocki nie zna Lenina, że nie słyszał lub nie chciał usłyszeć tego, co on mówił o imperializmie i wojnach imperialistycznych, jako przejawie „najnowszego etapu kapitalizmu“? („Imperializm jako wyższe stadium kapitalizmu“, lipiec 1916).

Źródłem tych przewracających wątrobę bolszewikom teorii Trockiego jest to, że właściwie odkładał on rewolucję robotniczą w Rosji do chwili zwycięstwa rewolucji proletarjackiej w Europie. Tryumfujący proletariat międzynarodowy miał podtrzymać robotników rosyjskich, z trudem walczących wskutek oporu mas chłopskich.

A tymczasem wypadki poszły akurat naodwrót. Więc Trocki nie miał racji?!

Spadkobiercą czystości ideologicznej bolszewizmu po jego twórcy, Leninie — jest Stalin. I spadku tego broni z nieubłaganą bezwzględnością, jak tego dowiódł poczwórną salwą na Kremlu.

Stalin całkowicie podziela stanowisko Lenina, który w trockizmie i zbliżonych doń kierunkach upatrywał ustawicznie poważne niebezpieczeństwo dla partii. Trwająca lata całe walka z trockizmem znalazła w Stalinie bezwzględnego kontynuatora.

Cechę, wyróżniającą indywidualność Stalina w porównaniu z intelektualistą Leninem, stanowi wola. Gdzie Lenin jeszcze dyskutuje i polemizuje, gdzie usiłuje jeśli nie przekonać przeciwnika, to w każdym razie osłabić jego wpływ na opinię cięciami ostrej ironii — tam Stalin rzuca już gromem potępienia, za którem idzie krótki rozkaz „K stienkie!“

Dowodzi tego mocny kurs na likwidację całkowitą trockizmu.

Kurs ten ma zresztą już pewną analogię w historii partii do pierwszej jej walnej rozprawy z elementami niesubordynowanymi, jaka miała miejsce po przewrocie. Gdy dyskusje zawiodły — nie zawiodły kule. I trzeba czytać u Stalina, z jaką siłą mówi on o tem i jak żałuje, że tak późno się przekonano o konieczności radykalnych środków przeciw eserom i anarchistom.

Sprawa trockizmu, naogół przycichłego w pierwszych latach rewolucji, jeśli nie liczyć dyskusji o roli związków zawodowych w bolszewizmie, wysunęła się odrazu po śmierci Lenina, który zmarł pod koniec stycznia 1924 r.

Już w sierpniu tegoż roku publikuje Trocki książkę p. t. „Lekcja Października“ (Uroki Oktiabria), w której usiłuje zeskamotować dla siebie cały honor powodzenia przewrotu. Było to pociągnięcie zręcznie obmyślane. Miejsce po Leninie, zajęte coprawda przez „tow.“ Stalina, jeszcze nie ostygło i spór o sukcesję miał szanse powodzenia.

Nic dziwnego, że ten atak Trockiego został potraktowany na serio i Stalin do jego odparcia wciągnął wszystkich, kogo się dało, nie wyłączając Kamieniewa i Zinowiewa, zapewne już wtedy mających nie mały interes w popieraniu Trockiego.

Ci późniejsi sojusznicy tow. Lwa w rozpędzie krytyki nie zostawiają na nim ani suchej nitki i sami przy tem spowiadają się głośno ze swoich błędów— „oszibok“, jakie w okresie Październikowej Rewolucji popełnili przez chwilowe zerwanie kontaktu z Leninem.

Dla Kamieniewa Trocki, to niepoprawny towarzysz „lokajów oportunizmu“, zarówno w latach wojny światowej, jak i później, zręczny gracz, który chce wymazać nazwisko Lenina z fundamentów Rewolucji i wpisać tam swoje.

Trzeba przyznać, że Trocki dał powód zarówno Kamieniewowi, jak Zinowiewowi do ostrego wystąpienia, wymieniając również w korowodzie tych, co się omylili w Październiku, oba ich nazwiska. Najwięcej jednak omyłek zapisał na konto „tow. Lenina".

No i za to dostał druzgocącą odprawę od Stalina.

Obecny dyktator czerwonej Rosji komplementuje przedewszystkiem Zinowiewa i Kamieniewa, w których „osobach — powiada — myśmy mieli leninowców, bolszewików" prawdziwych (str. 89 op. cit.). Oni odegrali też pozytywną rolę w rewolucji, ale tow. Trocki — ten niczem się nie zaznaczył, z wyjątkiem całkowitego rozminięcia się z duchem Października. To, co o jego rzekomych zasługach dla przewrotu się mówi, to są legendy, powtarzane przez „usłużne partyjne kumoszki".

Trocki, to człowiek stosunkowo nowy dla całej partii bolszewickiej w okresie Października. „Prawda, tow. Trocki dobrze się bił w Październiku. Bo też, gdy powstanie zwycięża, nie trudno świetnie się bić. Wtedy nawet ciury zostają bohaterami. To nie sztuka. Co innego nie stracić głowy w chwili kryzysu rewolucji". Niezwykle to smutne, ale tow. Trockiemu nie starczyło męstwa w okresie Brześcia" (str. 91 op. cit.).

Jeśli więc tow. Trocki powiada, że był „wdachnawitielem" — natchnionym wodzem rewolucji, to jest to legenda, delikatnie mówiąc.

W dalszym ciągu dostaje się Trockiemu za jego rozbieżność w pojmowaniu charakteru rewolucji, za jego mieńszewickie hasło „bez cara rząd robotniczy", za próbę „przeskoczenia" przez problem chłopski, za całą fałszywą grę o „zdobycie władzy" (str. 94 op. cit). Tow. Trocki choruje wogóle na manię wielkości, przypisując sobie w dalszym toku rewo-

lucji autorstwo zwycięstwa nad Denikinem i Kołczakiem. Jest pewnikiem — odrzuca na to Stalin, że „nasze wojska pobiły obu wrogów rewolucji wbrew planom Trockiego". Słowem, tow Trocki „bezbożnie kazi historię", nie rozumie Lenina, nie ma zmysłu rewolucyjnego, a ustawicznie pozuje na bohatera rewolucji.

Ta walka z Trockim i trockizmem toczy się przez jesień 1924 roku i kończy dymisją Trockiego w styczniu 1925 r. ze stanowiska w Komisariacie wojny.

Trocki oczywiście nie zrezygnował ze swoich ambitnych planów. Wchodzi w kontakt z Zinowiewiewem i Kamieniewem, na których pod koniec tegoż roku na XIV zjeździe partii padają z kolei gromy za podjęcie „nowej opozycji". Rok 1926 wypełnia ostra walka z tą „opozycją". W czerwcu Centralny Komitet partii wyklucza Zinowiewa z Politbiura. W listopadzie i grudniu Stalin raz po raz mówi „o socjal-demokratycznem odchyleniu w partii".

Interesującem jest zagadnienie, w jaki sposób Stalin szerzej uzasadnia różnice światopoglądowe między leninizmem a trockizmem.

Czyni to przy różnych okazjach, czy to będzie dyskusja na temat październikowej rewolucji w r. 1925, czy nad kwestią pięciolatki w r. 1930, czy wreszcie w latach 1932—33 przy atakach na opozycję.

Na XIV zjeździe zagadnieniu opozycji trockistowskiej poświęca Stalin znaczną część swego odczytu. Zaczyna go odrazu z bardzo wysokiego tonu: „Pytacie, w jakich kwestiach istnieje różnica zdań między partią i opozycją? We wszystkich sprawach, towarzysze!" Słusznie zauważył pewien nowowstępujący członek partji: „Dawniej zastanawialiśmy się i szukaliśmy, w czem leży rozdźwięk między partią i opozycją. Dziś niesposób znaleźć, w czem jest ona zgodna z partią!"

I dla tego właśnie, że opozycja rozchodzi się z partią we wszystkich kwestiach, dla tego jest ona grupą o własnej ideologji, ze swoim programem, ze swoją taktyką, że swojemi organizacyjnemi wskazaniami. Wszystko, co niezbędne jest dla nowej partii, wszystko to ma opozycja. Brak tylko „drobnostki“, brak siły (siłuszki — jak w zjadliwem spieszczeniu powiada Stalin).

Trzeba sobie dobrze uprzytomnić datę tej charakterystyki opozycji.

Jest 3 grudnia 1927 roku, a więc prawie dziewięć lat temu. Rzuca to bardzo wymowne światło na procesy wewnętrzno-polityczne w Z.S.R.R. Widać w ciągu tego okresu przyrosła opozycji trochę ta ironicznie zwana „siłuszka“ i trzeba było wreszcie wyłaniającą się z mroków niemocy nową partię wziąć siłą za łeb. Po tem intermezzo Stalin zabiera się do ściślejszego sformułowania owych „wszystkich różnic“ i ostatecznie sprowadza je do siedmiu punktów.

1. Zagadnienie możliwości zwycięskiej organizacji socjalistycznej naszego państwa. (Temat ten poruszaliśmy wyżej, więc nie będziemy się powtarzać).

2. Zagadnienie dyktatury proletariatu. Trocki ciągle pyta: „Jest u nas dyktatura proletariatu, czy jej niema?“ I odpowiada, że jej niema, że Sowiety idą nie ku socjalizmowi, lecz ku kapitalizmowi. I w konsekewncji Trocki gotów jest, w myśl tezy Clemenceau, odmówić posłuszeństwa władzy z powodu „braku do niej zaufania“, słowem zadać bolszewizmowi Hintensztos. Czyż to może być tolerowane?

3. Zagadnienie zblokowania robotników z chłopami-średniakami. Opozycja, od pierwszej chwili wątpiąca w hasło „rządów robotniczo-włościańskich“, obecnie wyraźnie nawołuje do zerwania ze średniakiem.

4. Zagadnienie charakteru naszej rewolucji. Wobec trzech wyżej postawionych zarzutów jasne jest, że Trocki ośmiela się odmówić naszej rewolucji nazwy socjalistyczna.

5. Zagadnienie rewolucji kolonialnych w myśl tezy Lenina, że idea obrony ojczyzny w krajach uciśnionych zasługuje na poparcie ze strony komunizmu. Uzasadnienie tworzy tu konieczność przeciwstawienia się imperialzmowi krajów wielkokapitalistycznych, ugniatających kraje nierozwinięte cywilizacyjnie. Opozycja kategorycznie sprzeciwia się tezie Lenina i stąd jej całkowita dezaprobata dla chińskiej rewolucji. (My dziś moglibyśmy dodać, że i dla hiszpańskiej).

6. Zagadnienie taktyki „jednego frontu" w światowym ruchu robotniczym. Grzech opozycji polega na tem, że ona zrywa z leninowską taktyką stopniowego zawojowywania i zjednywania milionowych mas na rzecz komunizmu. Trzeba, żeby same masy przyszły do wniosku, że komunizm stanowi jedyny ich ratunek, a na to potrzebne jest trochę czasu. Przecież w kwietniu 1917 roku widzieliśmy już, że sprawa idzie ku obaleniu burżuazji i ustanowieniu władzy sowieckiej. A jednak nie rzucaliśmy odrazu hasła powstania. Dlatego, że masy nie miały jeszcze sposobności przekonać się o słuszności naszej polityki. Dopiero kompletna kompromitacja drobnoburżuazyjnych partii eserów i mieńszewików w najważniejszych kwestiach rewolucji przekonała masy do bolszewizmu i pozwoliła nam powieść je do zwycięstwa.

W czem tkwią korzenie jednego frontu? Taktyka jednego frontu dla tego właśnie została stworzona przez Lenina, by ułatwić milionowym masom robotniczych krajów kapitalistycznych, zarażonym

hasłem social-demokratycznego kooperowania, przejście na stronę komunizmu.

Opozycja całkowicie odrzuca tę taktykę. Początkowo zachwycona współpracą z Gensowietem w Anglii, reklamowała to jako „jedną z decydujących gwarancji pokoju“, „jedno z najpoważniejszych zabezpieczeń przed interwencjonalizmem“, „najlepszy środek obezwładnienia reformizmu w Europie“. W tak entuzjastycznych barwach przedstawił sprawę Zinowiew na XIV zjeździe WKP. Lecz po rozczarowaniach, jakie ta współpraca przyniosła, przeszła opozycja do krańcowo przeciwnego stanowiska i zerwała całkowicie z taktyką jednego frontu.

7. Zagadnienie leninowskiego pojęcia partyjności, jedności w WKP i Kominternie. Opozycja usiłuje zniszczyć tę jedność, dążąc do stworzenia drugej partii.

W jaki sposób doszło do powstania takiej opozycji? — pyta Stalin.

Wskutek osiągniętego u nas postępu, rozwoju naszego przemysłu, narastania nowych form socjalistycznego gospodarstwa i zwiększenia ich wpływu na życie pewna część drobnej burżuazji, zwłaszcza miejskiej, ginie i idzie na dno. Opozycja wyraża szemranie i niezadowolenie tych warstw z reżymu proletarjackiej rewolucji, ich dążene do zmiany na lepsze w duchu burżuazyjnej demokracji.

Tak wygląda rachunek grzechów opozycji w okresie dziesięciolecia istnienia Sowietów.

A jak przedstawia się pozytywny bilans rewolucji październikowej?

W tej samej mowie daje go Stalin jako konkluzję. I streszcza do dziesięciu punktów, na podobieństwo tych dziesięciu tez, które w kwietniu 1917 roku wysunął Lenin na progu rozpoczynającej się rewolucji.

1. Osiągnęliśmy pokój z sąsiedniemi państwami mimo ogromnych trudności, mimo prowokacji burżuazji „wielkich mocarstw“.

2. Wzmocniliśmy „smyczkę“ — kontakt klasy robotniczej Z.S.R.R. z robotnikami krajów imperialistycznych i kolonij, pomimo licznych przeszkód, mimo całego morza insynuacji przekupnej, stoustnej prasy burżuazyjnej.

3. Podnieśliśmy autorytet proletariackiej dyktatury wśród milionowych mas pracujących wszystkich krajów świata.

4. Pomogliśmy, jako partia, Kominternowi i jego sekcjom, wzmocnić swój wpływ we wszystkich częściach świata,

5. Zrobiliśmy wszystko, co może zrobić jeden kraj, dla rozwinięcia i przyśpieszenia światowego ruchu rewolucyjnego.

6. Podnieśliśmy nasz socjalistyczny przemysł w rekordowem tempie i ustaliliśmy jego hegemonię w całem narodowem gospodarstwie.

7. Ustaliliśmy „smyczku“ socjalistycznej wytwórczości przemysłowej z gospodarstwem wiejskim.

8. Wzmocniliśmy związek klasy robotniczej ze średniakami przy nastawieniu na biedotę.

9. Utrwaliliśmy dyktaturę proletarjatu w naszem państwie, nie licząc się z wrogiem międzynarodowem okrążeniem i pokazaliśmy robotnikom wszystkich krajów, że proletarjat umie nie tylko obalać kapitalizm, ale i budować socjalizm.

10. Umocniliśmy partię, utrwalili leninizm i rozbiliśmy na głowę opozycję.

Jakiż stąd wniosek? — Idziemy po dobrej drodze.

Oczywiście, spotykamy na niej trudności. Ale je przezwyciężamy, jak zwyciężaliśmy do tej chwili, ponieważ jesteśmy bolszewikami, zaprawionymi w

ogniu rewolucji, wykutymi w żelaznej dyscyplinie partii Lenina do tego, żeby walczyć z trudnościami, pokonywać je, a nie narzekać i płakać.

Tak zakończył Stalin swe wywody, zamykające historię pierwszego dziesięciolecia rewolucji w Rosji.

Mija prawie rok względnej ciszy na froncie walki z opozycją, która jednak działa w podziemiach. W rezultacie, w początkach sierpnia 1927 r., Centr. Kom. podejmuje rezolucję o wykluczeniu z partii Zinowiewa i Trockiego, które zamienia na surową naganę po „razkajaniu" z ich strony. Lecz była to nieszczera komedia. W rezultacie następuje ostateczne wykluczenie obu „opozycjonistów" z partii. A kiedy opozycjoniści urządzili na ulicach Moskwy i Leningradu „antysowiecką demonstrację", uroczyście opublikowano ich wykluczenie. Widać przebrała się miara cierpliwości.

Przedmiotem szczególnej różnicy poglądów jest wprowadzana wówczas w czyn pierwsza pięciolatka.

Tem nie mniej Stalin czuje się zmuszonym powrócić znów do problemu rozdźwięków opozycji z leninizmem i jej kierowników gruntownie ośmieszyć przypomnieniem ich grzechów „antyrewolucyjnych". „Kamieniew i Zinowiew poszli na rewolucję pod grozą pałki — daje Stalin nową interpretację rewolucji. — Lenin ich poganiał pałką, grożąc wykluczeniem z partii, więc poczuli się zmuszeni zaciągnąć do powstania. Trocki natomiast poszedł na powstanie dobrowolnie, ale nie prosto, tylko z zastrzeżeniem, że nie wierzy w rewolucję socjalną w jednym kraju". „Rozważać perspektywy — przypomina Stalin ówczesną deklarację Trockiego — socjalnej rewolucji w nacjonalnych ramkach znaczyłoby stać się ofiarą tej samej nacjonalnej ograniczoności, która stanowi rację social-patrjotyzmu" (1917 t. III, s. 90). (Podstawowe różnice między partią

i opozycją. XV Zjazd 3.XII. 1927). I Stalin wśród śmiechu całego audytorium XV Zjazdu partii układa inauguracyjny dialog między Zinowiewem, Kamieniewem z jednej strony, a Trockim z drugiej. Dwaj pierwsi stwierdzają Trockiemu, że tworzą z nim „blok ideowy“ — biorąc pod uwagę jego teorię rewolucji z zastrzeżeniem — „z ogaworoczkoj“.

Lecz problem trockizmu nie został wyczerpany. Na XVI zjeździe w lipcu 1930 r. Stalin znów atakuje trockistów za ich „skrajny minimalizm i beznadziejne kapitulowanie“ w dziedzinie socjalistycznej budowy państwa i swą tezę popiera liczbami, wprost druzgocącemi.

Pod ostry obsrzał krytyki Stalina dostaje się wtedy książka Trockiego „Ku socjalizmowi czy kapitalizmowi?“, wymierzona w pięciolatkę.

I dalej, w styczniu 1932 r., musi Stalin mówić o trockizmie jako „frakcji komunizmu, wahającej się między bolszewizmem i mieńszewizmem“ („Bolszewik“). XVII zjazd w lutym 1934 r. doprowadza starcie z trockizmem do bardzo wysokiego ciśnienia. Szczególnie bezlitośnie atakuje trockistów Kirow, no i za to pada w 10 miesięcy później z ręki „służalców b. zinowiewskiej antypartyjnej kliki“, jak to notuje oficjalny „Letopis Sobytji“. Stalin poprzysiągł odwet i dokonał go.

Zabójstwo Kirowa, wprowadzające do stosunków wewnętrznych między twórcami rewolucji czynnik, zdawałoby się, na zawsze wykluczony — terror indywidualny — musiało doprowadzić do rewizji ongiś, w dniach przewrotu danej sobie wzajem poręki, że w żadnym razie nie będzie stosowana ta extrema necessitas do zamkniętego koła partii, a zwłaszcza jej „wierchuszki“, zwierzchnictwa.

Lecz co innego obietnice, a co innego życie.

Trudno sobie zresztą wyobrażać, by tak doniosłej wagi „argument“ w walce politycznej, jak terror indywidualny, nie nęcił niektórych, zwłaszcza, że przecież namiętności ludzkie nie znikły w sowieckim raju, bodaj przeciwnie, doznały znakomitego spotęgowania w ogniach wulkanu rewolucyjnego.

Przecież gdzie jak gdzie, ale właśnie w Sowietach czcią otacza się wszelakiego rodzaju zamachowców. Dla nich honory, splendory i korzyści.

Przecież niedawne są czasy, gdy na kooperatywie Towarzystwa więźniów politycznych w Moskwie można było czytać napis: „Dzisiaj wydajemy powidła. Konfitury wyłącznie dla carobójców“.

A kogoż nie nęcą konfitury politycznych korzyści, do których zbyt długo nie ma się dostępu. Tak właśnie jest z opozycją. Nic więc dziwnego, że postanowiła wreszcie przeczyścić nieco pole przed kremlowską kooperatywą z „konfiturami władzy“.

Akt oskarżenia przeciwko Nikołajewowi, mordercy Kirowa, głosił wówczas: „Śledztwo nie ustaliło faktów, które pozwalałyby wręcz oskarżyć członków „moskiewskiego centrum“ o wydanie rozkazu lub wskazówek co do aktu terrorystycznego na osobie Kirowa. Ale cała sytuacja i charakter ich działalności wskazuje, że wiedzieli oni o terrorystycznych nastrojach członków swej grupy i nastroje te podniecali“.

Z przebiegu ostatniego sierpniowego procesu 16-tu widzimy już, „jak dalece“ wiedzieli i jakimi „cynicznymi“ chwytami usiłowali zamaskować swój współudział, nie cofając się nawet przed napisaniem czułego nekrologu ofiary zamachu — Kirowa.

Te fakty i im podobne musiały powoli dochodzić do wiadomości Stalina i jego otoczenia, nakazując wreszcie przełamać wszelkie względy pobłażania „koleżeńskiego“ dla dawnych kombatantów.

Powoli zaczęto przygotowywać grunt dla ostatecznego z nimi porachunku, którego saldo musiało zapowiadać się coraz krwawiej w miarę, jak nowe fakty uzupełniały obraz bezwzględnej „antystalinowskiej“ akcji opozycji.

Nie mogła ona znieść tego — myślimy o Zinowiewie i Kamieniewie — że Stalin, który w dniach przełomu stał trochę w drugim szeregu, nagle się wysunął na czoło, dystansując tych, którzy wówczas ręka w rękę siadywali za partyjnym stołem z samym Leninem.

W tych warunkach musiało dojść do rozgrywki ostatecznej.

Przygrywek do niej nie brakło na przestrzeni całego 1935 roku.

Więc najpierw 26 maja 1935 r. pojawia się dekret „przychylający się do propozycji plenum i prezydium rady stowarzyszenia starych bolszewików, dotyczącej likwidacji Towarzystwa“. Zlikwidowano w ten sposób instytucję, która miała oficjalny przywilej oceny „zagadnień współczesności z punktu widzenia doświadczeń rewolucji“ oraz „wywierania wpływu na szerokie koła młodszych towarzyszy w duchu starych tradycji koleżeńskich“.

Tego rodzaju statutowe uprawnienia wobec sytuacji, która kazała oczekiwać w tym roku napływu do kadrów Towarzystwa Starych Bolszewików 40.000 nowych członków, groziły poprostu stworzeniem partii w partii. A jej nastroje łatwe były do przewidzenia, skoro prezes Towarzystwa, Nadieżda Krupska, wdowa po Leninie, w swych pamiętnikach o mężu bardzo pochlebnie wyrażała się o Trockim, a zato trochę w cień usunęła Stalina.

Podobnym dekretem załatwiono sprawę stowarzyszenia b. katorżników zesłańców politycznych.

Uchwałę, „proszącą“ o rozwiązanie, powzięto 23 czerwca, a prezydium Centr. Kom. Wyk. Z.S.R.R. już 25 czerwca raczyło się „przychylić“ do tej „wiernopoddańczej“ supliki.

W ten sposób przezornie zamknięto dwa ogniska, dwa gniazda, w których mogłaby znaleźć naturalne oparcie opozycja.

A istotnie, sytuacja była po temu jak najbardziej dojrzała.

W dawnym aparacie C.I.K.-u, którego długoletnim sekretarzem był Abel Jenukidze — osobisty zaufany Stalina, niestety jednak cieszący się tytułem „towarzysz-kalosz“—ujawniono 17 osób, utrzymujących nielegalne kontakty z „zagranicznymi“ zwolenikami Trockiego. Podobnie zakonspirowane kontakty wykryto wśród personelu Biblioteki Lenina.

Stąd nagła konieczność zdecydowanego działania. O tem mówi trochę panicznie, a w każdym bądź razie niezwykle „patetycznie“ nastrojony artykuł „Prawdy“ z dn. 3 czerwca 1935 r. — nieomal utrzymany w stylu mickiewiczowskiej przypowieści z Ksiąg Pielgrzymstwa. Nic dziwnego, redaktor Radek jest przecież znawcą i wielbicielem Wieszcza Adama i lubi go „przefasonowywać“ na bolszewicki styl, czego dowiódł w słynnym sowieckim numerze „Wiadomości Literackich“.

„Dla bolszewickiego okrętu burza nie jest straszna! Skoro tylko na horyzoncie pojawiają się chmury — okręt kieruje się nie do spokojnej zatoki, lecz na otwarte morze. Bolszewicy nie boją się niebezpieczeństw, nie lękają się trudności. Taką tradycją szczyci się nasza partia“.

„Śmiało kroczymy naprzód, ufni w zwycięstwo— albowiem bolszewicy nie są zdolni ulec strachowi podczas walki“.

Po tym wstępie zaczyna się seria oślepiających błyskawic i piorunów, rzucanych na opozycję.

„Lenin ani przez chwilę nie wahał się odciąć od partii łamistrojów Października — Kamieniewa i Zinowiewa. Precz ze wszystkiem, co przeszkadza, ze wszystkiem, co pęta się pod nogami... Trocki właściwie był już gotów odstąpić zdobycze Października i kapitulować przed niemieckim imperializmem (w Brześciu — przyp. aut.). Wiosną 1930 roku — w okresie „zawrotu głowy wskutek sukcesów" — centralny komitet partii powstrzymał wściekły pęd całych szeregów ku przepaści. Partia znalazła dość siły, by zwrócić swe oddziały na właściwą drogę... Partia nie poszła drogą odwrotu, nie zawróciła z leninowskiej drogi, nie bacząc na to, że pracowici oportuniści grozili wodzom nie tylko powstaniem, ale i kulami" (ciekawe wyznanie!).

Jakiego rodzaju elementy zagrażają obecnie „generalnej linii" partii, wyjaśnia to artykuł „Prawdy" w dwa dni później z dn. 5 czerwca 1935 r.

„Nie wolno zapominać — znajdujemy w nim — że wzrost elementów kapitalistycznych jeszcze nie ustał, ponieważ jeszcze istnieje środowisko drobnych i najdrobniejszych przedsiębiorców i chałupników, będące podstawą kiełkowania kapitalizmu. Obok tego w samej partii istnieją elementy, podnoszące chorągiew wrogiej ideologii. Są to przedewszystkiem resztki rozbitych grup antypartyjnych, biurokraci i biurokratyzujące się elementy, wychodzący z obcego środowiska, którzy przedostali się do partii, zdegenerowani i zdeprawowani członkowie partii, nieustabilizowane elementy młodzieżowe itp.

Stąd możliwość powstania w partii odchyleń, wahań oraz wrogich ugrupowań bynajmniej nie jest

wykluczona. Lecz próby tej wrogiej roboty skazane są na niepowodzenie, skądkolwiekby pochodziły. Dla tego wszelka opozycyjna grupa wewnątrz partii od pierwszego dnia swego istnienia pójdzie drogą dwutorowości, skrytej roboty rozkładowej, oszukaństwa i usypiania czujności partyjnej".

Takie oświetlenie sytuacji jest wynikiem powziętych przez Centralny Komitet Partii uchwał, w myśl których „szczególnie należy wyjaśnić, że marksizm u nas wyrósł i wzmocnił się w walce z ruchem ludowym („narodowolczestwo") jako najbardziej nieprzejednanym wrogiem swoim w wyniku zdruzgotania jego ideowych założeń, środków i metod walki politycznej (indywidualny terror, wykluczający stworzenie masowej organizacji). Konieczne jest uświadomienie członkom partii, że marksizm powstał, rozwinął się i zwyciężył przedewszystkiem w walce ze starymi „narodnikami", a następnie z mieńszewikami i eserami".

„Bolszewik", organ biura politycznego C. I. K. partii, w numerze z dnia 15 czerwca tak oświetla to rozporządzenie:

„Trzeba przyznać, że właśnie ten okres walki z narodowolczestwem jakoś pozostawał „w cieniu" w wielu podręcznikach i pracach historycznych, a w niektórych nawet nadawano mu nieprawidłowe oświetlenie, tworząc „szkodliwą aureolę" dokoła „narodników" i „narodowolców".

Tę szkodliwą propagandę na rzecz „narodniczestwa" prowadzi się szczególnie „w niektórych naszych, rzekomo wychowawczych instytucjach". W ten sposób dzięki „występnemu nierozgarnięciu" (rotoziejstwu) komunistów zatruwają naszą młodzież, wykorzystując jej nieznajomość „przeklętej przeszłości".

Najciekawszem jest, że w ten sposób ryczałtem do tej „przeklętej przeszłości“ zaliczony został i brat Lenina — Aleksander Uljanow, skazany na śmierć za udział w przygotowaniach do zamachu na Aleksandra III.

Ano trudno, gdy na kremlowskich posadzkach próbuje się stawiać rewolucyjne pas, to często trzeba do niego „podbierać“ muzykę według melodii „Boże caria chrani“. Straszące w murach widma białych carów stają się coraz bardziej odbiciem na ścianie ich czerwonych następców.

Jak to dowcipnie powiada Otmar-Berson: „Jeśli ideały Komuny Apostolskiej znalazły swe ziemskie wcielenie w postaci watykańskich pałaców — to z idei socjalistycznej powstało bezwątpienia najbardziej „ujednolicone“ policyjno-militarystyczne państwo współczesności“.

Takie jest działanie prawa sukcesji historycznej. I dlatego bolszewizm w praktyce okazuje się wszystkiem, tylko nie stuprocentowym marksizmem, choć dialektycznie stale broni swego prawa starszeństwa przed mieńszewizmem i tym podobnemi odchyleniami.

Ale ta dialektyka jest tylko jednym ze środków utrzymania się przy władzy, jak z drugiej strony innym środkiem jest wybitnie koniunkturalna polityka, grawitująca między nepem i socjalizmem, komercjalizacją i komuną, konstytucyjnością i terrorem, pacyfizmem i przygotowywaniem „światowej rewolucji“.

To są kontrasty, wynikające z zetknięcia się doktryny z życiem.

I właściwie mówiąc, wartość doktryny można mierzyć zdolnością zwycięskiej kontrontacji z „rzeczywistą rzeczywistością“.

Tak tę sprawę ujmuje Stalin, jako pojętny uczeń Lenina. Nie zamierza on dla dalekiego mitu rewolucyjnego, dla miecztatielstwa — marzenia wypuścić z rąk realnej władzy i stara się ją utrzymać wszelkimi środkami. Bo przecież dla kogo, jak dla kogo, ale dla bolszewika — cel uświęca środki.

Zrozumiemy więc w tych warunkach dokładnie, dlaczego zabójstwo Kirowa musiało dużo dać do myślenia Stalinowi i wogóle Komitetowi Wykonawczemu Sowietów. Przekonano się ad oculos, że opozycja bynajmniej nie zlękła się krytyki, że nie wiele sobie robi z powtarzanymi na każdym zjeździe aktami „razkajania", uważając je najwidoczniej za zręczny manewr, pozwalający na uzyskanie dalszej tolerancji dla swej roboty.

Stalin zrozumiał, że to nie przelewki i spuścił wreszcie sforę GPU. Rezultaty odrazu się pokazały. Główni sprawcy znaleźli się pod kluczem a 18 stycznia 1935 Sąd Wojenny wydał wyrok na członków podziemnej organizacji kontrrewolucyjnej t. zw. „Moskiewskiego Centrum", wśród nich Zinowjewa, Jewdokimowa, Gertycha, Kamieniewa i in., skazując ich na więzienie.

Wyrok ten był do pewnego stopnia jeszcze zawieszeniem miecza odwetu. Jaka. tego przyczyna? Stalin był akurat na progu wchodzenia w Europę. 18 września 1934 ZSRR. wstąpił do Ligi Narodów. Pozatem w przygotowywaniu znajdowały się pakt z Francją i co najważniejsza t. zw. „fronty ludowe".

Bolszewicy, zajęci problemami wewnętrznymi, na pewien czas zwolnili tempo akcji zewnętrznej na Zachodzie, co wykorzystał Trocki, przebywający zagranicą i tu próbujący realizować swą ideę „permanentnej rewolucji". Do tego miała służyć zmontowana przez niego czwarta międzynarodówka. Jej

wpływy w pewnych krajach okazały się dość duże. Szczególnie zaś miała i ma ona dużo do powiedzenia we Francji, podobno nie bez pomocy Gestapo.

A z Francją właśnie Stalin chciał mieć jak najlepsze stosunki. Nie mógł więc pozwolić, żeby ją peszono przedwczesnymi manewrami rewolucyjnej gotowości proletarjatu.

Trocki tymczasem nieomieszkał wykorzystać momentu powstania frontów ludowych dla swego celu. Szczególnie zwycięstwo wyborcze wprowadziło IV międzynarodówkę w istny szał. Zaczęły się serie strajków, którym nie sposób było położyć kresu. Blum musiał czuć się mocno zaniepokojony i alarmować Moskwę różnemi skargami.

Wówczas to Kaganowicz zaprojektował wysłanie w objazd po Europie przewodniczącego Kominternu, Mikołaja Bucharina. Zadaniem jego było porozumienie w sprawie taktyki z IV międzynarodówką, czyli z Trockim i trockistami. Porozumienie to było konieczne, gdyż trzeba było urobić atmosferę do przygotowywanego zamachu komunistycznego w Hiszpanii. Eksperyment miał być według klasycznej teorii Lenina zamknięty ściśle w ramach jednego kraju.

Innego zdania była IV międzynarodówka, która analogicznie do r. 1918 chciała zrobić powszechną ruchawkę. Stąd owa fala strajków we Francji, stąd próba puczu komunistycznego w Grecji, stąd niepokoje w Belgii itd. Fatalne niepowodzenie tych przygrywek musiało wprowadzić w jak najgorszy humor Moskwę.

Wreszcie Stalin zdecydował. Dość tego kokietowania Trockiego i trockizmu. I oto — zdawałoby się w momencie napozór najmniej odpowiednim — nastąpił sąd nad członkami kontrrewolucyjnego „Moskiewskiego centrum".

Istotnie bowiem wewnątrz Sowietów ruch opozycyjny wykazywać począł coraz większy postęp.

Opozycja rozwija nietylko działalność podziemną, ale znajduje dostęp nawet na katedry wszelkiego rodzaju szkół sowieckich. Wskutek tego wśród młodzieży zaczynają się pojawiać „potomkowie trockizmu“, jak to z ubolewaniem piętnuje prasa rządowa, zaniepokojona szerzeniem się nastrojów opozycyjnych wśród komsomołu. Młodzież nie ma zrozumienia dla „linii generalnej“ partii i Sowietów — woła prasa sowiecka.

Zresztą i na jej łamach zaczyna „hulać“ duch opozycyjny, chwilowo posługujący się zręcznie ukrywającymi się wśród personelu wydawniczego sabotażystami. Coraz częściej zdarzają się w tekście najoficjalniejszych organów „korektorskie“ omyłki o wręcz „antyrewolucyjnem“ nastawieniu.

I tak pewnego dnia można było czytać: „Predatiel Mołotow“ — Zdrajca Mołotow. W ten sposób „chochlik redakcyjny skrócił słowo „predsiedatiel“ — przewodniczący i nadał mu obelżywe znaczenie, żeby „zohydzić sowiecką władzę“.

Ale nie tylko do takich figlów ogranicza się opozycja. Mord Kirowa był właściwie punktem wyjścia dla całej serji morderstw, dokonywanych na osobach politruków, czyli aktywistów z pod sztandarów Stalina, usiłujących realizować „linię generalną“.

W tych warunkach rzucono hasło „upartyjnienia państwa i upaństwowienia partji“, a to wszystko w celu opanowania sytuacji.

Postanowiono więc silnie zaostrzyć dyscyplinę partyjną. Skasować powołania masowe do partii a stosować indywidualne. Z każdego członka partii zrobić urzędnika Sowietów. Uzależnić kontrolę

państwa od partyjnej Komisji Kontroli Sowieckiej. Znieść kolegjalny system kierownictwa, zwłaszcza w instytucjach gospodarczych i zamienić go na indywidualny, oczywiście w celu ustalenia odpowiedzialności za akty sabotażu, a także zastraszająco szerzącą się korupcję.

Czy to wszystko uratuje reżym Stalina? — Oto pytanie.

Józef Czarnecki.

„AUTORITE SPIRITUELLE ET PAUVOIR TEMPOREL"

(Sprawozdanie z dzieła René Guénon'a).

AUTOR powyższego dzieła — „Autorytet du-chowy a Władza doczesna" — mając zawsze na myśli zasady uniwersalne, nie odnosi się nigdy w dziełach swych do zagadnień, związanych z cza-sowością, a jeżeli wychodzi z dziedziny czystej me-tafizyki dla rozważania pewnych jej zastosowań, to czyni to w ten sposób, aby zastosowania te za-chowały zasięg całkiem ogólnikowy. Dzieło, które niniejszym streszczamy, choć zawsze aktualne, gdyż rozważa sprawy, poczynając od zasad najwyż-szych i niewzruszalnych, jest równocześnie wysoce aktualnem, ponieważ porusza stosunek reli-gii do polityki, a więc kwestię, która stanowi jeden z ważnych problemów, dotyczących stosunku ducha do rzeczy doczesnych.

Na początku dzieła „Autorité spirituelle et Pou-ovir temporel" autor zaznacza kategorycznie, iż po-zostaje, jak zwykle, w dziedzinie zasad uniwersal-nych, a więc czystej metafizyki i że to właśnie po-zwala mu pozostać najzupełniej poza wszelką dys-kusją partij i ugrupowań, poza wszelką polemiką, gdyż ani z bliska, ani z daleka, pod żadnym wzglę-dem i w żadnym stopniu, nie chce być w te sprawy wmieszany.

Będąc najzupełniej niezależnym od wszystkie-go, co jest czystą i bezinteresowną prawdą, oraz

zdecydowany takim pozostać, będzie mówił o sprawach tak, jak one się przedstawiają, bez żadnego względu na to, czy to się komukolwiek spodoba lub nie.

Rozważając stosunek autorytetu duchowego do władzy doczesnej, czyli świeckiej, bierze autor za przykład instytucję kast w Indiach, zaznaczając, iż czyni to dla tego, że była duża analogia między kastami w Indiach a stanami w średniowieczu na Zachodzie. Ustrój Indij, jak i całego Wschodu, jest czysto tradycyjny. Musimy tu zaznaczyć, iż autor używa słów w prawdziwem ich znaczeniu, jakie miały u początku swego powstania, a zatem słowo Tradycja nie oznacza dawnych obyczajów, lecz wszystko to, co jest pochodzenia nadludzkiego. W ustroju Indji zatem władza duchowa Bramniów jest najwyższa.

Do kasty drugiej należą Kshatriasi, czyli rycerstwo. Podział ludzi na kasty — ustrój tak zupełnie fałszywie zrozumiany w nowoczesnym Zachodzie i uważany za przywilej klas posiadających — jest właśnie czemś całkiem przeciwnem, j e s t b o w i e m t y l k o p o s t a w i e n i e m k a ż d e g o n a w ł a ś c i w e m m i e j s c u w e d l e j e g o n a t u r y i n d y w i d u a l n e j i w r o d z o n y c h z d o l n o ś c i. Właśnie to niezrozumienie dziś na Zachodzie ustroju tradycyjnego i chęć, zgoła wbrew naturze, użycia każdego do każdej rzeczy, stwarza obecnie panujący nieporządek i chaos. Niezrozumienie podziału naturalnego, to znaczy odpowiadającego naturze poszczególnych ludzi, jest zawarte w teorji „równości“, teorji, której zadaje kłam wprost spostrzeżenie, iż r ó w n o ś ć w r z e c z y w i s t o ś c i n i g d z i e n i e i s t n i e j e i i s t n i e ć n i e m o ż e. Słowo „kasta“ znaczy dosłownie „indywidualna natura“.

Dziedziczność dla kastowości wchodzi w grę tylko częściowo, co jest całkiem słuszne, zważywszy, iż więcej mają wspólnych cech stworzenia tego samego gatunku — to samo więc stosuje się do ludzkości. Można więc stwierdzić, iż kasty tworzą prawdziwie naturalną klasyfikację w podziale funkcji socjalnych. Różnica zatem między społeczeństwem, gdzie istnieje kastowość w prawdziwem tego słowa pojęciu, a społeczeństwem, gdzie tego niema, jest ta, iż w pierwszym wypadku jest związek normalny między naturą indywidualną każdego i funkcjami, jakie spełnia, a w drugim przypadku związku tego niema. Ten ostatni spotyka się wszędzie, gdzie baza socjalna nie jest tradycyjna.

Jak zaznaczyliśmy powyżej, najwyższa władza w Indiach jest w ręku Braminów, gdyż posiadają najwyższą wiedzę, metafizyczną w całem tego słowa znaczeniu, są oni jedynie kwalifikowani do kontroli w każdej dziedzinie, jeśli chodzi o uzgodnienie z ich doktryną. Odpowiada to w zupełności naturze rzeczy, gdyż niższe pochodzi od wyższego. Każda konsekwencja zawarta jest w zasadzie, z której wypływa, a zatem funkcja wyższa zawiera „oczywiste" możliwości funkcji niższych. Zdarzało się często, iż rycerstwo, zbuntowawszy się przeciwko Braminom, chciało ingerowaé w dziedzinę, nie należącą do niego. Było to wówczas zastąpienie metafizyki przez fizykę, w etymologicznem znaczeniu tych słów, czyli to, co nazwać można „naturalizmem". Z rozróżniania przez wiedzę tradycyjną dwuch porządków rzeczy, które nazwać można ogólnie dziedziną zasad uniwersalnych i dostosowania tychże w świecie — wyłoniła się tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie różnica między tem, co się zwało „Wielkie Misteria" i „Małe Misteria". Te ostatnie odnosiły się do znajomości natury, a pierwsze do tego, co jest

ponad naturą. Te same rozróżnienia odpowiadały właśnie wtajemniczeniu „kapłańskiemu" i „królewskiemu". Wtajemniczenie samo, tak jedno, jak i drugie, należało do kapłaństwa, które przekazywało je i zapewniało efektywną prawowierność jego nietylko swoim członkom, lecz i tej kaście, do której należała władza świecka. Z tego to wyszło „prawo Boskie" królów.

Wszystkie doktryny tradycyjne, czy to Wschodu, czy Zachodu, zgodnie uznają transcendentalność wiedzy duchowej (wiedza uświęcona) w stosunku do czynu — czyli do władzy doczesnej — względem której wiedza duchowa odgrywa rolę „nieruchomego motoru" Arystotelesa, co oczywiście nie znaczy, iż czyn nie ma w świecie swego uprawnionego miejsca w przypadającym mu porządku rzeczy. Należy on jednak wybitnie do dziedziny, podległej czasowi i przestrzeni. Zmiana byłaby niemożliwa bez zasady, od której pochodzi i która przez to samo, iż jest zasadą, nie może zmianie podlegać, a zatem jest z konieczności „nieruchoma", będąc centrum „koła wszechrzeczy". (Centrum nieruchome jest obrazem zasady niezmiennej, a ruch symbolizuje w tym wypadku zmienność wogóle). Również ruch, należący do dziedziny zmiany, nie może mieć swej zasady jako takiej. Całą rzeczywistość swoją otrzymuje od zasady, która stoi ponad nim, a której dziedziną może być tylko „Poznanie". Ono to jedynie pozwala wyjść ze świata zmienności i ograniczeń, związanych ze „stawaniem się". Poznanie staje się doskonałem, kiedy osiąga niezmienność, co dzieje się wtedy, kiedy jest ono zasadniczem, czyli metafizycznem. Każde poznanie prawdziwe jest przedewszystkiem identyfikacją z poznawanem. Przeciwnie, poznanie fizycznie (fizyczne zawsze w zrozumieniu arystotelesowskiem, jako

całość nauki o naturze) jest tylko znajomością praw zmienności. Zresztą słowo łacińskie „natura“, jak również to samo słowo w greckim, oznacza pojęcie „stawania się“, tj. przetwarzania, przeistoczenia.

Autorytet duchowy w prawdziwem swem pojęciu, jako depozytariusz istotnego Poznania, jest przez to samo niezmienny. Władza doczesna natomiast — o ile wyższa zasada nie udziela jej stałości zgodnie z jej naturą i charakterem — podlega wszelkim niestałościom czasu, tj. przemianom. Aby móc istnieć prawowicie, zgodnie z porządkiem świata, władza doczesna potrzebuje konsekracji. To była racja bytu inicjacji królewskiej: Delegowanie przez autorytet duchowy władzy wykonawczej instytucjom świeckim, gdyż władza, jako taka, należy wyłącznie do autorytetu duchowego.

Pomazanie królów było znakiem widocznym tej zależności. Królowie byli dopiero prawowici po otrzymaniu inwestytury i konsekracji, gdyż one zawierały w sobie „wpływ duchowy“, przelany wówczas na nich. Przejawiał się niekiedy widzialnie i wyczuwalnie, mianowicie w mocy uleczania, który to dar był bezpośredno złączony z namaszczeniem.

Jak wspominaliśmy powyżej istnieje duża analogia między kastosowością w Indiach, a stanami w Średniowieczu. Różnica polega tylko na dostosowaniu. Zasada jednak, o którą jedynie chodzi, jest ta sama. Nie było to zapożyczeniem przez Europę. Wskazuje to tylko na jedność tradycyj u źródła swego powstania.

W Europie podczas Średniowiecza znajdujemy coś, co odpowiada w zupełności rewolcie Kshatryjów. Zaczęła się ona we Francji od panowania Filipa IV, który był głównym autorem zboczenia, tak charakterystycznego dla epoki nowoczesnej. Od tego panowania, królowie pracowali bez przerwy nad

uniezależnieniem się od autorytetu duchowego. Kierowani jednak dziwną nielogicznością, zachowali w namaszczeniu królów znak zależności. Legiści Filipa IV są przed humanistami Renesansu prawdziwymi zwiastunami laicyzmu obecnego. Z początkiem XIV wieku zaczęło się zrywanie z tradycją własną świata Zachodu. Zerwanie to zostało wyraźnie zaznaczone przez zniesienie zakonu Templarjuszy, który, tak samo, jak założyciel jego, św. Bernard, nosił podwójny charakter zakonników i rycerzy, przez co tworzył niejako pośrednictwo między pierwiastkiem duchowym a doczesnym. Można zarzucić, iż zniesienie zakonu emplarjuszy, choć było wolą króla, zostało jednak wykonane przez Papieża. W rzeczywistości jednak postanowienie to zostało Papieżowi narzucone, co całkiem sprawę zmienia.

I tak, przeobrażając stosunki normalne, władza doczesna, dla urzeczywistnienia swych planóy politycznych, zaczęła posługiwać się autorytetem duchowym. Można jeszcze zarzucić, że jeżeli autorytet duchowy pozwolił wziąć nad sobą górę i pozwolił sobą kierować, to przedstawiciele jego nie mieli już pełnego zrozumienia swej transcendentalności. Jest to słuszne i usprawiedliwia to obelgi, często gwałtownie rzucane w tym czasie przez Dantego. Jednak autorytet duchowy, pomimo błędów swych przedstawicieli, pozostaje tymże autorytetem i z niego to władza czasowa bierze całą swą prawowitość. Przedstawiciele władzy świeckiej nie mają kwalifikacji, a zatem są niezdolni do rozstrzygania o tem, czy autorytet duchowy odpowiada swej formie tradycyjnej, ponieważ kompetencja ich stosuje się do dziedziny niższej. Gdyby nawet autorytet duchowy, z winy swych przedstawicieli, zatracił w zupełności ducha doktryny, to jednak przechowanie samej litery i form zewnętrznych, w których w pewnej for-

mie doktryna jest zawarta, w dalszym ciągu zapewniałoby jej potrzebną i dostateczną władzę dla prawomocnej wyższości nad władzą doczesną. Supremacja ta przywiązana jest do samej istoty autorytetu duchowego i do niej ona należy tak długo, dopóki istnieje choćby nawet w zmniejszonym stopniu. Najmniejsza bowiem cząstka duchowości jest jeszcze nieporównanie większą od wszystkiego, co należy do doczesności.

Wróćmy jednak do Filipa IV, który daje nam doskonały przykład tego, co wytłumaczyć chcemy. Dante przypisuje mu chciwość, jako pobudkę wszystkich jego działań. Chciwość jest wadą kasty trzeciej Vaishya, która odpowiada mieszczaństwu. Można z tego wnioskować, że kasty zrewoltowane ulegają przywarom kast niższych od siebie. Król, nie zadawalniając się tem, iż jest pierwszym wśród rycerstwa, przedstaje grać rolę „regulatora“, która mu przypada normalnie, jako głowie szlachty. Widzimy więc królestwo, obracające się przeciwko feudalizmowi, z którego wyszło, pracujące dla zniszczenia tegoż, centralizujące się i absorbujące dla siebie jedynie władzę, należącą do całej szlachty.

Urzeczywistnić mógł to tylko król, opierając się na innym stanie. To też począwszy od Filipa IV, później w szczególności Ludwik XI i XIV oparli się i otoczyli mieszczaństwem i równocześnie najdalej posunęli centralizację władzy. Mieszczaństwo jedynie zyskało na tem, kiedy po rewolucji przywłaszczyło sobie władzę. Stwierdziliśmy poprzednio, że forma feudalna odpowiada najbardziej cywilizacjom tradycyjnym, jaką była w Europie cywilizacja średniowieczna. Epoka nowoczesna, będąc epoką zerwania z Tradycją, może być scharakteryzowana jako ta, która zastąpiła system feudalny przez instytucje narodowościowe. Narodowości zaczęły się

kształtować w XIV w. drogą centralizacji, o której powyżej wspomnieliśmy. Słusznie zauważono, iż Francja była pierwszym krajem, gdzie powstała „narodowość“ i że było to dziełem królów, którzy jednak przez to samo przygotowali swą zgubę. Nie warto nawet przypominać faktu tak znanego, że Rewolucja była wybitnie nacjonalistyczna i centralistyczna. Dla nas najciekawszem jest skonstatowanie, iż utworzenie „narodowości“ jest w istocie rzeczy jednym z momentów walki doczesności przeciw duchowi. Królowie myśląc, iż urzeczywistniają wszystkie swe ambicje, szli w istocie do swej zguby, idąc przeciwko porządkowi rzeczy. Jest to rodzaj jedności politycznej całkiem zewnętrznej, która zawiera w sobie niezrozumienie, a nawet zaprzeczenie zasad duchowych, które jedynie mogą złączyć głęboko cywilizację. Na Zachodzie narodowości są tego przykładem. W Średniowieczu istniała jedność prawdziwa, ugruntowana na podwalinach czysto tradycyjnych, a mianowicie na podwalinach chrześcijaństwa. Kiedy utworzono jedności drugorzędne, czysto polityczne, to znaczy doczesne, a mianowicie narodowości, wielka jedność Zachodu została bezpowrotnie rozbita, jak również skończyło się istnienie prawdziwego chrześcijaństwa *). Narodowości, będąc tylko fragmentami rozproszonymi dawnego chrześciajństwa, fałszywymi jednostkami, zastępującymi z woli władzy doczesnej prawdziwą Jedność, nie mogły z powodu warunków swej budowy istnieć inaczej, jak tylko walcząc ciągle między sobą i to w każdej dziedzinie.

Duch jest to Jedność, materia w istocie swej zawiera podzielność i różnorodność i im bardziej oddala się od ducha, tem bardziej antagonizmy rosną

---

*) Oczywiście w społeczno-politycznem, a nie w religijnem znaczeniu. (Uw. red.)

i wyolbrzymiają się. Tak samo rząd, stworzony przez jednego człowieka i nie podtrzymany przez żadną siłę tradycyjną, musi być nietrwały, jakiem jest wszystko to, co nie odzwierciedla nic wyższego ponad indywidualność.

Im głębiej brnie się w materializmie, tem bardziej potęguje się niestałość i zmiany coraz szybciej następują. Ponieważ również wszelka uzurpacja wywołuje dalszą uzurpację, więc po rządach mieszczańskich następują rządy kasty robotniczej. Jest to najgłębsza istota bolszewizmu. Kiedy w VI w. przed Chrystusem Kshatrjowie zrewoltowali się przeciwko Braminom, powstał Buddyzm, którego założycielem był Kshatrya-Schakya Muni. Schisma ta jednak trwała krótko, wbrew mniemaniu, jakie się o niej ma w Europie i Indje wróciły do Vedantyzmu, czyli ortodoksalnej swej Tradycji. W krajach, gdzie zachował się Buddyzm, został on przeobrażony zupełnie. Po Kshatrjach zagarnęli władzę Schudrowie (kasta najniższa) i powstało panowanie, niezmiernie zresztą krótkie, dynastii Maurya. Ciekawem bardzo jest zwrócić uwagę na tem miejscu, iż znaczenie słowa greckiego „tyrania" oznaczało pierwotnie w Grecji rządy ludzi, którzy, jak w dynastii Maurya, wyszli z najniższych kast.

Nie chcemy żadnych wyciągać wniosków, które jednak nie byłyby trudne do postawienia. O ile składniki socjalne najniższe dojdą do władzy, panowanie ich będzie najkrótsze ze wszystkich i zaznaczą one ostatnią fazę cyklu historycznego, gdyż niemożliwem jest zejść niżej. Jeżeli, ogólnie biorąc, zdarzenie to nie będzie miało większego znaczenia, to można jednak przypuścić, że dla Zachodu będzie końcem epoki nowoczesnej. Można zarzucić, iż rewolucja, zastępując władzę Kshatriów przez kasty niższe, potęguje tylko nieporządek. Jeśli się tylko

uwzględnia natychmiastowe rezultaty, to jest to mniemanie słuszne.

Ale właśnie to potęgowanie przeszkadza uwiecznić się nieporządkowi. Jeżeli bowiem władza doczesna nie utraciłaby swej trwałości przez to samo, iż nie uznała swej zależności od autorytetu duchowego, nie byłoby żadnego powodu, aby nieporządek ustał, skoro już raz został wprowadzony w organizacje socjalne. Mówić jednak o stabilizacji nieporządku jest sprzecznością w samem wyrażeniu, ponieważ nieporządek nie jest niczem innem, jak zmiennością, sprowadzoną do siebie samej. Byłoby to poprostu chcieć znaleźć niewzruszalność w ruchu. Jak wszystko, co ma tylko egzystencję negatywną, nieporządek sam się burzy. W nadmiarze swym może znaleźć samo lekarstwo na siebie, w wypadku najrozpaczliwszym, gdyż wzrastająca szybkość zmienności z konieczności będzie miała koniec.

Panowanie dziś na Zachodzie „wiedzy świeckiej“, oderwanej od swej zasady i bazy, którą jest wiedza tradycyjna, jest zawsze dziełem kast najniższych i znakiem panowania tychże kast w dziedzinie intelektualnej. Tu tak samo, jak w dziedzinie polityki, rewolta Kshatryów toruje drogę Vaishays'om. Dochodzi się zatem etapami do najniższego utylitaryzmu, do zaprzeczenia wszelkiego bezinteresownego Poznania i rzeczywistości, przekraczającej dziedzinę tego, co może być namacalne. Te wszystkie przejawy konstatujemy w naszej epoce. Świat zachodni doszedł prawie do ostatniego stopnia pochyłości, która tak, jak masa ciężkości, posuwa się z coraz większą szybkością. I czyż dziś wielu ludzi już nie odczuwa, że tak dalej iść nie może?

A. U. M.

W IMIĘ ZWYCIĘSTWA IDEI NAD MATERJALIZMEM

PAMIĘTAJĄ może niektórzy ze starszych wiekiem naszych Czytelników bezmyślną a okrutną zabawkę, jakiej poddawano swego czasu wiewiórki w klatkach. Wstawiano tam małe młyńskie koło ze skierowanemi do wewnątrz łopatkami, po których nieszczęsna wiewiórka skakać musiała, chcąc wyzwolić się z tego osobliwego więzienia; ale ponieważ za każdym jej skokiem na następne łopatki koło dalej i coraz prędzej się kręciło, więc biedne zwierzę zmuszone było gonić bez tchu naprzód w kręcącem się kole—bez końca i bez końca. Okrutna męka — znużone do nieprzytomności zwierzę nie mogło znaleźć wyjścia.

Ten obrazek staje żywo przed oczyma, gdy się spojrzy na współczesną ludzkość, wpędzoną w beznadziejne koło grubego, wszechwładnego a bezmyślnego interesu materialnego. A zwłaszcza, gdy się spojrzy na wpędzonych w to koło Polaków, którzy z tradycji swojej i psychiki najmniej właśnie zaprawieni są w racjonalnej, planowej i celowej służbie „złotego cielca".

Nie dość na tem, że ludzkość współczesna tak zabrnęła jednostronnie w służbę tego obrzydliwego bożyszcza, że aż — prawem naturalnej reakcji — wybujały na tem właśnie podłożu najskrajniejsze doktryny, wprawdzie też nawskroś materialistyczne, ale zato antykapitalistyczne i antyspołeczne wogóle. Nie dość na tem, że skrajny materjalizm, docho-

dząc do absurdu i brnąc na manowce, przeistacza się w krwawy bolszewizm i anarchizm i w inne doktryny wywrotowe, które wszystkie razem mają jeden cel wspólny: zamienić człowieka w niewolne bydlę. Ale, co nas najwięcej musi obchodzić i boleć, to bezsporny fakt, że chociaż zagranicą daleko większe robią się interesy i brutalny materializm daleko większe, niż w Polsce, święci tryumfy, to jednak zdaje się, że chyba nigdzie za granicą materialne interesy nie stanowią tak wyłącznej i wszechwładnej dziedziny myślenia i mówienia, jak w społeczeństwie polskiem!

Wszędzie bowiem na świecie, poza polskiem podwórkiem sfer gospodarczych, obok doraźnego geszeftu uznawane są jednak i realizowane pewne inne sprawy i idee, dobre lub złe, ale bądź co bądź otwierające duchowi ludzkiemu szersze horyzonty. W Polsce brak tego.

W Polsce realizację idei pozostawia się z reguły temu lub owemu ministrowi, który ma niby obowiązek „myśleć i cierpieć za miliony“ rodaków, pogrążonych w najgrubszym, najbezmyślniejszym, najbardziej krótowzroznym materializmie. Wszak, o ile zdołaliśmy to stwierdzić, nigdzie indziej nie zostało z psychiki narodowej tak dalece, jak u nas, wyeliminowane, ośmieszone, pogardą napiętnowane pojęcie „nowej inicjatywy“. Nigdzie indziej nie egzystuje aż tak wielki kult wyrażeń „realne“ i „konkretne“, któremi określa się u nas wyłącznie tylko to, co już jest gotowe, co przed nami niejako na talerzu leży.

Obrzydliwe i wielce szkodliwe pojęcia, które wszelką nową myśl twórczą, wszelkie podjęcie nowych, dla państwa niezbędnych zadań zgóry paraliżują! I co gorsze jeszcze, realizm ten i „konkretyzm“ stanowią wyłączny przedmiot myśli i dążeń

nowoczesnych Polaków przez dwadzieścia sześć godzin na dobę, a wszystko inne, co nie odnosi się do najgrubszych, bieżących geszeftów, traktowane jest z wyraźną pogardą, a już conajmniej z lekceważącem pobłażaniem.

Inscenizuje się wprawdzie u nas aż zanadto wiele „podniosłych obchodów“ i wszelkiego rodzaju manifestacji patriotycznych lub sportowych przy lada okazji. Naciąga się nawet w tym celu różne fikcyjne okazje. Gdy ktoś komuś w sporcie zęby wybił, albo tęgie wykazał łydy, albo gdzieś zrobił jakąś wycieczkę na lądzie, w wodzie lub w powietrzu, ten może być pewien laurów manifestacyjnych, podnoszenia na rękach przez „rozentuzjazmowane tłumy“, obsypania kwiatami i fotografowania z przodu i z tyłu przez reporterów prasowych. Może być pewien wszelakich zaszczytów, choć niekiedy okazuje się post festum, że jest — ciemną figurą.

Ale to wszystko tylko hasełkowe zabawy, coś w rodzaju starorzymskiego „panem et circenses“, modnego w epoce upadku imperium wśród rzymskiej gawiedzi. Ale pozatem panuje u nas wszędzie i suwerennie najwstrętniejszy materializm i to właśnie materializm, kręcący się w błędnem kole, jak owa wiewiórka, bez tchu, bez wyjścia, bez żadnej myśli twórczej.

Nie chcąc niepotrzebnie rozwijać na tem miejscu raz jeszcze rzeczy, aż nadto dobrze znanych, zreasumujmy krótko sytuację: zbyt jednostronne pogrążenie się ogółu społeczeństwa polskiego w krótkowzrocznym, bezplanowym materializmie, który opanował już wszelakie dziedziny polskiej psychiki, nawet te, które z interesem gospodarczym nie mają nic wspólnego, sparaliżowało bardzo w znacznym stopniu zdolność prawdziwie twórczego myślenia i działania u Polaków.

Także i zdolność twórczego myślenia na polu gospodarczem. Dlatego właśnie nie możemy dać sobie rady z kryzysem. Nie widać, oprócz chwilowych i lokalnych, szybko zmiennych przebłysków niby lepszej koniunktury, żadnego na serio startu w kierunku choćby częściowej, ale gruntownej poprawy stosunków ekonomicznych. Nie chcemy przez to zniechęcać do pracy, nie chcemy wywoływać defetyzmu — który jest zawsze największem głupstwem w każdem położeniu—ale wprost przeciwnie: wierni zawsze naszej metodzie autokrytyki narodowej, chcemy tylko wskazać sedno złego, którego naprawa przedewszystkiem od samego społeczeństwa zależy i twierdzimy mocno i twardo, że jeżeli to właśnie jądro złego, ten jednostronny, gruby, bezplanowy a wszechwładny materializm ulegnie w psychice społeczeństwa odpowiedniej rewizji i sanacji, to mimo wszelkich trudności, stosunki zaczną się stopniowo a trwale poprawiać.

Bo właśnie o trwały postęp poprawy nam chodzi, a nie o chwilowe, choćby najkorzystniejsze efekty, wywołane przejściowo jakiemś dobrem posunięciem, czy zręcznem nakręceniem konjunktury.

Chodzi nam jeszcze i o coś innego, znacznie ważniejszego w skutkach na nieco dalszą metę od chwilowego stanu naszych kieszeni, a nawet od przejściowych trudności budżetowych państwa, z czem przecież wszystkie państwa w rozmaity sposób radę sobie w końcu dają. Oto chodzi nam o smutny fakt, powszechnie zresztą znany, choć może nie przez wszystkich jeszcze w całej swej rozciągłości oceniany, że w istniejących w Polsce warunkach i stosunkach stan polskiego posiadania w kraju kurczy się, przeciętnie biorąc, a natomiast utrzymuje się i rośnie stan posiadania niepolskich żywiołów. Prawda, że gdzieniegdzie wydaje się, jakoby wzra-

stał polski stan posiadania, ale przeważnie tylko dla-tego, że różne obiekty gospodarcze, dawniej pry-watne, objęło stopniowo państwo. Wzrost ten więc odbywa się tem bardziej właśnie na niekorzyść pry-watnego polskiego stanu posiadania, a za to na ko-rzyść stopniowej jego etatyzacji, która w istocie swej niezbyt jest odległą od socjalizacji. Natomiast kosztem polskiego prywatnego stanu posiadania rośnie i rozwija się, w pewnych dziedzinach nawet bardzo znacznie, stan posiadania i przedsiębiorczość Niemców, Rusinów i Żydów.

Nie mamy chyba potrzeby udowadniać tu tego detalicznie cyframi, gdyż wie to każdy, nieraz do-kładniej od nas, kto pracuje na polu rolnictwa, prze-mysłu, handlu, finansów i spółdzielczości lub zna dobrze stosunki w zakresie nieruchomości miejskiej. Każdy zainteresowany wie dobrze, jaki jest stan i warunki działania naszej spółdzielczości w porów-naiu z np. spółdzielczością niemiecką lub ruską. Po-dobnie znawcy stosunków hipotecznych mogliby dużo ciekawych, a raczej bardzo dla nas niecieka-wych, szczegółów w tym zakresie przytoczyć.

I w tem właśnie leży kardynalny probierz bez-apelacyjnych, ostatecznych rezultatów naszej go-spodarki narodowej. Nie uważamy — w myśl pod-stawowych zasad naszej szkoły — za słuszne i wska-zane prawdę przed społeczeństwem ukrywać lub sztucznie ją upiększać. Tak, jak zgubnem jest dla narodu ukrywanie przed nim prawdy historycznej i rozniecanie w nim hasełkowego, powierzchownego patriotyzmu stwarzaniam sztucznie wyidealizowa-nych legend, tak zgubnem jest również tuszowanie przed nim prawdy współczesnej. O ile karygodnem jest szerzenie paniki i defetyzmu, zwłaszcza na pod-stawie złośliwie kłamliwych wersji, o tyle stanow-czo twierdzimy, iż słusznem i koniecznem jest otwo-

rzyć społeczeństwu śmiało oczy na rzeczywistą rze=czywistość, napędzić mu zdrowego strachu przed własną nieudolnośią lub wadliwemi urządzeniami i skierować jego myśli i wysiłki przez to właśnie na tory lepszej organizacji i naprawienia złego. Czło=wiek bowiem, nie przestrzeżony i nie zastraszony w porę, bywa z natury rzeczy beztroski, lekko=myślny i spoczywa — na laurach.

A zbawienny wstrząs umysłów winien nastąpić przedewszystkiem w dziedzinie „odmaterializowa=nia" społeczeństwa. Gruby bowiem materializm, przyziemny, o charakterze doraźności z dnia na dzień, przesłania każdemu szerszy horyzont, nie=zbędny w politycznem i gospodarczem życiu naro=du. Jasnem jest przecież, że jeżeli zasięg czyjejś my=śli i zainteresowania nie wychodzi po za daną, chwi=lową, bezpośrednio aktualną tranzakcję, to taki czło=wiek jest na nieco dalszą metę zgubiony, nieraz już nawet i w najbliższej przyszłości. A jego miejsce zajmuje naturalnym rzeczy porządkiem ktoś inny, o szerszym horyzoncie, a conajmniej państwo w for=mie etatyzmu lub nawet socjalizmu. A na czem po=lega ów szerszy horyzont? Właśnie na ideowym sposobie myślenia. Bo cóż to jest idea, oczywiście nie w jakiemś poetyckiem lub metafizycznem, ale w polityczno=gospodarczem znaczeniu?

Otóż idea w tem znaczeniu jest niczem innem, jak tylko zdolnością przygotowywania zawczasu po=żądanych, konkretnych rezultatów. W tem znacze=niu ideowcem może być i powinien być każdy czło=wiek, pracujący w jakiejkolwiek dziedzinie, a przede=wszystkiem w dziedzinie polityczno=społecznej lub gospodarczej. Chcąc zebrać w bliższej lub dalszej przyszłości pożądane owoce, trzeba umieć celowo zasiać i przygotować zawczasu korzystne warunki rozwoju danej roślinie. A polska psychika, ogółem

biorąc, uznaje tylko samo owocobranie, a za fantazję uważa z reguły wszelką myśl przygotowania zasiewu i zbioru.

Tem nieszczęsnem nastawieniem polskiej psychiki politycznej i gospodarczej tłumaczą się w sposób zupełnie wystarczający wszelkie nasze niepowodzenie i niedole. Przytoczmy drobny przykład, jeden z pośród milionów podobnych, który jaskrawo ilustruje to, o co nam chodzi.

Wyobraźmy sobie jakiekolwiek zebranie w sprawach politycznych lub gospodarczych, zwłaszcza w tych ostatnich. Występuje na niem dobry mówca, obeznany z przedmiotem i stawiający swe argumenty i wnioski językiem prostym i lapidarnym, dla każdego aż nadto zrozumiałym, ale, pomijając drobne, bieżące aktualia i chwilowe bolączki, szkicuje celowy program, na nieco dalszą z natury rzeczy wymierzony metę, wybrnięcia z ciężkiego położenia, stopniowego osiągnięcia pewnych rezultatów. Zagranicą słuchają takich mówców tłumy nieraz całemi godzinami z tchem zapartym. Nikt tam wówczas nie spogląda na zegarek. Nad zebraniem unosi się atmosfera największego zainteresowania, wyrażanego na zewnątrz czy to oklaskami aprobaty, czy gorącą dyskusją i polemiką. A u nas? Jeżeli mówca nie jest wyjątkowo osobą o jakiemś bardzo wysokiem stanowisku i autorytecie, wobec których waży w tłumie słuchaczy nietyle treść przemówienia, ile przedewszystkiem fakt i snobizm słuchania słów „wysoko postawionej osobistości", to z reguły niemal każdy kręci się już po krótkiej chwili na swoim stołku, spogląda na zegarek, ujawnia aż nadto widocznie wyraz znudzenia, a wkrótce albo opuszcza zebranie z lekceważącym gestem, albo doczekawszy nawet do końca, wyraża się z ironią dokoła, że to przecież były same tylko ogólniki, że mówca nic

„aktualnego“, „konkretnego“ nie powiedział. Bo aktualnem i konkretnem w pojęciach współczesnego Polaka są tylko terminy weksli, moliwości kredytowe, kalkulacja cen na dany dzień i ubicie jakiejś doraźnej tranzakcji w lekkomyślnej atmosferze, że byle ona się powiodła, to niech potem, potop całą ziemię zaleje! To już „muzyka przyszłości“, której dźwięki wychodzą poza obręb „trzeźwego interesu“.

Otóż, szanowni Rodacy, w takiem to nastawieniu krótkowzrocznego, ordynarnego materializmu, wrogiego wszelkim, nieco szerszym horyzontom, kroczymy naprzód z pretensją „mocarstwowości“ na ustach. A tymczasem podkopują nas i rozpierają się u nas coraz bardziej różne obce żywioły, które wszystkie biją nas głównie tem, że działają planowo w myśl jakiejś idei, czyli, że posiadają umiejętność planowania i przygotowywania zawczasu, konsekwentnie, zamierzonych na dłuższą metę rezultatów.

Tak, bo na naradach niemieckich, żydowskich, ruskich, czy bolszewickich nikt nie patrzy na zegarek, nie uważa płatnego jutro weksla lub innej chwilowej tranzakcji za alfę i omegę swej ogólnej sprawy, nikt nie piętnuje pogardliwem mianem „ogólników“ podstawowych planów i wytycznych akcji danego żywiołu. Przeciwnie — tam wszystkie myśli i dążenia wytężone są w pierwszym rzędzie na skonstruowanie ogólnego, dobrze przemyślanego planu działania. Tam doskonale rozumieją wszyscy, że gdy plan ogólny dokładnie jest ustalony i zorganizowany, to nie potrzeba rozprawiać o aktualiach i „konkretnych“ szczegółach, gdyż one same znajdą automatyczne załatwienie, skoro tylko program ogólny i celowe drogi jasno zostaną wytyczone.

Te żywioły więc biją nas poprostu ideą, zastosowaną celowo, konsekwetnie do praktycznych ce-

lów. Ale niechże kto spróbuje poruszyć takie rzeczy wśród naszych rolników, przemysłowców, kupców lub choćby nawet polityków, którzy z natury swego zawodu winni więcej od innych myśleć kategoriami programowemi. Zostanie napewno zlekceważony, wyśmiany, bo to przecież tylko fantastyczne „ogólniki“, nie mające rzekomo nic wspólnego z „bieżącą sytuacją polityczną“, lub „bieżącą sytuacją gospodarczą“, poza którą współczesna psychika polska nie sięga i z dziwnym uporem sięgnąć nie chce.

Ktokolwiek zdolny jest nieco głębiej pomyśleć, ten musi przyznać, że psychoza taka, której ulega dziś mniej więcej całe polskie społeczeństwo — za wyjątkiem niektórych jednostek, borykających się rozpaczliwie z jego inercją — jest tylko dalszym ciągiem i rozszerzaniem staroszlacheckiej mentalności podwórkowej, która dyktowała nazbyt często dawnemu „rycerzowi“ w obliczu grożącego już bezpośrednio nieprzyjacielskiego najazdu przeczekać najpierw okres strzyży owiec lub innych doraźnych zarobków, zanim sięgnie się po rdzewiejącą na ścianie szablę. I wówczas już uważał szlachcic, że byle doraźna powiodła się tranzakcja lub doraźne aktualja sejmikowe były załatwione, to potem „jakoś to będzie“. Czy dzisiaj ogół społeczeństwa polskiego myśli inaczej? A przecież w odrodzonej i zdemokratyzowanej Polsce, zahartowanej ciężkiem doświadczeniem dziejowem, natchnionej od przeszło stu lat ubiegłych wielkiemi ideami przez licznych poetów, powieściopisarzy, historyków, filozofów, a nawet niektórych, dalej myślą sięgających ekonomistów, powinno się myśleć i działać inaczej — całkiem inaczej!

Obecny nasz przyziemny materializm zastąpić winna koniecznie więcej ideowa atmosfera także

i dlatego, że na całym świecie, po minionym okresie przedwojennego i bezpośrednio powojennego pozytywizmu i materializmu, kierownictwo dusz i rządów objęły właśnie różnorodne systemy, nawskroś ideowe. Jakkolwiek każda z tych idei, moralnie dodatnich lub ujemnych, uwzględniać musi oczywiście także w wysokim stopniu momenty materialistyczne, gdyż bez tego nie byłaby w stanie prowadzić swego dzieła walki lub pokoju, to jednak rządzące te idee stawiają w każdym razie swój nadrzędny program polityczny, społeczny i moralny ponad aktualja pełzającego po ziemi z coraz większym trudem materializmu. Prawda, że dzieje się to nieraz wśród brutalnych i krwawych przejawów, zwłaszcza, gdy chodzi o idee wywrotowe. Niemniej jednak zwycięstwo dobrych i złych idei druzgoce przyziemny materializm i stawia go w położeniu bez wyjścia.

I dlatego i u nas daje się odczuwać coraz wyraźniejszy, choć jeszcze cichy bunt przeciw kajdanom „wszechwładnego interesu". Ten to bowiem tyran odbiera ludziom zdolność i możność racjonalnego startu z impasu, w który ich pogrążył. Czyż nie jest prawdą, że w różnych sferach społeczeństwa odzywają się coraz częściej szepty defetyzmu i rozpaczy: „a niechby przyszedł raz nareszcie faszyzm", albo „niechby przyszedł hitleryzm", albo „niechby przyszła monarchja, byle nie pod polską dynastją", albo wreszcie najbardziej rozpaczliwe, najabsurdalniejsze życzenie, rzucane bynajmniej nie ze sfer bolszewizujących: „niechby przyszedł przynajmniej jakiś porządny komunizm!"

Spełniamy tu naszą rolę des enfants terribles, demaskując celowo te tajemnice poliszynela. Ale czego nieopatrzne takie, nieraz absurdalne życzenia, lekkomyślnie wyrzucane w powietrze, dowodzą? Oczywiście tylko tego, że nareszcie i polskie spo-

łeczeństwo zaczyna tu i tam już dotkliwie odczuwać ciężar obrzydliwego, wstrętnego a wszechpotężnego geszefciarstwa, które w ostatecznym rezultacie nawet swych własnych nie jest już w stanie osiągnąć celów i nie do złota, ale do błota i nędzy prowadzi. Czepiają się więc ludzie u nas, w braku czegoś lepszego, zagranicznych idei tak, jak tonący brzytwy się chwyta. Bo przecież życzenia tego rodzaju, jak „niech będzie choćby jakiś porządny komunizm!“ — strzelają z ust nie jakichś agitatorów bolszewickich, ale np. z ust właścicieli wielkich warsztatów pracy po zakończeniu fachowych konferencji gospodarczych, nad któremi unosi się w zasadzie atmosfera wielkiego kapitalizmu i antyetatyzmu.

Jest to zjawisko, niezmiernie charakterystyczne dla współczesnej epoki, pozornie smutne, a naprawdę lekkomyślnością bezradności lub rozpaczy natchnione, które jednak dla baczniejszego obserwatora, umiejącego wyczuć głębszy puls społecznego organizmu, jest wprawdzie zasługującem na stanowczą naganę, ale pod pewnym względem jednak pocieszającem: jako dowód przesytu bezmyślnem a rujnującem geszefciarstwem, zaplątanem we własne sieci, a natomiast podświadomej dążności nawet już i pewnych gospodarczych sfer społeczeństwa do jakiegoś świata ideowego.

Tylko w Polsce nie mamy absolutnie żadnego powodu czepiania się tych różnych skrajnych doktryn społecznych, które rządzą dziś różnemi państwami Europy. Potrzeba nam jedynie tylko odpowiedniego odświeżenia atmosfery w kierunku ideowym, przyczem interesy materialne winny grać wprawdzie zawsze bardzo ważną, ale bądź co bądź drugą dopiero rolę. Na pierwszy plan wysunąć się muszą koniecznie momenty religijne, mocarstwowe i systemy planowego, programowego myślenia we

wszystkich dziedzinach. Zaczynamy mieć dość jednostronnego aktualizmu gospodarczego i politycznego. Wiemy już doskonale, co z nami jest i nie potrzebujemy słuchać tego jeszcze miliony razy na różne nuty i tony, a natomiast chcemy wiedzieć, co z nami będzie, a zwłaszcza:

1) czy mamy z całą konsekwencją i z odpowiedzialnością za wszystkie następstwa dążyć do systemu mniejwięcej socjalistycznego, czy też do naprawy systemu kapitalistycznego — co musi być społeczeństwu polskiemu raz nareszcie, bez ogródek i skomplikowanych zastrzeżeń polityczno-społecznych, wyraźnie powiedziane,

2) czy społeczeństwo polskie — znowu z całą konsekwencją i odpowiedzialnością za ewentualne rezultaty — ma nastroić się w duchu status quo i obracać myśli swe w kółko na platformie aktualjów genewskich, czy też wzmagać swą prężność w duchu idei mocarstwowości i imperializmu?

Dotąd unika Polska przybrania wyraźnego oblicza i robi wrażenie, jakgdyby usiłowała wykręcić się sianem z obu tych kardynalnych zagadnień, lawirując wśród nich bez jasnej decyzji i kierunku. Chcemy być i tem i owem, a w rezultacie gotowiśmy zostać niczem. Ciepła woda odpowiadała dotąd najbardziej wygodzie osobistej Polaków, a w tych warunkach rozpanoszył się wstrętny, samobójczy, ogłupiający materjalizm.

Teraz sytuacja zmieniać się zaczyna, a z nią i mentalność naszych mózgów. Zaczynamy mieć dość tej ciągłej klepaniny o sprawach gospodarczych, chcemy teraz usłyszeć coś innego. Geszefciarze niech się zamkną w swych kantorach i tam ślęczą nad swą beznadziejną buchalterją, a my domagamy się, żeby nas wyrwano z tego błota, zaprawianego stekiem kręcących się wkółko frazesów, jakąś po-

tężną, zdecydowaną, porywającą ideą. Niech geszefciarze zjadają ostatnie swe frykasy, jeśli ich stać na to jeszcze, a my, inni, zadowolnimy się kawałkiem chleba z dodatkiem swobody indywidualnej, ale żądamy jasnych, zrozumiałych dla każdego, z odwagą i precyzją sformułowanych rozkazów ideowych. Ale wślad za takimi rozkazami musi nastąpić taka konsekwentna polityka rewizji państwowego ustroju i społecznego nastroju i warunków bytu jednostki, żeby rozkazy te nie pozostały pustym, niewykonalnym frazesem, ale uzyskały moc realizacji przez całe społeczeństwo.

Pozostawiając wtyle niepoprawnych adherentów wstrętnego materializmu i złudnych formułek społeczno-gospodarczych, balansujących trwożliwie między pieniądzem a kwestią socjalną w daremnych usiłowaniach kaptowania sobie głosów wyborczych, chcemy iść naprzód z jasnym celem, planem i porządkiem, pod sztandarem jakiejś wyraźnie określonej idei ekspansywnej, z tem bezwzględnem przekonaniem, że na tej właśnie drodze różne niedomagania gosodarcze znajdą także najlepsze rozwiązanie.

Myli się każdy, kto sądzi, że wystarczą jakieś uroczyste manifestacje patrjotyczne, albo podniosłe przemówienia. To też dobre, ale to żadnego trwalszego nie ma znaczenia w społeczeństwie, pozbawionem wielkiej idei wytycznej, zakreślonej z szerokim horyzontem i na dłuższą metę.

Na taki zew porywający, wyraźny, wszyscy czekają. Nie trzeba ukrywać takich dążeń przed społeczeństwem, bo jest to taksamo, jakby ktoś chciał komuś przesłaniać własną jego duszę. Nie obawiajmy się w trwożliwej dyplomatyce opinji cudzoziemców. Wszak ci cudzoziemcy z wyrażaniem swych przewodnich idei, bardzo nieraz imperiali-

stycznych i zaborczych, wcale się nie żenują. Przeciwnie, obce społeczeństwa, porwane takimi nakazami, zapominają nieraz, a przynajmniej częściowo, o swych cierpieniach ekonomicznych, rozumiejąc, że je dla wielkiej sprawy ponoszą.

A my, Polacy, dlaczego je ponosimy? Dla trwożliwego utrzymania naszego status quo, dla „obrony niepodległości"? Ejże, to już dla nas obecnie za mało! My chcemy czegoś więcej. Niech bojaźliwi, nie mający dotąd jeszcze wiary w trwałą niepodległość Polski i nastrajający się podświadomie w duchu opierania się o Niemcy lub o „przyszłą" Rosję, trzęsą się po kątach ze strachu! My wiemy dobrze, że właśnie strach sprowadza niebezpieczeństwo i pamiętamy, że Polska w okresie upadku i postępującego obcego zaboru właśnie cały świat o swej „pokojowości" uroczyście zapewniała. I te ustawiczne pokojowe zapewnienia, ugodowe wobec wszysktich, weszły wkońcu w krew i kość narodu i uczyniły go niezdolnym nietylko do ofenzywy, ale nawet do skutecznej defenzywy.

Mając to dobrze w pamięci i gardząc nadmiernym, rozkładowym materializmem, żądamy wyższej idei, do której wszystko w państwie winno zawczasu się dostosować. A taką ideę, naturalną, organiczną, z przeszłości i położenia naszem wskazaną, już przecież mamy i lepszej nie znajdziemy. Sztucznie nie wymyśla się wielkiej idei narodowej. Trzeba ją tylko wyraźnie sformułować i zapropagować, jeżeli nie na platformie oficjalnej, to przynajmniej szeroko na arenie prywatnej. A ta idea brzmi:

Restytucja mocarstwa polskiego w jego dawnych, ale zawsze aktualnych granicach geopolitycznych, w których naród polski miałby naturalne stanowisko „prowadzącego narodu".

Gdy nam ta idea wyraźnie zabłyśnie przed oczyma, to całkiem inaczej zaczniemy pracować i inaczej załatwiać wszystkie nasze sprawy ustrojowe, społeczne, gospodarcze, mniejszościowe i inne, będziemy bowiem jasno wiedzieli, co, jak i dlaczego zrobić się musi.

I to jest równocześnie także program, najbardziej realny, konkretny i zarazem najbardziej aktualny. Bo, chcąc coś w przyszłości osiągnąć, trzeba już od dziś zacząć to przygotowywać. Natomiast za niealne, zwodnicze, a moralnie rozkładowe uważamy wszelkie nadmierne i jednostronne przejmowanie się bieżącymi szczegółami grubego materializmu i potępiamy stanowczo tych wszystkich, którzy zajmują się tem tylko, co bezpośrednio przed nimi w korytku leży, a traktują z lekceważeniem jako „ogólniki" wszelką planową myśl o rozwoju państwa i o własnych losach, z niem przecież ściśle związanych.

Jan Bobrzyński.

WSTRZĄSAJĄCY WYPADEK

W MOMENCIE, gdy Związek Wasz odsłania w niniejszym tomie przyłbicę, przyjmując wyraźnie firmę mojego nazwiska, przybywam z za- światów, aby dopomóc Wam udzieleniem pewnej wskazówki. A udzielę jej Wam nie kazaniem, lecz opowieścią o pewnym, niedawnym wypadku, który rozegrał się w stolicy Polski odrodzonej.

W wydarzeniu tem skoncentrowała się na chwilę kwintesencja współczesnej psychiki naszych roda- ków, zogniskował się obraz tego, co się w Polsce dzieje.

Niechże opowieść o tem zdarzeniu dojdzie do wiadomości polskiego ogółu i wstrząśnie nim, jak należy.

Nie o jakiejś pospolitej sensacji chcę prawić — jednej z tych, których tak poszukują w kraju i za- granicą dzisiejsze płytkie umysły. Wiecie dobrze, że nie moja to rzecz takie efemerydy. Nie o Lidze Narodów chcę Wam mówić, nie o bieżących pery- petjach politycznych, ani o zmianach rządów, czy nowych gospodarczych „widokach na przyszłość", czy zbrodniach lub innych nadzwyczajnościach, któ- re współczesnych Polaków w życiu codziennem bez reszty absorbują. Wy wiecie, że ja sięgam zawsze wgłąb — w samo sedno, w głębszy sens polskich stosunków.

Unosił się tedy duch mój niedawno nad salą po- ważnego zebrania w Warszawie, zebrania delegatów z całej Polski w sprawie ruchu spółdzielczego, który

tak obecnie w Polsce jest w modzie, na ustach wszystkich — niby przewodnia gwiazda przyszłego ustroju. Patrzałem, słuchałem.

Przedstawiciele polskich spółdzielni, którzy oczywiście znaczną większość krzeseł na sali zajęli, nader przykre — ogółem biorąc — zrobili na mnie wrażenie. Mało wśród nich prawdziwych fachowców, kręcili się wciąż na miejscach, mierząc niecierpliwie przemówienia nie treścią i przedmiotem sprawy, lecz z niecierpliwością liczonych minut trwania, wyciągając co chwila zegarki i wymykając się tu i tam na pojedynkę z sali pod najrozmaitszemi wymówkami umówionych z kimś spotkań na mieście, terminów śniadań po restauracjach i u znajomych i tak dalej.

Wtem powstał Rusin z Małopolski Wschodniej, przedstawiciel Ukraińskiego Sojuza i od pierwszego słowa poznać było można fachowca od stóp do głów i zarazem człowieka, na serjo traktującego sprawę. Przykuł do siebie uwagę motylkujących Polaków, zatrzymał rozbiegające się stadko jakąś moralną mocą na sali i zmusił je z nieugiętą konsekwencją i cierpliwością w ciągu szeregu godzin do skonkretyzowania dyskusji i uchwalenia pragmatycznych wniosków.

Nic więcej Wam nie powiem, bo wszak proste przytoczenie tego faktu więcej nauczy Was, którzy stoicie pod sztandarem polskiej myśli państwowej, niż najwznioślejsze, szerokie wywody. Zwracam Wam tylko uwagę — i wiem, iż w tem zgodni będziemy — że w takiem właśnie traktowaniu spraw leży główne źródło niedomagań i różnych „kryzysów“, na które dziś Polacy tak ciągle narzekają.

Czy w takim nastroju, z takiem usposobieniem, można na serio budować „Polskę mocarstwową“?

„*Stańczyk*“.

ROLA I RACJA STANU RUSKIEGO NARODU

BYWAJĄ momenty tak w życiu człowieka, jak i w życiu narodu, w których człowiek ten lub naród musi zagłębić się w refleksji krytycznej nad swym położeniem i przedsięwziąć rewizję swych dążeń i swego działania. Musi to zrobić, jeżeli chce istnieć i pomyślnie losami swymi pokierować.

Człowiek lub naród, niezdolny do tej niezbędnej autokrytyki, brnie często poomacku w ślepą ulicę, skąd niemasz wyjścia. Staje się niezdolnym do życia.

Nikt, obiektywnie myślący, wątpić nie może, że kilkudziesięcio-miljonowy naród ruski, osiadły od wieków na przestrzeniach kilkuset tysięcy kilometrów kwadratowych — od Rusi Czerwonej na zachodzie, Białorusi na północy, wybrzeży Morza Czarnego na południu, aż hen poza linję Donu — jest w zasadzie powołany do odegrania jeszcze bardzo doniosłej historycznej roli. Dla nas, wyznawców idei „wielkiej naszej przyszłości", ta zasadnicza teza o misji narodu ruskiego jest wprost historyczno-politycznym dogmatem. Przy nim stoimy i stać zawsze będziemy.

A dogmat ten opiera się ściśle na naczelnej naszej idei *mocarstwa o troistym herbie*, w którego koncepcji odgrywa Ruś niezmiernie ważną rolę. A koncepcja ta, jak wiadomo, nie jest sztucznie przez nas wymyśloną, lecz tylko na nowo sformu-

łowaną, gdyż opiera się na odwiecznej polsko-litewsko-ruskiej racji stanu, której fundamentami jest geopolityczne położenie tych trzech narodów. A kto żelaznym, naturalnym prawom geopolitycznej racji stanu lekkomyślnie się sprzeciwia, zwłaszcza za podnietą podwórkowego nacjonalizmu i t. zw. hurrapatrjotyzmu, ten popełnia więcej, niż grzech, bo wprost błąd polityczny względem własnego narodu. Wszak w historji błąd gorszym jest w skutkach od zbrodni.

Nietaktowne są to może rzeczy, które tu przygwoździć chcemy, nietaktowne z punktu widzenia przyjętych na świecie zdawkowych form kurtuazyjno-dyplomatycznych, pod któremi, coprawda, kryje się najczęściej srogie oszukaństwo i perfidja. My jasne wolimy tory i uważam, że system wyrąbywania prawdy toporem lepszy jest, dla społeczeństwa zdrowszy i wogóle moralniejszy, niż gdy usta oczom kłamią.

Otóż nie może, zdaniem naszem, żadnej ulegać wątpliwości, że cywilizacja europejska, nie mówiąc już o światowej, dopóty nie zazna jakiego takiego spokoju, dopóki ciążyć będzie nad nią nieustanna groza moralnego i zbrojnego niebezpieczeństwa ze strony rosyjskiego kolosa — godnego następcy mongolskiej, imperjalistycznej idei, przystrojonej od czasów Piotra Wielkiego w jakąś pseudonowoczesną szatę, a objawiającej się na zewnątrz w nieustannej tendencji zaborczej wobec wszelkich sąsiadów w Europie i Azji.

Rozwalenie więc moskiewskiego imperjum jest na dłuższą metę kwestją życia i śmierci zarówno dla Polaków, jak i dla Rusinów. A dla tych ostatnich w pierwszym rzędzie.

Mongolsko-słowiańsko-bolszewicki konglomerat rosyjski musi zostać na pół przecięty, musi stracić

swój basen czarnomorski w najszerszem tego wyrażenia pojęciu. Wówczas dopiero przestanie być groźnym dla świata cywilizowanego. Inaczej biada nam, ale stokroć więcej biada Rusinom!

Historja dostarcza zawsze korzystnych okazji tym narodom, które potrafią do takich okazji zawczasu się przysposobić. Przeciwnie, naród nie przygotowany, żyjący, a raczej wegetujący z dnia na dzień doraźnymi interesami, będzie niezdolny do odpowiedniego wykorzystania pomyślnych sytuacji, ale zaskoczony wypadkami, ulegnie im biernie i wszystko straci. A straci tem bardziej naród, który w hurrapatrjotycznym uporze zabrnął w błędne legendy i na całkiem fałszywe drogi.

To właśnie stało się z nowoczesnymi Rusinami, gdy przyodziali się w hajdamackie szaty kozackie i nawiązując błędnie swą tradycję i rzekomą chwałę do wywrotowego, rozbójniczego incydentu siczowego, zagubili złotą nić swych wielkich, prawdziwych tradycji, a wraz z nią i swą ideę przewodnią, prawdziwie twórczą.

Bo Polska, jeżeli ma przyszłość swą zabezpieczyć i mocarstwowy rozwój utrwalić, musi prędzej czy później iść na południowy wschód — nad Morze Czarne i Dniepr, i jeszcze dalej. Czekają tam na nią różne, przez Moskwę uciemiężone, wynaradawiane, a w ostatnich czasach i wygładzane ludy. I tu staje przed Polską i przed ruskim narodem kardynalne pytanie: czy wówczas pójdzie z nami na tę krucjatę w przedniej straży żołnierz ruski, czy też będzie Polska musiała wziąć sama na siebie to ciężkie zadanie, ponad głowami pozbawionego pozytywnej zdolności państwowo-twórczej ruskiego narodu?

Oto walne zagadnienie przyszłości — może nawet i niezbyt dalekiej przyszłości — które stoi przed

ruskim narodem z obu stron polsko-rosyjskiego kordonu, a zwłaszcza przed społeczeństwem ruskiem w Małopolsce wschodniej, gdzie ruska myśl polityczna w ciągu ostatnich stu lat bez porównania swobodniej, niż gdzieindziej, mogła kształtować się i rozwijać.

Żywotność każdego narodu leży przedewszystkiem w jego prężności ekspansywnej. Tezę tę stosujemy objektywnie do wszystkich, a więc także i do Rusinów. Naród ruski winien także wykazać tę prężność, jeżeli nie ma zginąć. Ale chodzi o to, żeby prężność ta nie była zmarnowana w całkiem błędnym kierunku. A właściwym kierunkiem prężności ruskiego narodu i zarazem jego najgłębszą, geograficzną, etniczną i polityczną racją stanu jest i może być tylko: *rola awangardy mocarstwa o troistym herbie przeciw barbarzyńskiemu wschodowi, tak, jak całe to mocarstwo — a w niem szczególnie Polska — winno być awangardą i przedmurzem zachodniej cywilizacji wogóle.*

Aby jednak mógł naród ruski wkroczyć na tory realnego pełnienia tej misji, co bez żadnej wątpliwości o przyszłych jego losach rezstrzygnie, musi najpierw spełnić jeden oczywisty warunek: poddać gruntownej, objektywnej rewizji dotychczasowy kierunek swych podstawowych założeń i dążeń. Musi więc powstać wśród elity intelektualnej narodu ruskiego szkoła „rewizji i nawrotu“, która byłaby w stanie natchnąć społeczeństwo ruskie stopniowo odmiennym od dotychczasowego duchem.

Szkoła ta — na podstawie której zrodzić się winien w naturalnem następstwie także odpowiedni, praktyczny ruch polityczny — winna przedewszystkiem stworzyć narodowi ruskiemu pewną wyższą, ideową a racjonalną platformę myśli i dążeń, odrywając go z jednej strony od fałszywych celów,

z drugiej zaś od jednostronnego czepiania się drobnostkowych, doraźnych interesów codziennych, które współcześni Rusini, właśnie z braku odpowiedniej, nadrzędnej idei narodowej, traktują jakgdyby fragmenty narodowej racji stanu.

Wszak dziś takie nastawienie panuje suwerennie wśród Rusinów małopolskich, że założenie gdzieś sklepiku Masłosojuza, wywrócenie prawosławnego krzyża cmentarnego na Łemkowszczyźnie lub dokuczenie gdzieś staroście hałaśliwą, tromtadracką manifestacją à la hajdamaczyzna, albo wreszcie sprytne „wykradzenie“ jakiejś rusko-prawosławnej wioski wołyńskiej na rzecz galicyjskiego ukrainizmu wyczerpuje „ukraińską rację stanu“.

Ma to wszystko być niby „pracą organizacyjną“ dla odrodzenia „ukrańskiego narodu“. Ale wiemy z własnego doświadczenia, że wszelka „praca organiczna“, nawet poważna, płodzi w ostatecznym rezultacie tylko podwórkowe geszefciarstwo, ale przenigdy nie będzie w stanie stworzyć nadrzędnej idei i dokonać prawdziwego odrodzenia narodu.

Polskie doświadczenie z „mrówczą pracą organiczną“ wykazało nawet wprost przeciwne rezultaty: pogrążenie się znacznych sfer społeczeństwa w najgrubszym materjalizmie, w adoracji złotego rubla, która wytworzyła w tych sferach tak geszefciarską, niepatrjotyczną atmosferę, że w czasie wojny światowej sfery te nawet słyszeć nie chciały o „fantastycznych“ dążeniach niepodległościowych, ale pragnęły oprzeć się w dalszym ciągu o Rosję, aby „bez awantur“ móc prowadzić dalej swe zyskowne interesy gospodarcze, przepajając się w ten sposób mimowoli duchem rosyjskim.

Na krótszą metę bardzo nam to na rękę do pewnego stopnia, że Rusin skupia się cały w takiej „pracy organicznej“, handluje masłem, jajami, zbo-

żem, a nawet kamienicami, choćby sobie przytem na swych szyldach jakieś kozackie barwy malował i kołpak Chmielnickiego wywieszał. Nic nie szkodzi, a przeciwnie — taki Rusin, pogrążony w maśle i w innych interesach, tem rychlej się spolonizuje, a barwy hajdamackie przywyknie stopniowo traktować poprostu jako reklamę handlową. Każdy bowiem business ma w sobie pewien charakter międzynarodowy. Człowiek interesu stawia interes handlowy mimowoli ponad interes narodowy, patrjotyczny, gdyż ten nie zawsze napędza pieniądze do kieszeni, a przeciwnie, wymaga nieraz poświęcenia i strat materialnych.

Na krótką więc metę, powtarzamy, takie zmaterjalizowanie się „Ukraińców" małopolskich jest Polsce bardzo na rękę. Czego Orzeł polski nie jest w stanie sprawić, tego niech złoty polski dokona w Masłosojuzach i Jajosojuzach. A z „wykradaniem" wiosek wołyńskich czy białoruskich przez austrjackich mołojców na rzecz ukrainizmu damy sobie też radę, bo zdawna przejrzeliśmy już tę cichą „ukraińską" taktykę „zdobywania" ziem polskich przez kozacką propagandę.

Ale na dalszą metę — a może nawet i nie tak bardzo daleką! — brak prawdziwej, wyższej idei narodowej u Rusinów, w części całkiem biernych, w części moskalofilskich, a w części propagujących bezproduktywną siczową legendę krwawego noża, stanowi bardzo ważną trudność dla rozszerzenia na wschód przedmurza chrześcijaństwa pod sztandarami Białego Orła, litewskiej Pogoni i św. Michała. Rusin, zacietrzewiony w swej fikcji ideałów siczowych, wciąż nam w tem przeszkadza i to w sposób, dla niego samego samobójczy. Naprzykład energiczne współdziałanie Rusinów w czasie naszej kijowskiej wyprawy, rozniecenie wówczas ukraińskiego

powstania narodowego przeciw bolszewickim Mo-skalom byłoby bardzo znacznie przyczyniło się do sukcesu tej krucjaty — gdyż była to prawdziwa krucjata — i byłoby w każdym razie stworzyło bar-dzo ważny etap na drodze odbudowy państwa ruskiego.

Ale zmoskwiczony lub zhajdamaczony Rusin, nie mający najmniejszego wyobrażenia o właści-wych torach twórczej idei narodowej, stawiał nam— za wyjątkiem Petlury—bierny i tępy opór w tym, tak ważnym dla narodu ruskiego momencie, a na-wet wolał bawić się w łobuzerskie podpalania pol-skich folwarków i wzniecenie „halicko-ukraińskie-go" powstania przeciw Polakom, którzy szli właś-nie na wschód, aby zarówno dla polskiej, jak i dla ruskiej racji stanu wypędzać Moskali z ziem ukra-ińskich!

Bardziej bezmyślnej, samobójczej polityki — o ile to polityką wogóle nazwać można — nie znaj-dzie się chyba w historji żadnego narodu. W całej pełni okazała się w tem organiczna niezdolność Ru-sinów do wszelkiego państwowo-twórczego my-ślenia, niezdolność typowa, bo wyhodowana przez półtora wieku na fałszywej, nawskroś negatywnej pod każdym względem „ukraińskiej", czyli popro-stu hajdamacko-siczowej legendzie.

A legenda ta sprawia, że współczesny Rusin ro-bi to samo w nastawieniach swych, co robili atama-ni kozaccy: poddawanie się kolejno wszelkim ob-cym potęgom przeciw Polsce. A nie rozumieli ani atamani kozaccy, ani współcześni Rusini, że te ob-ce potęgi są dla sprawy ruskiej zimno obojętne, albo wprost wrogie, a właśnie tylko w polskim inte-resie leży podtrzymanie ruskiej sprawy.

I stąd dzisiejszy Rusin, nawet wierzgający prze-ciw Moskwie „Ukrainiec", skłania się w gruncie

rzeczy — bezpośrednio lub pośrednio — bardziej ku Moskwie, która go chce do szczętu zniszczyć, niż ku Polsce, która go chce we wspólnym interesie polsko-ruskim ocalić. Bo dla Polski jest Ruś pożądanym taranem przeciw ekspansji moskiewskiego kolosa i dlatego Polska chce, żeby Ruś była i odcięła Moskwę od Morza Czarnego.

Ale tej wielkiej, oczywistej prawdy nie chcą, czy nie mogą zrozumieć Rusini, zwłaszcza małopolscy „Ukraińcy", wychowani na piosenkach i hasłach, że heroj-mołojec winien iść zawsze „z nożem na Lacha". I dlatego — w głębszej istocie rzeczy — nawet najbardziej rzekomo antyrosyjscy „Ukraińcy mają jednak mimowoli pewne moskalofilskie nastawienie. A tymczasem w ostatnich latach siedem miljonów ruskiej ludności wytracili moskiewscy bolszewicy mordem i głodem na Ukrainie. Ale to widocznie mniej znaczy w oczach naszych ukraińskich polityków i siczowych herojów, a daleko więcej sprzedaż „ukraińskiego masła" lub umieszczenie „ukraińskiego" napisu na przystanku kolejowym w Koziej Wólce!

I dlatego pierwszym, najważniejszym warunkiem i etapem niezbędnego ruchu rewizjonistycznego w społeczeństwie ruskiem winien być głęboki, zdecydowany, konsekwentny we wszystkich dziedzinach myślenia i działania *zwrot od Rosji ku Polsce*. W tym celu musi Rusin przedewszystkiem zerwać z tem wszystkiem, co mu „wschodnią" cechę nadaje.

Pogrążeni są bowiem Rusini w olbrzymiej sprzeczności: z jednej strony chcą niby odróżnić się ostro od rosyjskości i dlatego nawet wymyślili sobie głównie nazwę „Ukraińców", gdyż w języku rosyjskim niema odrębnej nomenklatury „Rosjanin"

i „Rusin“, ale tylko jedna wspólna nazwa „russki“— a z drugiej wszystko u Rusinów, poczynając od alfabetu, a kończąc na mentalności, jest typowo wschodnie, do rosyjskości bardzo zbliżone. Cóż więc z tego, że Rusini chcą w oczach świata oddzielić się od rosyjskości pewnemi odznakami, sztucznie formalistycznemi, jak nową nazwą narodu lub żółto-niebieską kokardką, kiedy pozatem są bardzo podobni do Rosjan i w całem swojem jestestwie nie przypominają zupełnie Zachodu! Czy nie widzą, że upór w tym kierunku powoduje ich zakostnienie we wschodniej chińszczyźnie i niezmiernie utrudnia u nich postęp i normalny rozwój narodowy? Czy jeszcze nie rozumieją tego, że wyższość polskiej kultury nad ruską leży głównie w tem, iż Polacy bardzo wcześnie, od zarania swych dziejów historycznych, zerwali ze Wschodem, a poddali się wpływom zachodniej, łacińskiej kultury?

Gdyby instynkt samozachowawczy i zmysł polityczny Rusinów podyktował im tę samą taktykę, to nie przyszłoby do głowy Rosjanom identyfikować Rusinów gwałtem ze sobą i nie mieliby Rusini potrzeby przybierać sztucznych nazw narodowych, przekreślać swej prawdziwej, wielkiej tradycji kijowskiej i czepiać się jakichś hajdamacko-rozbójniczych wzorów siczowych.

Drugim warunkiem i etapem, który mniejwięcej równocześnie może być osiągnięty, to *natchnienie się społeczeństwa ruskiego odpowiednią ideą nadrzędną*, oderwaną od codziennych, szczegółowych interesów materialistycznych i doraźnych pociągnięć aktualistycznej polityki. Przejęcie się taką ogólną ideą nie wyklucza oczywiście realizmu zajęć dorywczych, wprost przeciwnie: nada im większą celowość, ciągłość i przedewszystkiem niezbędną korektywę. Wleje prawdziwą twórczość i pożądany

pozytywizm w działalność całego narodu, których brak jest największem obecnie nieszczęściem tego dziwnego społeczeństwa.

A idea ta jest tylko jedna, naprawdę możliwa, bo naturalna, geograficznem położeniem narodu ruskiego od wieków zakreślona. Wymieniliśmy ją powyżej.

Trzecim wreszcie warunkiem i etapem jest — w naturalnej powyższych dwóch przesłanek konsekwencji — *zerwanie z fałszywą, sztuczną, a niemoralną w swych podstawach tradycją siczową i wogóle z kozaczyzną, a natomiast nawiązanie do wielkich tradycji kijowskich i halickich.* Rzecz zaprawdę trudna do pojęcia dla ludzi, myślących kategorjami zachodniemi, a choćby nawet bizantyjskiemi w ścisłem tego słowa znaczeniu, żeby kilkodziesięcio-miljonowy naród, pragnący zdobyć sobie miejsce pod słońcem w świecie cywilizowanym, odtrącał swe prawdziwe, szlachetne, wielkie dzieje, wyrzucał z nich „złoty Kijów", mitrę wielkoksiążęcą, koronę królewską i tradycję nietylko niepodległościową, ale nawet mocarstwową — a natomiast przerzucał się z dziecinnym uporem na bezporównania niższy poziom jakichś rozbójniczych wspomnień siczowo-hajdamackich!

Wszak wielką historję Rusi przerwał najazd Mongołów. Bez względu więc na jakieś późniejsze, całkiem uboczne incydenty siczowo-zbójeckie, czy rezuńsko-hajdamackie, winien był naród ruski do wielkich, pozytywnych tradycji nawiązać i z nich odtworzyć sobie logiczną a dodatnią podstawę do odrodzenia i dalszego rozwoju. Tak też z początku było w wieku XV i XVI przy pewnej pomocy polskiej i polsko-litewskiej siły zbrojnej i kultury, która jednak właściwej polonizacji ziemiom ruskim nie narzucała, ale przeciwnie, spowodowała bar-

dzo znaczene podniesienie się ruskiego narodu już niemal do roli równorzędnego czynnika w ramach potężnej Rzeczypospolitej o troistym herbie.

Ale potem rewolucje kozackie, niszcząc zarówno polski, jak i ruski dorobek kulturalny i zamieniając znaczną część ziem ruskich w Dzikie pola, przerwały tę epokę odrodzenia i większą szkodę wyrządziły ruskiemu narodowi od najazdów tatarskich. Gdy bowiem najazdy i niewola tatarska tylko niszczyły i gnębiły, pozostawiając jednak możliwości odrodzenia z chwilą pobicia i usunięcia Tatarów, to rewolucje kozackie nietylko niszczyły w równej mierze żywioł i dorobek polski i ruski na ziemiach ukraińskich, ale — co gorsza — wypaczyły tradycję, ducha i poprostu sens istnienia narodu ruskiego.

Rusin, przerzucony z Kijowa na ostrowy siczowe, przestał być w gruncie rzeczy narodem, a zamienił się w oczach własnych i całego świata na hajdamakę!

A w dalszej konsekwencji musiał zejść do poziomu poprostu tylko szczepu, pozbawionego państwowo-twórczych zdolności, więc miotanego z jednej niewoli w drugą. A równolegle z tem tradycje rozbójnicze, hajdamackie, tradycje wiecznych buntów i rewolucji przeciw komuś i bezproduktywnych rzezi przeszły w mentalność, niejako w krew i kość nieszczęsnego szczepu, który dlatego nie umie i nie rozumie dzisiaj nic więcej, jak tylko uprawiania poznomych, doraźnych zadań gospodarczych oraz „rizanie“. Znajduje się w psychozie ustawicznego buntu „chłopskiego ludu“ przeciw swym „panom“, zupełnie tak, jak to w XVII i XVIII wieku bywało. Każdy — Moskal, Czech, Niemiec, czy ktokolwiek inny może odgrywać dzisiaj rolę nowoczesnego „Nalewajki“ czy „Chmielnickiego“, czy „Gonty“ i podburzyć nietylko chłopa, ale i inteligenta ruskie-

go do bezmyślnego „rizania Lachiw“, przez co oczywiście przedewszystkiem naród ruski się osłabia i poddaje w niewolę coraz to innych, obcych wpływów.

Są to wszystko fakta niezaprzeczalne, pozadyskusyjne. Polska — szczerą prawdę mówiąc — mniej na tem cierpi, bo opór hajdamacki u ruskiego narodu chroni Polaków przed wygodnym kwietyzmem i hartuje ich w walce ze „wschodniem ruskiem barbarzyństwem“. Ale daleko więcej cierpi na tem byt i racja stanu nieszczęsnego ruskiego narodu, któremu majaczy się przed oczyma, że zapomocą Masłosojuzów oraz różnych łobuzerstw à la Sicz, wyrządzanych ustawicznie Polakom, dobije się niepodległości i zbuduje sobie jakąś „autonomję“, a potem i własne państwo.

Istne majaki — gdyż rozbójnicze hajdamactwo, choćby licznym chwilowo rozporządzało zastępem uzbrojonych i ubranych w mundury mołojców, nie ostanie się długo wobec siły zbrojnej narodu, opartego o moc wielkiej tradycji i posiadającego zdolność państwowo-twórczą w całej pełni.

Dowody:

Nie umieli Rusini, poparci najpierw armją niemiecką, potem pewną pomocą zachodniej, zwycięskiej Koalicji, wywalczyć sobie i zorganizować własnego państwa, nawet w wyjątkowo korzystnej epoce, gdy mieli przed sobą nie jakieś wielkie, dyscyplinowane armje nieprzyjacielskie, lecz tylko licho uzbrojone bolszewickie bandy.

Nie umieli Rusini wykorzystać polskiej pomocy w czasie paroletnich walk polsko-bolszewickich, kiedy nawet Polacy specjalne dywizje „ruskie“ dla walki z Moskwą formowali i zaryzykowali wyprawę na Kijów.

Nie umieli Rusini małopolscy wykorzystać w r. 1918 swej wielkiej wówczas przewagi wojskowej, mając do dyspozycji dobrze uzbrojone pułki z b. armji austrjackiej, podczas gdy Polacy wówczas jeszcze wojska prawie nie mieli i zaabsorbowani byli olbrzymim kłopotem i ciężarem organizowania własnego państwa od podstaw. Ulegli wówczas haliccy Rusini improwizowanym stopniowo polskim oddziałom. Wystarczył śmiały odruch „baciarów łyczakowskich", aby powstrzymać „rozpęd narodowy" ruskich regularnych pułków byłej c. i k. armji austrjackiej!

Czyż to nie bijący w oczy dowód zupełnej niezdolności państwowo-twórczej Rusinów?! Niezdolności dlatego, że „hajdamaka ukraiński", chociaż uzbrojony i umundurowany, nie będzie nigdy w stanie dotrzymać pola nawet improwizowanej armji politycznie dojrzałego, dyscyplinowanego, na zachodniej kulturze i wielkich tradycjach wychowanego narodu.

Nie może zająć miejsca w rodzinie narodów cywilizowanych szczep o zbyt dziecinnie prymitywnych tradycjach, wywyższający na piedestał swej idei narodowej i państwowej jakieś gadki i dumki o charakterze par excellence legendarno-zbójnickim. Jest to tak, jak gdyby Polacy odrzucili pod wpływem jakiegoś nagłego szału całe swe wielkie dzieje, a uczepili się np. podhalańskich tradycji, wypoetyzowanych przez postacie Napierskiego, Janosika i Harnasia! A przecież Napierski, mający w żyłach podobno krew królewską, walczył o wyzwolenie chłopów, a Harnaś i Janosik — „orły tatrzańskie" — walczyli nawet z żandarmerją i wojskiem austrjackich zaborców na „turniach tatrzańskich". Prawda, jakie to poetyczne?

A jednak żadnemu Polakowi nie przyjdzie na myśl doczepiać do takich reminiscencji tradycji i psychiki narodowej. Wolimy już stanowczo legendy wielkie, twórcze o Lechu, Krakusie i Piaście, a przedewszystkiem tradycje Chrobrych, Kazimierzów, Grunwaldu, a choćby nawet przegranej w bohaterskiej obronie wiary Cecory.

Stąd — w nieuchronnej analogji i logice dziejowej — wypływa i dla Rusinów konieczność *odrodzenia historycznego Rusina,* przy zdecydowanem usunięciu z powierzchni ziemi samobójczych pojęć zarówno moskalofilskiego Starorusina, jak i ukraińskiego hajdamaki. A nie jest to wcale powierzchowny spór tylko o nazwę, gdyż wszystkie te trzy nazwy są zewnętrznym wyrazem bardzo głęboko w organizm ruskiego narodu sięgających ideloogji, a w ich rezultacie także odpowiedniego psychicznego nastawienia i praktycznej polityki.

Trzymają się Rusini w znacznej większości konwulsyjnie swej nowoczesnej, sztucznej nazwy „Ukrainiec“, w mniemaniu, że ta nazwa przed wynarodowieniem i zagładą ich obroni, a nie wiedzą, że właśnie to nazwa — wraz z wypływającemi z niej konsekwencjami — utrudnia im niesłychanie odrodzenie narodowe i poniża ich w oczach Zachodu, a przedewszystkiem w oczach Polaków. Bo „Ukrainiec“, to w wyobrażeniach polskich już nawet nie watażka siczowy, który w rzeczywistości uważał się za Rusina (o ile był wogóle ruskiej narodowości) i mówił po „rusińsku“, ale poprostu pachoł-kozak z pańskiego pocztu zbrojnego lub nawet rodzaj lokaja na modłę kresowo-wschodnią.

Pojęcie zaś „historycznego Rusina“ całkiem inne wzbudza wyobrażenia i tradycje. Zmartwychwstają na dźwięk tych słów wielkie postacie dawnych władców ruskich i rycerzy, z którymi Polacy

czasem krzyżowali oręż, ale częściej jeszcze łączyli się wspólną akcją polityczną, stosunkami handlowo-kulturalnymi i węzłami powinowactwa. Zmartwychwstają postacie szeregu królowych i księżnych na polskich tronach, które nam Ruś dała, stają w pamięci mocarne postacie ruskich senatorów i hetmanów, wsławionych dalekosiężną myślą polityczną lub świetnymi czynami oręża dla dobra „obojga narodów".

A przedewszystkiem drży Moskwa w posadach. Bo czego najbardziej boi się Moskwa, czerwona czy biała, to przedewszystkiem właśnie zmartwychwstania historycznego Rusina i odrodzenia wielkokijowskich tradycji, zwłaszcza sprzężonych w jakiejś odpowiedniej unji ze sztandarem i racją stanu troistej Rzeczypospolitej mocarstwowej.

Sekcja polsko-ruska
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

KLOC I NIEDŹWIEDŹ

Refleksje gospodarcze

PRZYPOMINA mi się z podróżniczo-myśliwskiej lektury czasów młodzieńczych pewien sposób polowania na niedźwiedzie wśród prymitywnych ludów. W odpowiedniem miejscu, na ścieżce, którą niedźwiedź zwykle chadza, zawieszają myśliwi ciężki kloc, swobodnie bujający na powrozie. Nadchodzi miś, a ponieważ kloc drogę mu zamyka, więc odpycha go uderzeniem łapy. Ale kloc wraca oczywiście wahadłowym ruchem i uderza potężnie w łeb niedźwiedzia. Ten, rozjuszony, odpycha go jeszcze silniej i otrzymuje wzamian jeszcze potężniejsze uderzenie. I tak kilkakrotnie, aż wreszcie zwierz, ugodzony rozbujanym klocem, pada ogłuszony. Wówczas wyskakują przyczajeni myśliwi i mają już z niedźwiedziem łatwą robotę.

Oczywiście, nie może przyjść zwierzęciu na myśl, że należy zawadzający mu kloc spokojnie na bok odsunąć i wymknąć się z obrębu jego uderzeń. Bo niedźwiedź jest ostatecznie tylko niedźwiedziem.

Scena ta przychodzi mi na myśl obecnie, po osiemnastu latach pilnej obserwacji zmagań naszych sfer gospodarczych z tak zwanym kryzysem. Ten kryzys — to właśnie ów kloc rozbujany, a sfery gospodarcze — to ów niedźwiedź, który nic innego nie potrafi, jak tylko walić w kloc łapą, aby coraz silniejsze otrzymywać w łeb ciosy.

Przepraszam oczywiście czcigodne sfery gospodarcze za porównanie z niedźwiedziem, a stosowane przez nie środki i niezliczone konferencje z uderzeniami niedźwiedzią łapą. Ale porównanie narzuca mi się mimowoli, bez żadnej złośliwej premedytacji z mej strony. Sam zresztą należę też do sfer gospodarczych i muszę nieraz dobrze łamać sobie głowę nad utrzymaniem mojego przedsiębiorstwa w dzisiejszych warunkach i stosunkach.

Opanował mnie wkońcu — proszę podziwiać, że dopiero po osiemnastu latach ciężkiego doświadczenia! — prawdziwy „humor wisielczy" i w poczuciu mojej osobistej niemocy zaczynam traktować wszelkie, nawet najwznioślejsze i najdotkliwsze problemy ekonomiczne, a zwłaszcza kryzysowe, z filozoficzną pobłażliwością i pogodą ducha.

Bo i jakże inaczej rzecz traktować, jeżeli czcigodni moi rodacy, a w pierwszym rzędzie współtowarzysze mej gospodarczej niedoli, nie byli w stanie przez długi okres osiemnastu lat ciężkich ciosów i doświadczeń nic innego wymyślić na odparowanie kryzysu, jak tylko bezplanowe dreptanie na miejscu — na tej samej wciąż platformie „pojęć ustabilizowanych" — i beznadziejne walenie łapą, przepraszam: ręką, w rozbujany coraz więcej kloc kryzysu?! Istny ocean mądrości, literatury i retoryki gospodarczej zalewa nas od tych lat osiemnastu, rządy, prądy, związki i konferencje i gazety prześcigają się w cudotwórczych wynalazkach, koncepcjach i paljatywach, z katedr uniwersyteckich i odczytowych leje się Niagara zaleceń na słynny temat: „Wie werde ich reich?" — ale to wszystko w ramach zazdrośnie a podejrzliwie strzeżonego warunku, aby dreptać na miejscu i nie przejść na żadną inną platformę pojęć i rozumowania.

Mógłby niedźwiedź łatwo uniknąć uderzeń zabójczego kloca, obchodząc poprostu dokoła drzewo, na którem kloc jest zawieszony i pod którem wiedzie jego „ustabilizowana ścieżka“. Mogłyby więc sfery gospodarcze zapewne z łatwością wstąpić na inne tory rozumowania o kryzysie, usuwając się zręcznie z pod jego ciosów. Ale i one również, mimo całej swej mądrości i fachowości, nie mogą i nie chcą zdobyć się na proste zboczenie z dotychczasowej, „ustabilizowanej“, a tak oczywiście zabójczej drogi!

Nie mogą i nie chcą, bo się... boją! Czego się boją? A no, obawiają się — bezkrytycznie i podświadomie — że najmniejsze odchylenie od ustabilzowanej, z dziada pradziada uświęconej ścieżki pojęć i dążeń sprowadzi w rezultacie niby coś strasznego, zapewne koniec świata, a już conajmniej wstrząśnienie wygodnych foteli prezesowskich, dyrektorskich, czy właścicielskich wraz z dochodami, tantjemami i całym nowoczesnym światkiem kolosalnie rozbudowanych nadbudówek organizacyjno-gospodarczych.

Naj bude, jak buwało! — oto najgłówniejsza, najistotniejsza „teza ustabilizowana“ całego naszego świata gospodarczego, chyba bez wyjątku. Niech raczej — myślą ludzie podświadomie — kryzys miażdży nas ewentualnie do reszty, niech etatyzm zapanuje wszechwładnie nad życiem gospodarczem, niech nawet przyjdzie jakiś „rozumny bolszewizm“, byle tylko trwać dalej w ustabilizowanej, kupieckiej mentalności dziadów i pradziadów za wszelką cenę i nie dopuścić do roztlenia się w sferach gospodarczych przeświadczenia o konieczności celowej rewizji dotychczasowego, uświęconego, zakostniałego systemu pojęć. Przedsiębiorca „prawomyślny“, je-

żeli nie ma zrobić sobie wrogów ze wszystkich sfer gospodarczych, winien raczej cicho bankrutować i w łeb sobie strzelić, niż wyznać publicznie, że dotychczasowa psychika i taktyka sfer gospodarczych jest w nowoczesnych warunkach nie do utrzymania i podlec musi rewizji.

I dlatego dreptamy wciąż na miejscu, jak niedźwiedź, poszukując nadaremnie coraz to nowej formułki „uzdrowienia gospodarczego" i odpychając bezmyślnie niezdarną ręką coraz potężniejsze ciosy kryzysu, który nietylko niszczy poszczególne warsztaty, ale wprost już całe, wartościowe sfery społeczeństwa.

Ale zagadnij, myślący człowiecze, jakiegokolwiek przedstawiciela sfer gospodarczych — rolnika, przemysłowca, kupca lub zwłaszcza dyrektora organizacyjnej nadbudówki — o konieczności przejścia jednak na inną platformę gospodarczego myślenia i działania, to masz w nim z miejsca śmiertelnego wroga i z druzgocącem spotkasz się lekceważeniem. A jeżeli pan taki chce ci okazać wyjątkową grzeczność, to objawy wrogości i lekceważenia zastąpi dyplomatycznym wykrętem „nawału zajęć" i niemożnością zainteresowania się „ogólnikami". A tymczasem właśnie owo całkowite pogrążanie się w „nawale zajęć" codziennych i nadmierne, jednostronne aferowanie się „realnymi szczegółami" doraźnej pracy gospodarczej, przy kompletnem zlekceważeniu i wykluczeniu ogólnych, planowych refleksji i torów, uniemożliwia sferom gospodarczym wybrnięcie z kryzysu i wzniesienie się nad pozom mentalności niedźwiedzia, dreptającego na miejscu w beznadziejnej walce z klocem.

Tysiączne, żeby nie rzec: miljonowe, przykłady z codziennego życia gospodarczego od lat osiemna-

stu potwierdzają tak niezbicie tę tezę, że darmo sililby się ktokolwiek prawdziwości jej zaprzeczyć.

W takich warunkach niepodobna z upartymi naszymi rodakami rozmawiać na serjo, rzetelnie, o możliwościach i drogach *trwałej* naprawy gospodarczej, a pozostaje już chyba tylko system lekkiego, frywolnego, feljetonowego traktowania sprawy.

Pogawędźmy więc swobodnie, lekko tylko akcentując pewne rzeczy. Otóż tedy najpierw, czcigodni panowie ziemianie, przemysłowcy, kupcy et caetera, pozwólcie mi wypowiedzieć skromne mniemanie — między łykiem kawy a dymu z papierosu w klubowym fotelu — że mimo wszelkich waszych biadań i starań, wy nie chcecie żadnej gruntownej zmiany obecnych, kryzysowych stosunków, żadnej zmiany systemu świadczeń publicznych i urządzeń biurokratycznych, bo jest wam z tem dobrze!!

— Jakto...?!

— Tak jest, widzę to jasno i nie od dziś dopiero, że czujecie się w tem dobrze, tak dobrze, jak... ryby w mętnej wodzie! A jeżeli nawet wielu z was niecałkiem dobrze się czuje, to w każdym razie czują się znakomicie bardzo liczne wśród was jednostki, zaangażowane i zainteresowane w najrozmaitszych interesach, a zwłaszcza w gigantycznie rozrośniętym i luksusownie wyposażonym aparacie organizacyjnych nadbudówek gospodarczych. Tym jednostkom ślepo wierzycie, uczyniliście z nich bóstwa, bez których wyroczni — nieraz iście pityjskich — nikt z was żadnego kroku nie zrobi. Te jednostki, a jest ich wiele, mają się świetnie i wodzą was za nos, gdzie im się podoba i robią wszelkie możliwe i niemożliwe kombinacje, aby w oczach waszych uzasadnić niezbicie swą użyteczność, konieczność, no i przedewszystkiem dochody.

Ale daleki jestem od chęci walenia taranem w ten wasz uświęcony „ustabilizowany system nadbudówek gospodarczych“. Podsuwam wam tylko, szanowni kommilitoni gospodarczy, interesujące zagadnienie: obliczcie w jakiejś wolnej chwili od waszego „nawału zajęć“, jaki procent z dochodu, a zwłaszcza z dochodu netto prywatnego gospodarstwa krajowego pochłania koszt utrzymywania owych nadbudówek, super-nadbudówek, biur „ogólnych“ i całej tej wogóle olbrzymiej organizacji, unoszącej się ponad waszymi warsztatami pracy i, jak mi się zdaje, ciążących na nich nieraz niemniej od najcięższych podatków rządowych i samorządowych?

Opłaca się cały ten aparat, czy nie opłaca? — oto, jak sądzę, ciekawe zagadnienie, godne doby miażdżącego kryzysu. Ale to wasza rzecz. Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi. Co do mnie, to wyznam szczerze, że chociaż pieniądze z nieba mi nie lecą, ale jednak czuje się lepiej na wolności, poza murem i atmosferą nadbudówek i zadawalniam się moją rolą płatnika na rzecz państwa, a pod żadnym warunkiem nie poddałbym się świadczeniom i dyktatorskiej nieraz dyrektywie prywatnej nadbudówki gospodarczej. Jestem na to zbyt wielkim panem na własnych śmieciach i zarazem zbyt ubogim, aby pozwolić sobie na luksus łożenia na kosztowne nadbudówki i supernadbudówki gospodarcze. Zresztą, jeżeli mam już biedę klepać, to wolę ją klepać na swobodzie i nie dać sobie nikomu zawracać głowy. Sam wiem najlepiej, czego mi potrzeba i jak sobie poradzić.

Nasze życie gospodarcze jest stanowczo przeorganizowane — ponad wszelką rozumną miarę. A właśnie dlatego kolosalny ten i kosztowny aparat organizacyjny źle funkcjonuje i wprawdzie dory-

wczo, tu i ówdzie pomaga, ale naogół komplikuje tylko zdrową myśl twórczą indywidualnego przedsiębiorcy i osłabia jego tężyznę w walce z przeciwnościami. A nadewszystko płodzi bezmyślność i apatję — i to właśnie w epoce ciężkiego przesilenia, która od pracownika na roli i przy warsztacie szczególnej wymaga zmyślności i obrotności.

Tak, bo w ciężkiej atmosferze aparatu nadbudówek gospodarczych i „nadludzi“ gospodarczych, ogół przedsiębiorców, poza odwalaniem doraźnej pracy dnia, o niczem nie myśli, poprostu oduczył się myślenia, zwalając ten obowiązek na barki pewnych kierowników, prawdziwych dyktatorów życia gospodarczego. Dyktatorów najczęściej bez ich własnej chęci i winy. Jakże często słyszało się i słyszy w Polsce od rolnika, że poza swą orką nic nie zrobi, palcem nie ruszy w zasadniczych kwestjach swego losu i zawodu, bo od tego przecież są odpowiedni dyktatorzy organizacji rolniczych w Warszawie, czy w innych większych centrach rolniczo-organizacyjnych! Oni to — t. zw. ludzie od wielkiego ołtarza — mają wszystko za wszystkich załatwić i, nakształt Archanioła Gabriela, być rzecznikiem wobec rządu i całego świata nieskończonych lamentów, próśb i żalów sfer rolniczych z dnia na dzień, od skiby do skiby.

Dosłownie to samo nastawienie panuje w świecie przemysłu i handlu. Tam też ogół przedsiębiorców przestał myśleć i zrzuca ciężar myślenia na rozmaite lewiatany i super-lewiatany, a ściśle biorąc na pewne w nich jednostki. A w takich warunkach organizacja przestaje być organizacją, traci swój sens i rację bytu, a natomiast zamienia się na ciężar, na nową biurokrację w kraju, już i tak aż zanadto przebiurokratyzowanym. Ogół zaś sfer gospodarczych

staje się coraz bardziej bezmyślnym, kostnieje w wąskich podwórkach codziennych interesów i traci wszelki rozmach i odporność. I potem dziwią się i narzekają ludzie, że etatyzm lub Żydzi wykupują ziemię, folwarki, fabryki, kamienice. Przedkłada się potem wśród gorzkich żalów „konkretne“ statysty=ki, że na takiej a takiej ulicy w Warszawie, Lwowie lub Krakowie na dwadzieścia pięć sklepów jest dwa=dzieścia cztery żydowskich, że stan ziemiański gi=nie, że fabryki się etatyzują i tak dalej i tak dalej...

Ale wspomnieć choćby słówko, że w takich wa=runkach handel winien być jednak w jakiś sposób regulowany, koncesjonowany, zwłaszcza, że wyko=nywanie wszystkich innych zawodów zależne jest jednak od uzyskania koncesji w różnych formach, że więc i dziedzina handlowa nie powinna być po=zostawiona na łup bezbrzeżnej swobody, anarchji i „żydowskiej konkurencji“ — to z miejsca ryk pro=testu podnosi się z tłumów tych samych sfer han=dlowych, które przed chwilą zasypywały nas roz=poczliwemi statystykami religijno=sklepikarskiemi!

No, więc jakże, czcigodni panowie handlują=cy — czy mamy tkwić dalej bezmyślnie w uświęco=nym systemie bezgranicznej swobody handlowania i dozwalać, że każdy pierwszy lepszy spekulant mo=że otworzyć sobie ladajaki sklepik na każdym rogu ulicy i w nim fuszerować, czy też mamy tej anarchji nałożyć jakieś racjonalne wędzidło? Jeżeli takiego wędzidła nie chcecie, to się nie skarżcie i bankrutuj=ce pocichu, żeby o was nie powiedziano — jak o śmiertelnie ugodzonym rycerzu z jakiegoś roman=su — że nie umiecie pocichu, z godnością umierać!

A teraz z innej beczki. Czytując dzieje różnych wielkich ludzi, a zwłaszcza władców, dziwimy się nieraz i oburzamy, że tak słabi często byli wobec

pochlebstwa, a nawet tak jego żądni! Wygłaszamy wówczas patetyczne tyrady, że pochlebstwo jest poniżeniem dla tych, którzy pochlebiają, a ogłupianiem tego, któremu się pochlebia. I słusznie — pochlebstwo bowiem zawiązuje każdemu opaskę na oczach i uniemożliwia mu racjonalny sąd o rzeczach i stosunkach, a przedewszystkiem uniemożliwia wybrnięcie z trudnej a odpowiedzialnej sytuacji.

Otóż skonstatować niestety musimy fakt nader smutny, społecznie niesłychanie szkodliwy, że sfery gospodarcze są niezmiernie łase na pochlebstwo, a specjalnie na pochlebstwo w formie współczucia. Jest to tak, jakgdyby ciężko chory antycypował swoją śmierć, rezygnował z kuracji i domagał się za życia kondolencji!

A przecież przeżywamy epokę kryzysu, która winna być epoką walki. A racjonalna, skuteczna walka, rokująca widoki zwycięstwa, oprzeć się musi zawsze i wszędzie na trzeźwej ocenie prawdziwej sytuacji i zdrowej autokrytyce. Żołnierz, idący w bój z zardzewiałym karabinem, naraża się na niebezpieczeństwo, że broń jego się zatnie lub nabój ją rozsadzi. Trzeba więc przed walką karabin oczyścić i naoliwić i przygotować się do niej pod każdym względem. Źle wówczas dla żołnierza, jeżeli bezkrytycznie jest przez otoczenie podziwiany, wielbiony i zgóry opłakiwany. Daleko lepiej, jeżeli go kapral, rewidując surowo jego ekwipunek, porządnie nabeszta na dziedzińcu koszarowym.

Otóż tego niecierpią — ogółem biorąc — sfery gospodarcze. Nie lubią spojrzeć prawdzie w oczy, zato lubią pławić się rozkosznie a cierpiętniczo w ciepłej kąpieli odurzających pochlebstw i że tak powiem, we własnych nekrologach.

Przykład.

Miałem raz — na zaproszenie sfer handlowych — dwa odczyty o położeniu i widokach handlu w Polsce. Ujmując temat możliwie wszechstronnie, rzeczowo, na podstawie analizy rzeczywistości, wskazałem z jednej strony na zewnętrzne trudności, z jakiemi handel polski walczyć musi, z drugiej jednak także na pewne, oczywiste winy samych sfer handlowych. Inaczej myśleć i przemawiać nie umiem, bo nie jestem wyznawcą jakiegoś wschodniego fatalizmu. Wierzę natomiast, że jeżeli człowiek cierpi biedę, to najczęściej składają się na to dwa momenty: ciosy zewnętrznych konjunktur oraz własne błędy człowieka. Nie wskazać człowiekowi tych błędów, nie zalecić mu odpowiedniego rachunku sumienia, jest to uniemożliwić mu znalezienie wyjścia z impasu.

Otóż po mojem przemówieniu według tej metody głucha a wroga cisza zaległa salę. Ani jeden oklask, miny wszystkich słuchaczy ponure, przy stole prezydjalnym zebrania widoczna dezaprobata moich wywodów. Wymknąłem się chyłkiem z sali, ostentacyjnie zignorowany przez liczne zebranie śmietanki kupiectwa stolicy.

— Tak? To wyście tacy? — pomyślałem sobie. — Poczekajcie, jeżeli koniecznie chcecie pochlebstw i zdawkowych wyrazów współczucia w „kryzysie gospodarczym", to nabiję was w butelkę. Zrobię sobie eksperyment, jaką dozę jałowego pochlebstwa zniesie wasza sfera?

Na następnym więc odczycie rozwinąłem płaską, ale obfitą retorykę, łzawo-serdeczną nad „wielką, historyczną" rolą i misją handlu polskiego, wypaliłem oklepany frazes, że „gdzie miecz sięgnąć nie może, tam dochodzi łokieć kupiecki", a potem rozrzewniłem się nad niedolą nieszczęsnego handlu,

gnębionego ze wszech stron siłami wyższemi, a przedawszystkiem błędami ówczesnego rządu. Aż wstyd było mi wygłaszać podobne tyrady i patrząc na twarze rozsłuchanej we mnie śmietanki handlu i przemysłu, drżałem z obawy, że jednak ktoś mi wreszcie przerwie: zaprotestuje przeciw wygłaszaniu takich frazesów demagogicznych na poważnem bądź co bądź zebraniu.

Nic podobnego! Ledwie skończyłem, rumieniąc się ze wstydu, a tu burza oklasków zerwała się na sali, zewsząd gratulacje i ściskania rąk, prezydjum promienieje, omal że nie wyniesiono mnie w tryumfie na rękach!

Tak to lubią rozprawiać ziemianie, przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy i wszelkie wogóle sfery gospodarcze o sobie i swych losach. Już chyba nawet Neron krytyczniej odnosił się do swych pochlebców! A w takich warunkach walka z kryzysem i wogóle walka o kapitalizm prywatny jest zupełnie niemożliwa. Nie dziw wobec tego, że reforma rolna kosi większą własność ziemską, a biurokratyzm i fiskalizm kruszą przemysł i handel, mimo wszelkich „wybitnych przemówień wybitnych przedstawicieli życia gospodarczego w wybitnych gronach“!

Boją się sfery gospodarcze, jak ognia, wszelkiej krytyki, nawet ściśle rzeczowej, która mogłaby tchnąć orzeźwiającą atmosferę w zatęchłe środowiska jednostronnie pojmowanego, krótkowzrocznego, samobójczego interesu. Żadnej myśli o rewizji, o reformie, o elastycznem przystosowaniu się do rzeczywistej rzeczywistości. Wróg ten, kto myśl taką podniesie, kto ośmieli się targnąć na uświęcony, nietykalny „system ustabilizowany“! Bo w mniemaniu sfer gospodarczych kryzys, który powstał i wyrósł na podłożu pewnych, danych warunków

i stosunków, winien być przezwyciężony bez najmniejszego naruszenia tychże warunków i stosunków. A to przecież absurd! I skąd to współczesne, gospodarcze koło bez wyjścia, w którem wszelkie nadzieje opierają się o cudotwórcze środki prestydygitatorskie na rynku międzynarodowym.

Od jednej „depresji" do drugiej „depresji", od jednego „odprężenia" do drugiego „odprężenia", od jednego przemówienia do drugiego przemówienia narkotyzującego jakiejś wybitnej osobistości żonglują i motylkują nasze sfery gospodarcze, rozkoszując się sadystycznie własnem cierpieniem i oczekując wiecznie, jak Żydzi, jakichś cudotwórczych mesjaszów. A przytem ciągłe konferencje, konferencje i jeszcze raz konferencje, międzynarodowe i narodowe, otwierane z emfazą przez „wybitnych przedstawicieli czegoś wybitnego" i zamykane z takąż emfazą przez tychże przedstawicieli w atmosferze napół radośnie-widokowej, a napół kondolencyjnie-cmentarnej. Ale nikt nigdy—o ile nam dotąd wiadomo— nie zebrał się na rozum i odwagę i nie wypalił na żadnej z tych miljonowych konferencji staropolskiego przysłowia: Pomóż sobie, a Bóg ci dopomoże!

Bo nie wolno obarczać Pana Boga wszystkiem, samemu nic nie robiąc, a tylko kręcąc się wciąż w kółko w aktualistycznych, codziennych, drobnostkowo-spekulacyjnych geszeftach i geszefcikach! Taka taktyka jest wprawdzie bardzo wygodna, ale prowadzi do — bezmyślnej gospodarki, kredytowego nadmiaru, bujania w obłokach i naprzykszonego cierpiętnictwa gospodarczego, a wreszcie do bankructw, etatyzacji i stopniowej socjalizacji.

Ale jeżeli ktoś woli płaskie pochlebstwa lub pośmiertne telegramy kondolencyjne za życia, temu

oczywiście niepodobna dopomóc! Niepodobna również, jeśli ktoś z twardym uporem chce kroczyć „niewzruszenie“ gospodarczą ścieżką dziadów i pradziadów, nie biorąc po kupiecku pod rozwagę kompletnej zmiany sytuacji życia gospodarczego w nowoczesnych stosunkach i uważając za „rację stanu kupieckiego“ legendę o mieczu i łokciu, realną w XV wieku, ale zupełnie nierealną w XX-ym.

Nie chcemy prawić kazań „wybitnym przedstawicielom sfer gospodarczych“. Zaznaczając tylko lekkiem podkreśleniem nasze przekonania i stanowisko, pozostawiamy ich uznaniu i zawodowym kompetencjom ciąg dalszy. Sygnalizujemy tylko, co zresztą sferom gospodarczym oddawna wiadomem być powinno, piorunujący rozwój bolszewickiego nastawienia w szerokich sferach społeczeństwa i to bynajmniej nietylko w najniższych. To zaś powinno zmusić „wybitnych przedstawicieli“ sfer gospodarczych do poważnych refleksji. Od dołu bije w gospodarstwo krajowe bolszewizujące nastawienie, od góry bije postępowa etatyzacja. A więc caveant consules oeconomici...!

Całe nastawienie, psychika i rola sfer gospodarczych w państwie muszą poddać się gruntownej rewizji, zmienić od stóp do głów i zmodernizować. Inaczej krucho będzie niebawem z kapitalizmem prywatnym i szkoda tracić słów i czasu na owych niezliczonych, wyżej wspomnianych konferencjach radośnie-cmentarnych!

Życie gospodarcze chełpi się zawsze swą rzekomą trzeźwością, realizmem i logiką. A tymczasem pozwalamy sobie skonstatować — na podstawie ścisłej obserwacji i praktycznego doświadczenia — że właśnie życie gospodarcze jest najbardziej przepełnione sprzecznościami i nierealnemi nadziejami.

Pierwsza lepsza idea polityczna czy społeczna, oderwana pozornie od rzeczywistości dnia, rokuje dzisiaj daleko realniejsze widoki powodzenia, niż wszelkie „trzeźwe“ rachuby i interesy gospodarcze. A dzieje się to właśnie dlatego, że sfery gospodarcze uciekają przed rzeczywistością i chcą wszelkiemi siłami podtrzymywać stan i system zaśniedziały, zupełnie już nieżywotny. Chcą żyć i myśleć według uświęconej „ideologji dziadów i pradziadów“. A to się już dzisiaj nie da i na to żadne organizacje i nadbudówki i supernadbudówki i Izby, czy inne instytuty już nie pomogą. Wszak one, w głębszej istocie rzeczy, muszą ogromem swym ostatecznie tylko krępować i hamować swobodę i elastyczność przedsiębiorczości gospodarczej. Gdyby np. Rockefellerowi nałożono swego czasu ciężar nadbudówek i opiekuńczych instytutów biurokratyzmu gospodarczego, gdyby zabroniono mu myśleć, a powierzono myślenie wyłącznie jakiemuś prezesowi teoretycznego instytutu „samorządu naftowego“ w Nowym Yorku czy Waszyngtonie, to Rockefeller nie byłby dziś miljarderem, ale albo oddawna bankrutem, albo w najlepszym razie emerytowanym funkcjonarjuszem jakiegoś teoretycznego lewiatana naftowego, pobierającym co 1-go emeryturę kilkuset dolarów.

Do takiego właśnie raju gospodarczego w Polsce zmierzamy, mimo wszelkich przeciwnych a buńczucznych haseł i konferencji. A zmierzamy dlatego, że podstawowa ideologja sfer gospodarczych nie chce się zmodernizować. Podświadomie woli bankructwa, etatyzm i socjalizację, byle tylko prastare kupieckie liberum veto nie doznało uszczerbku, byle tylko nie przyznać, że dzisiaj syn całkiem inaczej myśleć musi, niż mógł myśleć ojciec.

Dobrze — ale w takim razie nie skarżcie się,

czcigodni rolnicy, bankowcy, przemysłowcy i kupcy, nie zanudzajcie urzędów — które sami sobie jeszcze pomnażacie i opłacacie — i niewinnych obywateli ustawicznym jękiem i lamentem i skargami na rząd i na bolszewizm i na Żydów, ale przynajmniej umiejcie z godnością umierać! A na tę ewentualność załóżcie nadbudówkę pogrzebową, z kilku prezesami, kilkunastu dyrektorami, licznym personelem, wspaniałym gmachem, tysiącznymi sekretarjatami po całym kraju i oczywiście także z wielkim funduszem składkowym, z którego finansowanoby przynajmniej dziesięć „wydawnictw fachowych" z licznym personelem redakcyjnym na czele, ze znikomą ilością czytelników, a zato z odpowiednią sumą subwencji i długów.

Bo czy nie tak „radzi sobie" życie gospodarcze w Polsce w dobie kryzysu, w epoce narzekania na nadmiar świadczeń publicznych? Dziwna logika! Aby uzyskać od władz zmniejszenie o jakiś drobny procent tego lub owego podatku, obciąża się życie gospodarcze gmachami, instytucjami i innymi kosztami, które większym są ciężarem, niż ewentualne ulgi, zapomocą tak kosztownego aparatu uzyskane!

Ale jeśli wymaga tego „realizm" i „trzeźwość" gospodarcza...

Idźmy spacerem dalej.

Ciążą więc na życiu gospodarczem duże świadczenia państwowe, samorządowe, społeczne i wreszcie nadbudówkowe. Zdawałoby się, że to już chyba dość, często aż zanadto, że więc życie gospodarcze — a przynajmniej te przedsiębiorstwa, które zdołają poczwórny ten ciężar utrzymać — dostosuje się do tych warunków i oprze na nich swą kalkulację handlową i politykę, unikając oczywiście wszelkich dalszych obciążeń. Wiadomo bowiem, że kalkulacja

gospodarcza, o ile prowadzona jest celowo, z realizmem i konsekwencją, może się stopniowo do wszelakich warunków i ciężarów dostosować.

Niestety, tak się nie dzieje. Życie gospodarcze, któremu widocznie nie dość jeszcze wspomnianego, poczwórnego ciężaru, stworzyło sobie jeszcze piąty ciężar — ten już wyłącznie z własnej woli i winy — który je do reszty druzgoce. A tym piątym ciężarem jest nadmierne rozdęcie kredytu.

Żyje się kredytem, który w danych warunkach nazbyt często staje się fikcją. Żyje się więc tą fikcją, która jednak obciąża aż do absurdu i do ruiny, zupełnie i dosłownie tak, jak rosnący dług karciany rujnuje lekkomyślnego gracza. Zaciąga się nieskończone kredyty w rządowych i prywatnych instytucjach finansowych i udziela się lekkomyślnych kredytów aparatowi zbytu produkcji, mimo tego, iż dobrze wiadomo, że ani zaciągane, ani użyczane kredyty nie będą nigdy spłacone wobec niezmiernie w dzisiejszych czasach osłabionej siły nabywczej społeczeństwa. Rośnie więc ciężar długów na przedsiębiorstwie produkującem i rośnie pod niem przepaść w postaci kredytowanych aparatowi handlowemu nadmiernie towarów, których handel zbyć nie może, a tem samem nie jest w stanie zapłacić za nie produkcji, a produkcja swym źródłom finansującym.

Dlaczego to się dzieje? Dlaczego cała ta samobójcza zabawa w fikcję kredytową, rozrośniętą już ponad wszelką rentowność życia gospodarczego, ponad wszelkie możliwości zbytu, wbrew najoczywistszym zasadom prawa podaży i popytu i wbrew wszelkim widokom oprocentowania i amortyzacji rozdętego już do astronomicznych cyfr ciężaru kredytowego?

Dzieje się to wszystko właśnie w imię podtrzymywania par force fetysza „systemu ustabilizowanego“ na arenie gospodarczej. Wszak podstawą tego systemu jest teza, odziedziczona po „dziadach i pradziadach“, iż rzekoma racja stanu życia gospodarczego jest utrzymanie i „dalszy rozwój“ wszelkich przedsiębiorstw za wszelką cenę. Jest to wyrazem tego samego, lekkomyślnego snobizmu sfer gospodarczych, jaki nakazuje lekkomyślnemu a ambitnemu graczowi utrzymywać w wytwornym klubie karcianym swój fikcyjny prestiż miljonera— aż do ruiny. Zasada „zastaw się a postaw się“ panuje dziś suwerennie w życiu gospodarczem i wyeliminowała stamtąd już niemal zupełnie ów legendarny, racjonalny a ścisły „kupiecki ołówek“.

Wydaje się więc sferom gospodarczym, że z dwojga złego lepiej jest wegetować w stanie „permanentnego bankructwa“ i postępowej etatyzacji, niż wyznać otwarcie, że różne przedsiębiorstwa są dzisiaj poprostu zbędne i że zacisnąć trzeba pasa według rozmiarów żołądka. Ale zacisnąć go trzeba zawczasu, gdy nic jeszcze nie grozi, gdy przedsiębiorca ma jeszcze swobodę decyzji, a nie dopiero gdy katastrofa staje już w progu.

Tak więc wszystkie sfery gospodarcze przeczą stanowczo temu, że w Polsce jest na dzisiejsze stosunki nadmiar produkcji i nadmiar aparatu handlowego. Raczej wszystko inne, niż przyznać się do tego, niż uznać, iż ogół życia gospodarczego winien dziś stać celowo pod znakiem redukcji, przeobrażenia i dostosowania się do realnych wskazań prawa podaży i popytu, a nie podtrzymywać konwulsyjnie hasła anemicznego „gospodarczego rozwoju“. Dosłownie jak gracz, podwajający w pokerze ostatnią stawkę, którą w następnej sekundzie całkiem może stracić, a potem w łeb sobie strzela.

Wszyscy, chyba bez wyjątku, finansiści, rolnicy, przemysłowcy i kupcy, a za nimi i ekonomiści-teoretycy, upierają się przy twierdzeniu, że życie gospodarcze musi się „rozwijać". Świat może się zawalić, bolszewzm może przyjść, Polska może zginąć — byle tylko teoretyczna zasada „konieczności ustawicznego rozwoju życia gospodarczego" pozostała nietkniętą w umysłach ogółu.

I ten prestiż fikcyjny, zupełnie oderwany od rzeczywistości, podtrzymuje się rozdętym ponad wszelki zdrowy rozsądek kredytem. W bardzo dawnych czasach płacono złotem. Potem, gdy zapas złota na świecie już nie starczył do zaspokojenia zachłanności aparatu gospodarczego, zamknięto złoto w świątyniach skarbców bankowych i zastąpiono je wielokrotną masą pieniędzy papierowych. A gdy obecnie nie starczy już i papieru, to zastępuje się go znów wielokrotnie rozdętym kredytem. Wystarczy zapis jakiejś astronomicznej cyfry w księdze i już nowa „wartość gospodarcza" na poczekaniu stworzona!

Ale w końcu zapis ten trzeba honorować, a tu niema oczywiście z czego! A więc dopisuje się dalsze cyfry astronomiczne, fikcyjne — teraz już z karygodną premedytacją, że się tego długu nigdy nie uiści. Nigdy — bo brak klienteli do zakupów całości wyprodukowanych dóbr i kurczy się coraz bardziej eksport wobec postępowego uprzemysłowienia krajów, dawniej egzotycznych, a dziś coraz bardziej samowystarczalnych.

Odpowiada na to wielu, że przecież i tak już aż nadto się redukuje życie gospodarcze i stopa egzystencji społeczeństwa. Nieprawda — nie redukuje się, nie dostosowuje, ale jest redukowane i druzgotane. I w tej formie biernej leży właśnie zasadnicza różnica i cała współczesna katastrofa.

Weźmy typowy przykład.

Ktoś zajmuje pięciopokojowe mieszkanie, dostatnio umeblowane i posiada pewien kapitał, czy dochody, dozwalające mu na utrzymanie takiej a takiej stopy życia. Nadciąga dłuższy okres krytyczny. W jego przewidywaniu, orjentując się zawczasu w nowych warunkach bytu, kapitalista ów przeprowadza się spokojnie i swobodnie do skromniejszego, trzypokojowego mieszkania i zniża swą stopę życiową, zachowując jednak wszystkie meble i kapitał do dalszej egzystencji. W rzeczywistości nawet, poza pewną redukcją ram, stopa życiowa tak przewidującego człowieka nie obniży się, a zapewne nawet wzrośnie, gdyż kapitał swój ocalił, a zmniejszył wydatki. Może więc żyć nawet bardzo wygodnie, płacąc mniejsze świadczenia.

Przeciwnie człowiek, któryby w podobnych warunkach chciał za wszelką cenę utrzymać swój prestiż właściciela pięciopokojowego mieszkania. Wydatki, z tem złączone, pochłoną wnet kapitał, zaciągane pożyczki i kredyty stworzą coraz większy ciężar długów i dojdzie wkońcu do licytacji i eksmisji, która niefortunnego „prestiżowca" zapędzi do dwupokojowego mieszkanka na poddaszu, bez mebli i bez kapitału.

Każdy rozumie chyba olbrzymią różnicę obu tych sposobów „gospodarczego dostosowania się" do zmienionych warunków. Otóż o to właśnie chodzi, aby ziemia, przemysł i handel zastosowały racjonalnie, zawczasu, gdy żadnego jeszcze niema nacisku ani katastrofy, tę pierwszą receptę. Ale „ustabilizowany system" pojęć sprawia, że — z nielicznymi wyjątkami — życie gospodarcze obiera niestety tę drugą receptę, redukując się nie zawczasu, swobodnie i dobrowolnie, ale zapóźno, pod przy-

musem, wśród katastrofy bankructwa lub etatyzacji.

Jakże inaczej potoczyłoby się u nas życie, gdyby ogół sfer gospodarczych zachciał zmodernizować na tyle swą mentalność, żeby zrozumieć, iż lepiej redukować się i dostosowywać się zawczasu w imię zdrowego realizmu, niż bankrutować i socjalizować się w imię chorobliwych fikcyj! Ale niestety „system ustabilizowany" mentalności gospodarczej jest podobny do tych starożytnych tyranów (dlatego zrobiliśmy powyżej okolicznościowe porównanie z Neronem), którzy, tracąc pod nogami realne fundamenty swej władzy, a więc autorytet, przywiązanie ludu, wierność wojska i t. d., podtrzymywali się przy końcu w fikcji swego władztwa już tylko pochlebstwem zauszników i okrutnem kruszeniem wartości realnych, w czem jedynie już tylko mogli okazywać swą władzę. Bo tworzyć nie mieli już władzy ani siły. Tak i dziś dyktatura „systemem ustabilizowanego" w mentalności sfer gospodarczych, przesiąknięta najgrzubszym, a zupełnie niepraktycznym już materjalizmem, żyje pochlebstwem i fikcją „rozwoju gospodarczego w nieskończoność", krusząc przez to właśnie swe podstawy i swe wartości realne. Nie może zdobyć się na talent przewidywania, na zdrowy odruch trzeźwego rachunku sumienia i swobodnego przystosowania się do nowej sytuacji — tej, która już jest i tej, która nadchodzi.

A co nadchodzi? Nadchodzą proste rezultaty biologicznego prawa naturalnego doboru, które wszechwładne jest w przyrodzie i niemiłosiernie konsekwentne. Co zawczasu do zmienionych warunków zdolne jest przystosować się, to żyć będzie, a nawet doczeka momentu wspaniałego rozwoju. Co zaś nie zdolne do adaptacji, to zginąć musi na zasa-

dzie tego samego prawa przyrody, któremu uległy niepowrotnie przedhistoryczne, olbrzymie jaszczury.

I na to najwybitniejsze umysły gospodarcze i konferencje i najchytrzejsze finansowe zabiegi nic nie pomogą. Odegrają one jedynie tylko rolę owej łapy niedźwiedziej, która bezmyślnie odpycha grożący kloc z coraz większym uporem, byle tylko nie zboczyć z utartej ścieżki, aż wreszcie kloc ten wraca ze śmiertelnym rozmachem.

Obserwator.

WIOSENNE
T A R G I
KATOWICKIE

W czasie od 30 maja do 14 czerwca 1936 r. odbędą się na Śląsku tradycyjne ÓSME TARGI KATOWICKIE urządzane staraniem Śląskiego Towarzystwa Wystaw i Propagandy Gospodarczej (Katowice, Stawowa L. 14, tel.: 300-71).

Targi Katowickie dążąc od wielu lat do utrzymania w ruchu rodzimych warsztatów pracy i wzmożenia konsumcji — współdziałają w zwalczaniu przesilenia gospodarczego, zwiększają obroty i stwarzają liczne zarobki w wielu dziedzinach. Odbywają się one w najwyższym ośrodku handlowym t. j. na Śląsku, a przemysłowcy i kupcy biorący w nich udział przygotowują sobie rynek zbytu, który we własnym ich interesie należałoby corocznie rozszerzać i powiększać.

Jest sprawą wielkiej wagi, **by krajowy towar jaknajliczniej mógł wykazać na tych Targach swą dobrą jakość i zalety nietylko wobec rodzimej klienteli, lecz również wobec konkurencji i konsumentów z poza pobliskiego kordonu.**

Ten właśnie wysiłek należałoby poprzeć **zwracając szczególną uwagę naszych wytwórców, przemysłowców i kupiectwa na potrzebę wzięcia przez nich czynnego udziału w**

VIII TARGACH KATOWICKICH

aby w ten sposób przyczynili się we własnym interesie do rozszerzenia propagandy i zbytu towarów krajowych.